

Było to za sto lat

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Było to za sto lat

(Przełożyła: Elżbieta Zychowicz)

Część pierwsza

GOŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

A JEŚLI ZA DRZWIAMI JEST ANAKONDA?

Rodzice Koli to jeszcze niestarzy ludzie, nie mają nawet czterdziestki. A sami uważają się za całkiem młodych – kupili łódź motorową, teraz ją malują, cackają się z nią, wciągają na brzeg, spuszcza ją na wodę, majstrują przy silniku, spraszają gości, pieką wspólnie szaszłyki i śpiewają pieśni. Podróżnicy z nich jednak od siedmiu boleści, zupełnie nie potrafią korzystać ze swego szczęścia. W ubiegłym roku pływali przez dwa tygodnie po Wołdze, a w sumie zrobili sto kilometrów – można pęknąć ze śmiechu. Kola nudzi się z nimi, ich romantyka mu nie w smak, zbyt komfortowa. W tę kwietniową niedzielę również kategorycznie odmówił malowania drogocennej „Czajki”. Oświadczył, że ma nazajutrz klasówkę. Rodzice tak się ucieszyli z jego poczucia odpowiedzialności, że nawet nie nalegali. Okazało się więc, że Kola ma przed sobą absolutnie wolną niedzielę, bez rodziców, bez obowiązków i może wzorem greckiego filozofa Epikura spędzić ją li tylko dla własnej przyjemności.

Kiedy się obudził, rodziców już nie było. Na stole leżała karteczka z prośbą o kupienie kefiru oraz jeden rubel.

Rankiem wolny dzień wydaje się nie mieć końca. Dlatego też Kola się nie spieszył. Włączył radio na pełny regulator i począł się zastanawiać, do kogo by tu zadzwonić. Było wcześniej, wszyscy przyjaciele z pewnością jeszcze spali, postanowił więc pójść po kefir. Wziął pieniądze, torbę, puste butelki i wyszedł na klatkę schodową.

Po schodach, prosto na niego, szli dwaj sanitariusze, niosąc złożone nosze. Obaj byli w starszym wieku, dobrze zbudowani, podobni do tragarzy, tyle że w białych czapkach i fartuchach. Kola się zatrzymał. I wtedy zauważył, że drzwi od sąsiedniego mieszkania są uchylone i słychać stamtąd jakieś głosy. Sanitariusze weszli z noszami właśnie tam. Coś musiało przydarzyć się sąsiadowi, Mikołajowi Mikołajewiczowi.

Sąsiad mieszkał sam, często jeździł w delegacje, a gdzie pracował – Kola nie miał zielonego pojęcia. Po chwili drzwi się otworzyły, sanitariusze wynieśli nosze na klatkę schodową. Na noszach leżał Mikołaj Mikołajewicz, blady, okryty prześcieradłem po samą szyję. Z tyłu szedł młody lekarz z pękatą walizeczką.

Przystanął w drzwiach i spytał:

– A co z mieszkaniem?

W tejże chwili Mikołaj Mikołajewicz spostrzegł Kolę.

– Cześć, imienniku – odezwał się cichym głosem, wyraźnie ucieszony. – Dobrze, że się spotykamy. Widzisz, serce nawaliło. Co za pech!

– To nic – powiedział Kola – wyzdrowieje pan.

– Dzięki za dobre słowo. Mam do ciebie prośbę: weź mój klucz. Niedługo ma do mnie

przyjechać przyjaciela z Murmańska. On wie, że jeśli mnie nie zastanie, klucz będzie u was.

– Jak zwykle – odrzekł Kola. Potem zwrócił się do lekarza: – Proszę zamknąć drzwi, panie doktorze, wezmę klucz.

Odprowadził Mikołaja Mikołajewicza aż na ulicę. Sanitariusze ostrożnie wsunęli nosze do karetki pogotowia. Sercowcy powinni mieć całkowity spokój.

– Kiedy można się go spodziewać? – spytał jeszcze leżącego w karetce Mikołaja Mikołajewicza.

– Za miesiąc. A może wcześniej. Zadzwoń do was, jak już pozwolą mi wstawać.

– Niech pan zadzwoni, koniecznie, odwiedzę pana – powiedział Kola. – Może kupić owoców?

Proszę, niech się pan nie krępuje.

– Przyjaciel z Murmańska powinien przywieźć mi lekarstwo. Liczę na twoje pośrednictwo.

– Murowane – odparł Kola. – Moi staruszkowie też chętnie pomogą.

Karetka ruszyła co prędzej i pomknęła do kliniki Sklifasowskiego, jak poinformował lekarz na pożegnanie. Kola postać chwilę, popatrzył za samochodem. Żał mu było Mikołaja Mikołajewicza. Był to równy gość, nie robił z siebie mentora wobec małych, nie pouczał ich, jak żyć, a pogawędki z nim były zawsze interesujące.

Potem Kola pobiegł do sklepu kupić kefir. Płacąc w kasie, namacał w kieszeni klucz od mieszkania Mikołaja Mikołajewicza i pomyślał: „Żeby tylko nie zapomniał powiesić go w przedpokoju na widocznym miejscu. Jak się zjawi przyjaciel z Murmańska, klucz będzie pod ręką.” Wróciwszy do domu, odstąpił od tego zamiaru. Strzeliła mu do głowy pewna myśl.

Rzecz w tym, że na biurku Mikołaja Mikołajewicza stał model fregaty. Cały drewniany, żagle miał płócienne, wanty ze szpagatu, a działa z prawdziwego mosiądzu.

Mikołaj Mikołajewicz powiedział kiedyś, że fregata jest zbudowana z dwóch tysięcy elementów i stanowi dokładną kopię prawdziwej. Kola lubił się jej przyglądać. Jeśli się nieco przykucnęło i zmrużyło oczy, można było wyobrazić sobie, że fregata płynie po oceanie, a żagle zwisają, ponieważ już od dwóch tygodni panuje cisza morską.

Kiedy Fima Korolow z jego klasy dowiedział się o fregacie, chciał koniecznie wprosić się do Mikołaja Mikołajewicza, Kola jednak nie palił się do tego. Fima jest gościem niezbyt miłym, okropnie marudny, niezdarny, zawsze coś strąci, rozbije. W końcu Firnie znudziło się wieczne przypominanie i rzekł:

– Przynies mi wymiary tej fregaty. Chcę zbudować żaglowiec, a brakuje mi fachowej literatury. Pomóż człowiekowi, co cię to kosztuje.

Rozmowa miała miejsce wczoraj, a dziś Mikołaj Mikołajewicz zachorował. Wieczorem wrócą rodzice, mogą schować klucz, a Fima za nic nie uwierzy, że sąsiad trafił do szpitala – będzie przekonany, że Kola znów się wykręca.

Z tą myślą Kola wziął ze swego pokoju kartkę papieru, linijkę, ołówek, po czym otworzył drzwi do sąsiada. Nie przyszło mu nawet do głowy, że postępuje niewłaściwie. Przecież gdyby spytał o pozwolenie Mikołaja Mikołajewicza, tamten na pewno by mu nie odmówił.

Zamknął za sobą drzwi, schował klucz do kieszeni i zapalił światło w przedpokoju, żeby nacieszyć się widokiem afrykańskich masek szczerzących zęby ze ściany.

Później wszedł powoli do dużego pokoju będącego jednocześnie gabinetem i sypialnią Mikołaja Mikołajewicza. Tapczan był nie posłany, pościel zmięta, słuchawka telefoniczna dyndała tuż nad podłogą. Kola wyobraził sobie, jak Mikołaj Mikołajewicz sięga z trudem ręką do telefonu i wykręca 03. Odłożył słuchawkę na widelki. Jeszcze nigdy nie był tu sam i nagle to w gruncie rzeczy

zwyczajne mieszkanie wydało mu się dziwnie opustoszałe, a nawet trochę złowieszcze. Stojąc tak na środku pokoju, rozumiał, że postąpił niezbyt fair i poczuł ogromną chęć, by wyjść i w ogóle nie dotykać fregaty.

Nie wyszedł jednak, a to dlatego, że na ścianie wisiał stary skałkowy pistolet. Mikołaj Mikołajewicz pozwalał mu czasem wziąć go do ręki, ale co to za przyjemność, i ktoś przy tym nie spuszcza z ciebie oka. Kola zdjął pistolet ze ściany, odwiódł kurek i wycelował w okno. Za oknem przelatywała właśnie wrona. Spuścił kurek, pistolet szczęknął cicho. Jasne, że był nie nabity, inaczej dopiero by huknęło.

Powiesił pistolet na miejscu i wówczas wzrok jego padł na drzwi do drugiego pokoju. Drzwi jak drzwi, miały jednak szczególną właściwość: zawsze były zamknięte. Kola ani razu nie widział ich otwartych. Już od dawna zachodził w głowę, co też może się kryć za nimi, kiedyś nawet zapytał:

– Co tam jest w tym pokoju?

– Czytałeś o Sinobrodym? – odparł pytaniem na pytanie Mikołaj Mikołajewicz.

– Przecież pan nie jest żonaty.

– Trzymam tam wścibskich chłopaczków. Siedmiu. Jest jeszcze trochę miejsca dla ósmego.

Na tym rozmowa się skończyła. Kola więcej nie zadawał pytań. Każdy ma swój honor.

A teraz nagle spostrzegł, że w białych drzwiach tkwi klucz. Widocznie Mikołaj Mikołajewicz nie przypuszczał, że zachoruje, a potem zapomniał go wyjąć.

Kola podszedł do drzwi i się zamyślił. Z pewnością jakieś dokumenty, papiery lub kosztowności. A może kolekcja znaczków... I w ogóle, jeśli ktoś nie chce pokazać ci pokoju, to po co się pchasz!

Kola już miał wrócić do fregaty, gdy nagle przyszło mu do głowy: a jeśli sąsiad trzyma tam jakieś rzadkie zwierzę? Na tyle rzadkie i niebezpieczne, że nawet pokazywać go nikomu nie wolno. Powiedzmy, dwunastometrową anakondę. A teraz owo niezwykle zwierzę siedzi głodne i nie ma pojęcia, że nikt go nie nakarmi przez cały miesiąc. Jeżeli to anakonda albo wielbłąd, to jeszcze betka one mogą obejść się bez jedzenia i picia, ale na przykład tygrys przez kilka dni będzie się miotał po pokoju, a gdy mu się nie uda rozwalić ściany, zdechnie z głodu. Gdyby zaś się udało, to wszystko może skończyć się jeszcze gorzej. Przecież on wyskoczy z pierwszego piętra na trawnik, połamie kwiaty emerytki Czuwpiło, ją samą połknie, a następnie pożre kiosk z lodami i dostanie anginy.

Oczywista, Kola nie myślał poważnie, że tygrys połakomi się na nieznośną emerytkę Czuwpiło, która uskarża się, że Kola tupie zbyt głośno. Po prostu kusiło go, by zajrzeć do tajemniczego pokoju, a na to musiał mieć jakieś moralne usprawiedliwienie. Czyż troska o głodne zwierzę nie stanowi takiego usprawiedliwienia?

Postał jeszcze chwilę pod drzwiami, przytknął do nich ucho, czy nie usłyszy jakiegoś oddechu lub szmeru – cicho było jak makiem zasiał.

Wówczas przekręcił klucz i uchylił drzwi.

TO NIE INDIE

Kola postanowił tylko rzucić okiem i z powrotem zamknąć drzwi. Jeżeli, oczywiście, ukryty tam wielbłąd nie poprosi o wodę do picia.

Uchylił drzwi na pięć centymetrów, nie więcej. Nic się nie zdarzyło. Jeszcze kilka centymetrów – znowu nic. Wówczas Kola wsunął głowę do środka i zobaczył, że pokój jest prawie pusty.

Był to niewielki pokój z pomalowanymi na zielono ścianami. W oknie wisiała płócienna zasłona, na tyle jednak prześwitująca, że wszystko było widoczne.

Stały tam dwie szafy i krzesło.

Jedna z szaf była stara, drewniana i bardzo pojemna. Drzwi do niej były otwarte na oścież. Widać tam było najrozmaitsze ubrania i płaszcze, a niżej – męskie oraz damskie buciki i pantofle różnych rozmiarów. W drugiej części na półkach leżały prześcieradła, poszewki, koszule, w ogóle bielizna. Z boku stały oparte o szafę trzy łóżka polowe.

Jakie wnioski powinien wyciągnąć tropiciel, natknąwszy się w mieszkaniu samotnego mężczyzny na szafę wypchaną ubraniami dla różnych ludzi?

Tropiciel Kola wysnuł przypuszczenie, iż są to rzeczy przyjezdnych przyjaciół Mikołaja Mikołajewicza. Często odwiedzali go przyjaciele i znajomi, przyjeżdżali z innych miast i zatrzymywali się na tydzień lub dwa. Z jednym staruszkiem Kola zawarł nawet znajomość i zaprowadził go do antykwariatu, ówże staruszek wyjaśnił, że mieszka w małym miasteczku i nie zawsze może dostać potrzebną mu książkę. Aby wciąż nie taskać ze sobą walizek, przyjaciele Mikołaja Mikołajewicza zostawiają rzeczy w Moskwie.

A sypiają na łóżkach polowych.

W ogóle pokój okazał się całkiem nieciekawym i na dobrą sprawę można by już stamtąd wyjść, gdyby nie druga szafa.

A była to szafa niezwykła. Podobna do budki telefonicznej, tyle że większa. Kola podszedł do oszklonych drzwi i zajrzał do środka. Zamiast aparatu telefonicznego zobaczył tablicę przyrządów, jak w samolocie, i zrozumiał, że właśnie w tej budce tkwi główna tajemnica pokoju.

– Chwileczkę – powiedział na głos, troszkę zdenerwowany, miotany dwoma pragnieniami: aby czym prędzej opuścić pokój i aby z bliska przyjrzeć się przyrządom. Przecież interesuje się techniką, w zeszłym roku zmontował nawet odbiornik, cóż z tego, że nie działał.

Nacisnął klamkę oszklonych drzwi, która poddała się lekko, jak naoliwiona. Drzwi się otworzyły, zapraszając go do wnętrza. Kola nie wahając się długo, wszedł do kabiny. Pachniało tam ozonem jak podczas burzy.

Zaczął przypatrywać się tablicy. Wzdłuż jej dolnej, lekko pochyłej, wysuniętej ku przodowi części biegły dwa rzędy guzików. Nieco wyżej – rząd przełączników. Jeszcze wyżej – rząd cyferblatów. Cały ten układ był wyłączony, martwy, trudno więc było zgadnąć, do czego może służyć.

Jak na złość spojrzenie Koli padło na przełącznik i widniejące z jego obu stron skróty: „WŁ.”

i „WYŁ.”. W tej chwili znajdował się w pozycji „WYŁ.”.

Zawsze zdążą wyłączyć, pomyślał Kola i obrócił przełącznik.

Rozległo się ciche buczenie, strzałki przyrządów na tablicy drgnęły, niektóre przesunęły się z lekka. Kola chciał cofnąć przełącznik, lecz równocześnie usłyszał za plecami cichy trzask.

Obejrząwszy się szybko, spostrzegł, że drzwi się zamknęły. Nacisnął klamkę – ani drgnęła. Nie stracił jednak kontenansu. Obrócił przełącznik w lewo, strzałki przyrządów wróciły do pozycji zerowej, buczenie ustało, a drzwi otworzyły się powoli.

– No proszę – wyrzekł Kola na głos – maszyny muszą podporządkować się człowiekowi.

Jeszcze raz, potem drugi, zamknął, następnie otworzył drzwi, wreszcie ośmielony, postanowił wypróbować również inne przełączniki.

W drugim rzędzie guzików jeden był czerwony. Niżej widniał napis: „Rozruch”. Pod innymi spostrzegł numery oraz niezrozumiałe oznakowania. Tylko pod dwoma były napisy: „Stacja pośrednia” i „Stacja końcowa”.

Pasjonujące. Kola nacisnął guzik „Rozruch”, nic się jednak nie zdarzyło. Domyślił się, że działa zbyt pośpiesznie. Najpierw trzeba ustawić przełącznik na „WŁ”. Tak też postąpił. Ponownie włączył „Rozruch” i znowu nic. To znaczy, że czegoś jeszcze nie zrobił.

Kola był rozgarniętym chłopcem, szybko więc połapał się, że maszyna nie otrzymała zadania. Nacisnął guzik „Stacja pośrednia”. Tym razem efekt przeszedł wszelkie oczekiwania i Kola niemal zaczął żałować, że ważył się na taką próbę.

Buczenie wzmogło się, stało się niemal ogłuszające. Szklane drzwi powlekleły się mgłą, szyby zmatowiały. Kabina lekko zadrżała, jak gdyby ktoś włączył wiertarkę dentystyczną. Kola wyciągnął rękę, chcąc jak najszybciej zlikwidować drgania, lecz w tej samej chwili na małym ekranie w górnej części pulpitu pojawił się jaskrawoczerwony napis: „Uwaga!”.

Napis zgasł, na jego miejsce pojawił się nowy, biały: „Sprawdź, czy stoisz w kręgu”.

Kola spojrzął pod nogi i zobaczył, że stoi na czarnym dywaniku, w kształcie koła, obwiedzionym białą linią.

– Tak – powiedział głośno, usiłując przekrzyczeć rosnący huk. – Stoję w kręgu.

Kolejny napis przestrzegał jeszcze surowiej: „Nie ruszaj się! Trzymaj się poręczy!”.

Kola nie zauważył przedtem żadnej poręczy, teraz jednak z tablicy przyrządów na wysokości jego oczu wysunął się uchwyt. Był wyraźnie obliczony na wzrost dorosłego człowieka. Kola posłusznie uczepił się chłodnego metalu, nie śmiać sprzeciwić się napisom na ekranie.

„Zamknij oczy” – polecił napis.

Kola wykonał polecenie.

I wtedy wszystko zniknęło.

Nie było kompletnie nic – ni powietrza, ni upału, ni mrozu, ni poczucia przestrzeni. Tylko chłodny dotyk metalowego uchwyty.

Jak długo to wszystko trwało, nie wiadomo. Może minutę, a może ze dwie godziny. Nie mógł nawet się przestraszyć ani krzyknąć, bo przecież strach i krzyk to coś realnego, a jak się tu przestraszyć, skoro po prostu nie ma nic.

I nagle wszystko się skończyło. Słyszeć było tylko buczenie. Kola stał jeszcze przez chwilę, starając się oprzytomnieć, potem odważył się otworzyć jedno oko. Zobaczył ekran, a na nim zielony napis: „Przerzut zakończony. Stacja pośrednia”. Kola złapał oddech i przysiągł sobie nigdy więcej nie pchać się tam, gdzie go nie proszą.

Teraz wiedział już, co należy zrobić. Wyłączył „Rozruch”, następnie obrócił w lewo przełącznik „WŁ.– WYŁ.” Natychmiast zapanowała kompletna cisza.

„Mogło być gorzej – pomyślał otwierając drzwi kabiny. – A w ogóle to zachowałem się na medal, prawie nie stchórzyłem. Szkoda, że nie mogę nikomu o tym opowiedzieć.”

Kola wyszedł z kabiny i stanął jak wryty. Albo w pokoju coś się zmieniło, albo wzrok go zawodzi. Po pierwsze, drzwi szafy ubraniowej były zamknięte, choć Kola ich nawet nie dotknął. No dobrze, drzwi mogły zatrzasnąć się same, kiedy kabina dygotała jak przerażony zajac. Ale gdzie się podziały polowe łóżka i co się stało z zielonymi tapetami? Pokój miał teraz ściany pomalowane na biało. Kola aż przetarł oczy – nic nie pomogło.

Postanowił więc nie myśleć o tym. Jeśli coś jest całkiem nie do pojęcia, lepiej o tym nie myśleć. Kola trzymał się tej zasady, gdy wywołany do tablicy nie umiał rozwiązać zadania albo nie wiedział, kiedy odkryto Amerykę. Gapił się w okno i nie myślał o zadaniu ani o Ameryce. Tak czy owak dwója murowana, chyba że jakaś pocziwa dusza podpowie.

Tak samo postąpił i teraz. Namacał w kieszeni klucz od mieszkania i ruszył do wyjścia.

W dużym pokoju też panował bałagan. Fregata gdzieś zniknęła. Ale to nie wszystko. Zniknął również stół, na którym była umieszczona, zniknął tapczan wraz ze zmiętą pościelą, telefon, na ścianie nie było pistoletu – w ogóle zniknęło absolutnie wszystko. Pokój był niby ten sam, ale podczas gdy Kola przebywał w kabinie, ktoś pomalował ściany, a w miejsce dawnych przedmiotów napakował pełno najrozmaitszej aparatury.

Cóż w takiej sytuacji może przyjść na myśl?

Kola był nie w ciemną bity, zorientował się od razu. Niedawno czytał opowiadanie amerykańskiego pisarza, Washingtona Irvinga. O pewnym facecie nazwiskiem Rip Van Winkle, który wybrał się w góry i tam zasnął. Wrócił do swojej wioski, idzie ulicą, a tu nikt go nie poznaje. Łapie się za twarz, patrzy – brodę ma do pasa. Wtedy dopiero domyślił się, że przespał ciurkiem dwadzieścia lat.* [Opowiadanie Washingtona Irvinga „Rip Van Winkle” zostało wydane przez I. W. „Nasza Księgarnia” w 1972 roku.]

Kola odruchowo dotknął podbródka i aż się zdziwił, że mu nie wyrosła broda. Obmacując policzki, rozkleił się nagle, wyobraziwszy sobie rodziców, którzy dwadzieścia lat temu wrócili do domu – na stole zastali kefir, a syna ani wida, ani słychu. Obdzwonili wszystkie szpitale, była milicja z psem – wszystko na próżno. Dwunastoletni Kola przepadł bez śladu. A teraz oto wejdzie po schodach, zapuka do drzwi, które otworzą mu jego starzy, posiwiali rodzice i smętnie zapytają: „Pan do kogo, młody człowieku?” Kola odpowie: „Do waszego syna”. Oni zaś na to: „Dawno już nie mamy dzieci, nasz syn Mikołaj już dwadzieścia lat temu przepadł bez wieści”.

Pogrążony w tych smutnych myślach Kola podążył do drzwi. Podejrzewał, że przedpokój również się zmienił w ciągu dwudziestu lat. Ale w najśmielszych przypuszczeniach nie mógł przewidzieć TAKICH zmian.

Przedpokoju po prostu nie było. Zamiast niego zobaczył pokój dziesięć razy większy od poprzedniego, ogromnie wysoki, również zastawiony aparaturą i oświetlony nie wiadomo jakim sposobem.

Sala ta zajmowała nie tylko dawny przedpokój, ale i klatkę schodową, a nawet mieszkanie Koli. Był to cios nie do zniesienia.

Kola już miał skoczyć z powrotem do kabiny, by niezwłocznie przycisnąć guziki – niech się skończą te diabelskie sztuczki! – ale wtem przyszła mu do głowy inna myśl. Jaki był napis pod

guzikiem? „Stacja pośrednia”, „Stacja końcowa”. Co to oznacza? Stacja, przystanki... To znaczy, że kabina jest nowym superszybkim środkiem lokomocji i Kola po prostu znalazł się w innym miejscu, w innym mieście, może nawet w Indiach? I rzecz jasna, to nie ten sam pokój, lecz całkiem inny, tyle że podobny.

Gdy mu to przyszło do głowy, przestał myśleć o powrocie do kabiny. Jeszcze zdąży. Nie wolno przegapić okazji zwiedzenia Indii czy Samarkandy.

Kola odnalazł drzwi. Były takiego samego koloru co ściana, zdradzała je tylko cieniutka jak włos szczelinka. Obok spostrzegł biały guzik. Nacisnął go, drzwi się rozsunęły. Znalazł się w długim, szerokim korytarzu bez okien. Może i tu były gdzieś drzwi, tylko z daleka zlewały się ze ścianą.

Cóż, idziemy dalej, postanowił i – by nie szukać później drzwi – położył obok nich pięciokopiejkówkę.

W korytarzu nie spotkał nikogo. Pewnie dlatego, że to niedziela albo pora zbyt wczesna. Kola nie miał zegarka, ale przecież zależnie od szerokości geograficznej występują różne strefy czasowe i na przykład w Indiach może być południe, a na Hawajach nawet wieczór.

Tak, tak, wiedział sąsiad, dlaczego zamyka ostatni pokój na klucz. Z pewnością jest to pojazd eksperymentalny, być może nawet stanowi tajemnicę. Nie szkodzi nie ma powodu do obaw: Kola będzie milczał jak grób. Żeby go nawet torturowano, nie puści pary z ust.

Korytarz kończył się szerokimi schodami. Kola już prawie stawiał nogę na pierwszym stopniu, gdy zauważył, że w dole mignęło coś błyszczącego. Zamarł. Wyraźnie słychać było szelest. Kola szybko uskoczył w bok i przykucnął za występem. Absolutnie nie miał ochoty, by go ktoś zauważył i zaczął zadawać pytania w stylu: „A ty, chłopcze, skąd się tu wzięłeś? A tobie, chłopcze, kto pozwolił podróżować w kabinach?”

Ze swej kryjówki dostrzegł dziwne stworzenie wspinające się po schodach – ni to rycerz-liliput, ni to odkurzacz na nóżkach. Potworek nie miał głowy, posiadał natomiast liczne łapki, które przyciskały do boków oraz pleców świstki papieru, śmiecie, zaś spod karzełka wyskakiwały okrągłe szczotki i obracając się odkurzały poręcze i stopnie, wpychając śmiecie do błyszczącego woreczka przymocowanego z tyłu. Karzełek-sprzątacze przebiegł tuż obok Koli, zdążywszy jedną szczotką przejechać po jego spodniach, drugą zaś wyczyścić buty. I nie zatrzymując się popędził dalej.

– Dziękuję – powiedział Kola i choć pierwsze spotkanie skończyło się pomyślnie, dalej już miał się na baczności, aby się na kogoś nie napatoczyć.

Schody zaprowadziły go do dużego westybulu z przezroczystą ścianą. Szyba była tak ogromnych rozmiarów, że aż dziw, iż nikt do tej pory jej nie rozbił. Kola podszedł do szklanej ściany, przyglądając się widocznemu przez nią placowi.

Plac był porośnięty młodą niską trawą. Okalały go drzewa obsypane rozwijającymi się pączkami. Kola pomyślał, że w Moskwie pąki się jeszcze nie rozwijają, to znaczy, że trafił gdzieś na południe.

Niechcący oparł się lekko o szklaną tafłę – pojawił się w niej otwór dokładnie odpowiadający wzrostowi Koli. Ściana jak żywa zapraszała, by przez nią przejść. Przyjął zaproszenie.

Na dworze nie było zimno, kurtka okazała się wystarczającym okryciem. Wiał słaby wietrzyk, za drzewami rysowały się wysokie domy. Kola przekroczył gładką różową ścieżkę i zrobił kilka kroków prosto przez trawnik, po czym odwrócił się, aby lepiej przyjrzeć się budynkowi, z którego przed chwilą wyszedł.

Dom był wysoki, liczył dwadzieścia pięter. Okien jednak miał niewiele. Jak również kantów. Jak gdyby ktoś opiłował go pilnikiem. Mienił się cały perłowym blaskiem. Gdzieniedzie budowniczy

pewnie zapomniał wygładzić wklęsłości i wypukłości, albo nie – domyślił się Kola – przecież to zrobiono celowo. We wgłębieniach znajdowały się balkony, zaś oszklone wypukłości wyglądały jak oczy ważki. Trudno powiedzieć, by dom go zachwyił, ale jako człowiek o szerokich horyzontach uważał, iż każdy naród ma prawo budować takie domy, jakie mu się tylko zamarzą. Z pewnością Eskimosom mieszkającym w lodowych igloo albo Indianom z wigwamów śmieszne muszą się wydawać drapacze chmur czy wiejskie chaty.

Nad szklaną ścianą, przez którą dopiero co przeszedł, widniał napis złożony z ogromnych złotych liter:

INSTYTUT CZASU

Z obu stron napisu znajdowały się dwa czarne kwadraty co najmniej piętrowej wysokości. Jeden był zegarem. Świeciły na nim cyfry: 9.15.35...36...37...38...39... Ostatnia cyfra, oznaczająca sekundy, raz po raz się zmieniała.

Natomiast drugi kwadrat zburzył wszystkie teorie Koli.

Widniał tam napis:

11 KWIETNIA 2082 ROKU

NIEDZIELA

Całkiem możliwe, że ktoś inny na miejscu Koli złapałby się za głowę, rozplakał z przerażenia i puścił biegiem z powrotem do Instytutu Czasu, aby jak najprędzej znaleźć się w domu, u mamy. Przecież nie każdy sprostałby takiej przygodzie, jaka się przytrafiła Koli. Trzeba mieć mocne nerwy. Niech się schowa Rip Van Winkle ze swoją brodą i przespanymi dwudziestoma latami. Toż to sto lat z okładem, nawet żółwiom rzadko zdarza się dożyć tak sędziwego wieku.

Tymczasem Kola się ucieszył.

– A to ci heca! – wykrzyknął głośno.

I postanowił na razie nie wracać.

Rodziców i tak nie ma w domu. Mikołaj Mikołajewicz w szpitalu. Przecież nigdy w życiu by sobie nie darował, gdyby przepuścił okazję spaceru po odległej przyszłości. Być może zawahałby się, gdyby miał brudne buty, ale w sukurs przyszedł mu sprzątac. Czegóż jeszcze może sobie życzyć podróżnik w czasie?

DZIADEK-RÓWIEŚNIK

Najpierw należało podjąć decyzję, dokąd się udać. Dom Koli stał w zaułku Siwcew Wrażek. Był już bardzo stary, zbudowany jeszcze przed rewolucją. Kola doszedł do wniosku, że jakieś moskiewskie domy musiały się zachować – przecież nawet kiedyś stały po trzysta lat. Jeśli więc pójdzie w prawo, to tam, gdzie ongiś znajdował się Bulwar Gogola, musi się natknąć na coś znajomego. Orientację ma niezłą, ani razu nie zdarzyło mu się zabłądzić w lesie. W Moskwie nie zginie. Nawet po stu latach. A lepiej nie pytać o drogę przechodniów, by nie wzbudzać podejrzeń. Kola ruszył w stronę Bulwaru.

Szedł różową ścieżką lekko sprężynującą pod stopami. Za drzewami okalającymi trawnik ścieżka łączyła się z szeroką ulicą.

Kola uszedł zaledwie kilka kroków, gdy z tyłu rozległ się głos:

– Z drogi, chłopcze! Którędy leziesz? Chcesz, żeby cię ktoś potrącił?

Kola odskoczywszy w bok, spostrzegł, że dogania go dziwaczny staruszek. Jechał na jednokołowym rowerze, rozłożywszy dla równowagi ręce niczym akrobata cyrkowy. Z ubioru również przypominał cyrkowca: miał na sobie zielony obcisły trykot i miękkie czerwone kapcie z długimi, spiczastymi, nawet nieco zwisającymi noskami. Siwe włosy ostrzyżone na jeża, długie wąsy sterczące na boki – pewnie też dla równowagi. Staruszek dopędził Kole.

– Odprowadź mnie kawałek – zaproponował – nudno tak samemu.

Kółko roweru było nieduże, toteż staruszek, mimo że mocno naciskał pedały, jechał dość wolno. Kola spełnił jego prośbę.

– Szykujesz się na maskaradę? – spytał staruszek przyglądając się zwykłemu ubraniu Koli.

– Tak – odpowiedział Kola, uznając ostrożność za rzecz najważniejszą.

– Ubrałeś się niestosownie – zawyrokował staruszek – W moich czasach wszyscy chłopcy nosili tak mundurki szkolne. Ciemnoszare spodnie z grani odcieniem i taką... jak by tu powiedzieć... marynarkę. Wiesz, co to jest marynarka?

– Mniej więcej – odparł Kola. I o mało nie dodał, że jego ojciec nosi marynarkę, a w ogóle to wszyscy mężczyźni je noszą. Zreflektował się jednak natychmiast – minęło tyle czasu, na pewno dzieci zapomniały już o marynarkach.

Ale staruszek nie zwracał uwagi na odpowiedzi Koli. Lubił sobie po prostu pogadać. Wśród krzewów ciągnących się wzdłuż drogi stała ławka. W minimalnym stopniu przypominała ławki uliczne. Była niska, podobna raczej do kanapy. Kiedy staruszek zszedł ze swego kółka i usiadł, zapraszając Kole do pójścia w jego ślady, okazało się, że ławka jest miękka, jak gdyby wypchana puchem.

– Odpocznijmy – sapnął staruszek. – Pięć minut. Troszkę się zadyszałem. Mam na imię Paweł, a ty?

– Kola.

– Nie spieszysz się?

Kola nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedział, czy się spieszy, czy nie. Pewnie że szkoda czasu siedzenie i gadki o marynarkach, na których znał się lepiej od staruszka. Ale był to pierwszy napotkany człowiek z przyszłości. I o nic Koli nie podejrzewał.

Staruszek nie czekał na odpowiedź.

– No tak – powiedział – powinienem ci dokładniej wyjaśnić, co to takiego marynarka. To starodawny rodzaj ubrania, jakie nosili mężczyźni w czasach mojej młodości. Wywodzi się od surduta, w którym chodził Puszkina...

– A dlaczego nie kupi pan roweru na dwóch kołach? – przerwał Kola. – Przecież na jednokołowym niewygodnie.

– Lekarze tak zalecają. Ponoć świetnie wyrabia mięśnie. W moim wieku nie można lekceważyć zaleceń lekarzy. Dotknij moich mięśni.

Zgiął rękę w łokciu i podsunął Koli. Fakt, że mięśnie były twarde. Twardsze niż u Koli.

– Taak – podjął znów ten sam temat. – Marynarki były zapinane na guziki... Zresztą wiesz o tym, przecież na twoim maskaradowym kostiumie widzę te niewygodne przedmioty. Radziłbym ci zrobić pewne poprawki w twoim ubiorze.

– A mnie się zdaje – Kola starał się mówić uprzejmie – że wszystko jest jak należy. To ubranie na co dzień, nie do szkoły.

– Na co dzień nosiło się białe koszulki – zaprotestował Paweł – i czarne spodniki. I sandały. Tak, tak, sandały.

– Ale kiedy to było... – powiedział Kola. – W całkiem innych czasach.

– Jak to – w innych? – zdziwił się staruszek. – Jakich innych?

Kola ocenił na oko wiek staruszka – jakieś sześćdziesiąt lat.

2082 minus sześćdziesiąt – wypada 2022. Plus dziesięć czy dwanaście. Wypada 2032.

– No, w latach trzydziestych tego wieku – odpowiedział.

Staruszek zaczął tak ryczeć ze śmiechu, że dwie zielone papugi poderwały się z gałązki wrzeszcząc ludzkim głosem:

– Okrrropność! Okrrropność! Kto zerrrrwał rrróżę? – Święta naiwności! – wykrztusił wreszcie, ocierając łzy. – Ach ty żartownisiu! Bezwstydnie mi się podlizujesz! Czyżbym wyglądał tak młodo?

– Nie bardzo – powiedział uczciwie Kola – ale na rowerze jeździ pan, że ho-ho.

– Wobec tego wyjawię ci tajemnicę. Jutro kończę sto siedemnaście lat.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Kola. To pan z Abchazji?

– Dlaczego?

– Bo tam są ludzie długowieczni. Odżywiają się serem, winem i wypasają owce.

– Nie. Mieszkam w Moskwie, odżywiam się najczęściej kefirem i strasznie lubię kotlety baranie.

A ty lubisz?

– Uwielbiam – przyznał się Kola. Jeszcze nie otrząsnął się ze zdumienia. – To znaczy, że jesteśmy rówieśnikami!

– W pewnym sensie – zgodził się staruszek. – Jeżeli wziąć pod uwagę twoje ubranie, rzeczywiście jesteśmy rówieśnikami. Ale powtarzam ci raz jeszcze z całą odpowiedzialnością, że za moich czasów chłopcy ubierali się inaczej. Mogłem zapomnieć o tym, co było pięćdziesiąt lat wstecz, ale dokładnie pamiętam to, co było w ubiegłym stuleciu.

No i rób co chcesz! Staruszek był tak pewny siebie, że nie dopuszczał jakiegokolwiek dyskusji.

Kola zresztą wcale nie miał ochoty na spory. Był wręcz osłupiały. Obok siedział jego rówieśnik. Rówieśnik, który w sto lat później jeździ na jednokołowym rowerze i nosi czerwone kapcie. Może więc i jemu uda się przeżyć jeszcze ze sto lat?

- A jak ze zdrowiem? – spytał Kola przyjaźnie. – Nic panu nie dokucza?
- Nie uskarżam się. Dzięki medycynie. Tylko trochę źle sypiam.
- No, to jeszcze można wytrzymać. A jaką szkołę pan ukończył?
- Sto dwudziestą trzecią, angielską. Na Prospekcie Pokoju.
- Ja też się uczę w angielskiej – ucieszył się Kola. – Do you speak English?
- Yes, I do – odparł staruszek. – A dobrze się uczysz?
- Jako tako. Dużo zadają.
- A ja myślałem, że teraz nic już nie zadają.

Kola zreflektował się:

- Od czasu do czasu.
- A moje prawniki twierdzą, że nic nie zadają. Widać mam rację nie bardzo im dowierzając.
- A dokąd pan chodził na ślizgawkę?
- Na Sokolniki. A ty?
- Ja do Parku Kultury.

W tym miejscu Kola uznał, że lepiej nie zagłębiać się zbyt w wspominki, bo można łatwo palnąć jakieś głupstwo. Minęło pięć minut, ale staruszkowi nie chciało się ruszyć. Przyjemna była ta pogawędka z młodym człowiekiem, który odjął mu połowę lat. Wiadomo, że starsi ludzie uwielbiają, gdy im się odejmuje lata.

Na niebie rozsnuła się biała smuga. Pojawiła się tak błyskawicznie, że nie mógł pozostawić jej żaden odrzutowiec – zbyt wielka była to szybkość.

- Co to? – zapytał Kola.
- Splinter – odparł staruszek obojętnie. – A może regularny na Księżyc. Przecież tam odbywa się festiwal. Czyżbyś o tym nie wiedział?
- Wiem – odparł Kola. – Ale my urządzamy maskaradę.

Nad ulicą powoli płynęła perłowa kula o średnicy pół metra. Zrównawszy się z ławką, kula zmieniła kierunek i ruszyła prosto na nich. Kola trochę się przestraszył, staruszek zaś skinął na nią, a gdy zbliżyła się, pstryknął palcem w jej bok. Pojawiła się szczelina, z której na dłoń staruszka Pawła wypadł przedmiot podobny do papierośnicy.

- Poczytamy gazetkę – oznajmił.

Kula wzbiła się w powietrze i poszybowała w poszukiwaniu innych czytelników.

Kola popatrywał spod oka na staruszka, który nacisnął jakiś guzik z boku papierośnicy. Natychmiast przekształciła się w różnokolorowy ekran, po którym przelatowały rozmaite obrazy. Koli niewygodnie było zerkać z boku, słyszał tylko melodyjny głos kobiety:

„Znosi się na to, że festiwal na Księżycu będzie najciekawszym widowiskiem roku... W ONZ rozpoczęły się obrady...”

W tym momencie jego uwagę przyciągnęły trzy przezroczyste kule, które na wyścigi przemknęły ulicą, nie dotykając nawierzchni. Rozparci na miękkich siedzeniach ludzie wcale nimi nie kierowali, jeden czytał taką samą jak staruszek Paweł gazetę.

Kola uświadomił sobie, że czas biegnie, wszyscy dokądś pędzą, tylko on jeden się obija.

- Przepraszam – zapytał – która godzina?

Jego rówieśnik, nie odrywając się od gazety, wyciągnął rękę. Na przegubie miał gładką szeroką bransoletę. Po krótkiej chwili rozbłysły na niej litery i cyfry:

GODZINA 10-12-36

T 15°. DESZCZU NIE BĘDZIE.

– Dziękuję – rzekł Kola, postanowiwszy niczemu się nie dziwić.

NIEBIESKI KOŃ I INNI LINGWIŚCI

Rówieśnik Koli, którego można by nazwać Paszką, gdyby nie był taki stary, zagłębił się w lekturze gazety i zapomniał o bożym świecie. Kola cichutko wstał z ławki i ruszył w dalszą drogę. Zaświtał mu pomysł, by dostać się na kosmodrom i, jeśli się uda, machnąć się na Księżyc. Kursują tam statki turystyczne, a więc podróż nie trwa długo. Kola zdawał sobie sprawę, że jeśli przeżyje tyle lat, co Paweł, a nawet trochę mniej, nie raz jeszcze polecą na Księżyc czy na Marsa. Ale to stanie się kiedyś tam. A przecież człowiek chciałby mieć wszystko od razu. Kola nie zapytał starszaka, jak dojechać do kosmodromu, ponieważ za sto lat każdy moskwiczanie będzie znał tę drogę.

Rozejrzawszy się wokół, spostrzegł znajomy budynek. Stał on na zboczu wysokiego wzgórza, jego kolumny białeły za drzewami. Przed stu laty był tu Bulwar Gogola, a na budynku, gdzie mieścił się Związek Artystów, wmurowana była tablica pamiątkowa głosząca, że tu niegdyś mieszkał Turgieniew.

– Witaj, stary przyjacielu – ucieszył się Kola. – Miło spotkać znajomy dom.

– Dzień dobry – odpowiedział ktoś w pobliżu. – Czyżbyśmy się już gdzieś spotkali?

Kola obejrzał się, ale nikogo nie zauważył,

– Ja z panem i teraz jeszcze się nie spotkałem – odrzekł. – Gdzie pan jest?

– Jeśli pan zrobi następny krok, to mnie pan z pewnością rozdepcze. A to byłoby nadzwyczaj przykre.

Kola zobaczył u swych nóg jasnozielonego kotka z jednym liliowym okiem pośrodku głowy.

– Nie – stwierdził, przypatrując się dziwnemu stworzeniu. – Nie spotkaliśmy się nigdy przedtem.

U nas takich nie ma.

– Wobec tego pozwoli pan, że się przedstawię: jestem profesor Rrrr, znany archeolog kosmiczny, specjalista od języków martwych.

– Kola.

– Bardzo mi miło. Dlaczego został pan w mieście w ten niedzielny poranek? Wszyscy moi przyjaciele rozjechali się w różne strony.

– Przygotowujemy się do maskarady. Sceny z życia dwudziestego wieku – odparł Kola. – A pan z innej planety?

– Rozumie się. Przyjechałem tu na seminarium z lingwistyki strukturalnej. Pan się nie interesuje lingwistyką strukturalną? To niezwykle zajmujące. W naszym seminarium bierze udział dwóch siódmoklasistów i jeden trzecioklasista. Nie licząc profesorów i członków akademii.

– Nie – wyznał Kola – nie interesuję się lingwistyką. Moje hobby to piłka nożna.

– Moje też – ucieszył się Rrrr. – Nawet wybieram się na mecz. Co za zbieg okoliczności.

– A kto gra? – spytał Kola.

– Nie wie pan?! – ze zdziwienia Rrrr aż zamachał zielonymi puszystymi łapkami, – Przecież to mecz stulecia! Reprezentacja Marsa przeciw reprezentacji baz kosmicznych. O puchar Układu.

– Kiedy początek?

– Za pół godziny. Zdamy. Ma pan bilet?

– Nie, nie mam – zmartwił się Kola. Wypadałoby pójść na mecz. Chociaż lepiej na kosmodrom.

– Niech pan chwilę zaczeka, młody przyjacielu – powiedział Rrrr. – Zaraz przyjdzie docent Spusi-Wa-Pus-Wa-Pas-Wa-Pos. Może ma zbywający bilet.

– Dobrze – zgodził się Kola. – Poczekamy na docenta. A proszę mi powiedzieć, jak dostać się na kosmodrom.

– Niemożliwe, żeby pan nie wiedział! – wykrzyknął archeolog Rrrr. – Żartuje pan!

– Nic podobnego – odparł Kola. – Po prostu zapomniałem.

– Więc niech pan wsiądzie do autobusu nr 3. Wsiądzie pan na Prospekcie Pokoju. A stamtąd flipnie pan na kosmodrom.

– Dziękuję. A gdzie przystaje trójka?

Rrrr tak się rozchichotał cieniutkim głosikiem, że nie mógł się opanować. Najwyraźniej słowa Koli zabrzmiały dla niego jak najzabawniejszy żart. Śmiałyby się tak bez końca, ale tuż obok zahuczał nagle srogi bas:

– Cóż w tym śmiesznego? Chłopiec gra swoją maskaradową rolę.

– Aach – wykrztusił wreszcie archeolog Rrrr. – Pozwoli pan, że przedstawię: mój przyjaciel, docent Spusi-Wa-Pus-Wa-Pas-Wa-Pos. A to mój nowy przyjaciel, Kola.

– Bardzo mi przyjemnie – odrzekło dwumetrowe akwarium na trzech nóżkach. Wewnątrz akwarium siedział mały niebieski koń. W wodzie tuż przed jego pyskiem zwiślał mikrofon, zaś na zewnątrz wystawał niewielki głośnik. – I proszę nie robić takich okrągłych oczu, młody człowieku. To nie moja wina, że atmosfera ziemską jest do niczego i muszę chodzić w skafandrze.

– Jasne, wcale się nie dziwię – powiedział Kola. – Przecież pan też z innej planety?

– Z innej Galaktyki – poprawił basem niebieski koń.

– Słuchaj no, docencie – przerwał im Rrrr – nie masz przypadkiem zbywającego bileciku dla naszego przyjaciela Koli?

– Miałem cztery bileciki, bo przecież nie zmieszczę się na jednym miejscu. Jeden bilet oddałem mojemu koledze, doktorowi Komanianowi z planety Kromanian. A oto i on sam.

Kola z pewną obawą popatrzył we wskazanym kierunku, spodziewał się bowiem już nie wiadomo kogo. Ale doktor Komanian z Kromaniana okazał się być zwykłą konewką ogrodową posiadającą ręce i nogi.

– I co poczniemy z Kola? – zafrasował się archeolog Rrrr.

– Może się na mnie wierzchem proponował docent Spusi-i-tak-dalej – i spuścić nogi do akwarium-skafandra.

– Nie – sprzeciwił się Komanian z Kromaniana, czyli ogrodowa konewka. – Widzowie siedzący z tyłu będą się złościć. I tak się wściekną na ciebie, że im zasłaniasz widoczność.

– Niech patrzą przeze mnie. Jestem częściowo przezroczysty – odparł niebieski koń.

– Nie kłopotcie się – uspokoił Kola uczonych lingwistów. – Mam inne plany. Jadę na kosmodrom.

– Wykluczone – powiedział archeolog Rrrr – nie dopuszczę do tego. Oddam ci swój bilet. Moja przyjaciółka Alicja postąpiłaby tak samo.

– Nic z tego – wtrącił Komanian z Kromaniana. – Zapomniałeś, że masz ćwiartkę, a nie cały bilet. Sam będziesz siedział u mnie na kolanach.

Aby nikt nie miał wątpliwości, że takowe posiada doktor Komanian z Kromaniana postukał kościstym palcem po równie kościstym spiczastym kolanie.

„Biedny Rrrr – pomyślał Kola. – Przecież te kolana przebiją go na wylot”.

– No to do widzenia – powiedział – bo się spóźnicie. Opowiecie mi wszystko, jak się spotkamy.

Kosmiczni goście pospieszyli w dalszą drogę. Kola patrzył za nimi, póki nie zniknęli mu z pola widzenia. Z prawej strony szło akwarium z niebieskim koniem, z lewej – konewka ogrodowa, a pośrodku kotek bez ogonka. Zapomnieli już o Koli i głośno dyskutowali nad schematem deszyfracji ósmego rzędu.

Kosmicznych gości wyprzedzali inni kibice. Jedni szli piechotą, drudzy lecieli tuż nad ziemią w przezroczystych kulach, górą przemknęło stado chłopaczków ze skrzydłami u ramion. Machali tymi skrzydłami na podobieństwo ważek. Wszyscy ubrani byli jaskrawo i dość lekkomyślnie, niektórzy bowiem, nie bacząc na chłodny dzień, nosili wyłącznie kąpielówki. Nie dziwili się sobie nawzajem, nie budzili również ich zdziwienia kosmiczni goście, na Kolę natomiast patrzyli z wyraźnym zdumieniem, a dziewczynka, robiąca dziesięciometrowe kroki dzięki temu, iż zamiast pantofelków miała na nogach sprężyny, przyskoczyła do niego, oznajmiając:

– U nas była ciekawsza maskarada. Przebieraliśmy się za rycerzy.

– Chwileczkę, dziecino – odparł Kola. – Powiedz mi, gdzie znajdę autobus nr 3?

– Skręć bulwarem w lewo – odpowiedziała dziewczynka. – Autobus stoi przy pomniku Gogola.

LUBISZ MANGODYNIĘ?

Bulwar bardzo się zmienił w ciągu minionych lat. Po pierwsze, był teraz trzykrotnie, jeśli nie pięciokrotnie szerszy – gdy się szło środkiem, nie widziało się jego obrzeży. Po drugie, zmieniły się całkowicie drzewa i inna roślinność. Ostało się wprawdzie kilka starych lip i klonów, ale pomiędzy nimi rosły kwitnące jabłonie, grusze, a nawet palmy. Kola podszedłszy bliżej, odkrył, że niektóre drzewa, prawdopodobnie te najdelikatniejsze, były okutane przezroczystym plastykiem, inne otaczała warstwa ciepłego powietrza. Powietrze to wydobywało się z okratowanych otworów ukrytych w młodej trawie. Obok ścieżki stało przedziwne drzewo – coś w rodzaju łopianu, czy raczej szczawiu, tyle że w tysiącrotnym powiększeniu. Spomiędzy liści zwisała kiść zielonych bananów. Pod drzewem siedział koczokodan i obierał zerwany banan.

Patrząc na to widowisko żywcem wzięte z tropików, Kola uświadomił sobie, że jest głodny. Od rana nie miał nic w ustach poza szklanką kefiru i kanapką. Poza tym bardzo lubił banany. Pomyślał więc: jeśli małpie wolno jeść owoce na Bulwarze Gogola, to tym bardziej nie zabrania się tego człowiekowi.

Na wszelki wypadek rozejrzał się wokół, nie zobaczył jednak nikogo. Podszedł do bananowca i mruknął do małpy:

– Zjeżdżaj, bo mnie jeszcze ugryziesz.

Małpa wyszczerzyła zęby, odeszła jednak i wzięła się z powrotem do obierania banana.

Kola wspiał się na czubki palców i spróbował oderwać banan od kiści. Szło mu to z trudem, rozkołysało się całe drzewo. Ledwie zdołał wyszarpnąć jeden owoc, chciał już usiąść nie opodal małpy i obrać go ze skórki, gdy wtem z krzaków wynurzył się krzepki chłopak, starszy od Koli, ubrany w czerwone spodenki gimnastyczne z naszytymi kometami, i krzyknął:

– Głupolu! Co ty wyprawiasz?

Gdyby to był ktoś dorosły, Kola z pewnością by się usprawiedliwiał, ale z jakiej racji ma się kajać przed takim szczeniakiem.

– Bo co? – odpowiedział butnie. – Małpom wolno, a mnie nie?

– Nie widzisz, że niedojrzałe? A w ogóle to przecież pasza dla zwierząt. Czyżbyś lubił banany?

– A tobie co do tego?

– Nic.

– To idź swoją drogą.

– Nie pójdę. Ja tu przeprowadzam selekcję, a ty się zachowujesz jak niemowlak.

– A małpa? – oburzył się Kola. – Popatrz, ile tu wala się skórek.

– Jak można porównywać siebie z małpą! – syknął pogardliwie selekcjoner. – Dla niej to podstawowe pożywienie.

Koczokodan zauważył, że jest obserwowany, i na wszelki wypadek smyrgnął na gałąź lipy, nie wypuszczając banana z łap.

- Chodźmy – powiedział selekcjoner.
- Nigdzie nie pójde – upierał się Kola.
- Boisz się czy co?
- Jaa? Boję się? Dziesięciu takich jak ty kładę jedną ręką.
- Nie mam zamiaru mierzyć się z tobą – odrzekł selekcjoner. – Nie ta waga. A banana możesz sobie zjeść, jeśli masz ochotę. Nie żałuję ci. I tak go już zerwałeś.
- Zerwałem go dla małpy – skłamał Kola. – Mam w domu małpę.
- A gdzie mieszkasz?
- Daleko – odparł Kola.
- Nie w Moskwie?
- Nie, nie w Moskwie.
- A gdzie?

Kola wyteżył szare komórki i przypomniał sobie, że ma babcię w Konotopie.

- W Konotopie – odrzekł bez mrugnięcia okiem.
- Wiem, wiem – ucieszył się selekcjoner. – Stamtąd pochodzi Milena Mitina, prawda?
- Tak – potwierdził Kola. Tylko tego brakuje, żeby mnie zaczął wypytywać o jakąś Milenę Mitinę, a ja nie mam zielonego pojęcia, czym się wslawiła.
- Ach nie – poprawił się selekcjoner. – Milena jest z Kostromy. W Konotopie wiercą szyb do środka Ziemi.
- Owszem – znów potwierdził Kola przybitym głosem.
- Dziwny jakiś jesteś – powiedział selekcjoner. – Jak ci na imię?
- Kola.
- A mnie Dżawad. W czym się specjalizujesz?
- Jak to?
- No, kim masz zamiar być?

Kola nie zdążył wymyślić stosownej odpowiedzi. Zrozumiał już, że wszyscy staruszkowie razem wzięci są mniej niebezpieczni od kumpla-uczniaka.

Na szczęście coś odwróciło uwagę Dżawada. Wyszli właśnie na polanę, pośrodku której znajdował się duży basen. W głębi, za basenem, na murawie upstrzonej kwiatami i niskimi krzewami widać było ludzi w jaskrawych ubraniach.

- Hej! – krzyknął Dżawad. – Lena, wyłaż, mam do ciebie interes!

Woda zakipiała i w bryzgach piany ukazała się dziewczynka. Nie wynurzyła się, lecz właśnie ukazała się do połowy. I wtedy Kola spostrzegł, że dziewczynka siedzi na oklep na olbrzymiej rybie. Ryba połyskując gładkim grzbietem szybko opłynęła basen. Gdy dotarła do miejsca, w którym stali Kola z Dżawadem, okazało się, że to nie ryba, tylko delfin. Zwierzę znieruchomiało łypiąc na Kola wesołym małym oczkiem, ten zaś wyciągnął doń rękę z bananem.

- Z byka spadłeś? – złapał go za rękaw Dżawad. – Będziesz go leczył, jak dostanie biegunki? Przecież delfiny nie jedzą bananów.
 - U nas w Konotopie jedzą wyłącznie banany.
- Dziewczynka, która zeskoczyła z delfina, była młodsza od Koli, miała najwyżej dziesięć lat.
- Dzień dobry – powiedziała. – Wołałeś mnie, Dżawad?
 - Posłuchaj, Lena – rzekł Dżawad – ten chłopiec ma na imię Kola. Urwał się chyba z maskarady. Myślę, że jest głodny. Nie znajdziesz u siebie czegoś smacznego?

– Nie jestem głodny – zaprzeczył Kola.

Delfin wciąż tkwił w bezruchu przy krawędzi basenu, wynurzywszy zadarty nos. Jak gdyby podsłuchiwał.

– W pracowni na stole leżą mangodynie – odpowiedziała Lena. – Zerwała je wczoraj Alicja. Palce lizać. Nie spotkałeś Alicji?

– Nie. A miała przyjść?

– Obiecała przynieść myelofon. Pracujemy z Griszką i Maszką.

Lena pomachała ręką w stronę basenu i Kola dostrzegł drugiego delfina, który również podpłynął i zaczął przysłuchiwać się rozmowie. No jasne – to są właśnie Griszka i Maszka.

– Skąd bierzecie wodę morską? – zapytał Kola, by nie stać beczynnym.

– Syntetyczna – odparła Lena. – A u was w Konotopie to niby co?

– W Konotopie są delfiny słodkowodne – skłamał Kola bez mrugnięcia okiem.

– Nie słuchaj go – wtrącił się Dżawad. – Chodźmy. Sam chętnie zjem mangodynie. Fantastyczna krzyżówka.

W głębi, za basenem stał biały budynek, równie aerodynamiczny i bez określonego kształtu, jak Instytut Czasu. Gdy podeszli bliżej, Kola spostrzegł, że ściany są porowate, jak gdyby utworzone z piany. Mając ojca budowniczego, Kola sam też interesował się materiałami budowlanymi i znał się na nich trochę. W ubiegłym roku podjął decyzję, że też zostanie budowniczym, teraz jednak przeważało zainteresowanie kosmosem.

– Pianobeton? – spytał Dżawada.

– Jaki tam pianobeton? – zdziwił się Dżawad – Twoje zacołanie jest wprost przerażające. Gdyby nie fakt, że trzymam się zasady niezadawania zbędnych pytań ludziom, którzy nie mają ochoty na nie odpowiadać, zadałbym ci jedno.

– Lepiej nie – stanowczo odparł Kola. – Skończmy tę gadkę, jak mawia ją u nas w Konotopie.

Weszli do przestronnego pokoju. Pod ścianami znajdowały się stoły z aparaturą, pośrodku okrągły stolik, a na nim półmisek z owocami – pomarańczowego koloru, wielkości niedużej dyni, tyle że nie całkiem regularnego kształtu.

– No, dobra – powiedział Dżawad – spróbujemy mangodyni. Pytaj, o co chcesz. Ja nie mam nic do ukrycia.

Wyjął nóż i rozkroił mangodynię. Ze środka owocu wypadła na półmisek duża pestka.

– W zwykłym mango – wyjaśnił Dżawad – pestkę bardzo trudno oddzielić od miąższu.

– Wiem, wiem – powiedział Kola. – Próbowałem. Wszystkie palce umażesz sokiem, zanim ci się to uda.

Dżawad pokroił mangodynię na cząstki i zabrali się do jedzenia. Trzeba przyznać, że owoc był wyśmienity. Słodki, soczysty i miękki. Miał w sobie coś z dyni i coś z mango – Kola nie mógł się połapać. Rozkoszował się smakiem.

– Czyja to pracownia? – spytał.

– Szkolna. A czyja miałyby być?

– I delfiny też należą do szkoły?

– Oczywiście. Tak samo małpy i pyton Archimedes.

– A gdzie jest pyton?

– Tam, śpi na lipie. Później ci pokażę.

– Długi?

– Średnio. Około pięciu metrów. Geofizycy to mają olbrzymia. Prawie dziesięć metrów. I wcale nieoswojony. Karmią go hormonami. Chcesz, flipniemy później, popatrzymy?

– Nie – odparł Kola. – Nie mam dziś czasu. A czemu ty się zajmujesz bananami? Nie masz nic innego do roboty?

– Banany to pokarm przyszłości – stwierdził Dżawad. – Trzeba je tylko wzbogacić. Nie wierzę w zwycięstwo białka syntetycznego. A ty?

– Nie zastanawiałem się nad tym.

– Nie za gorąco ci w twojej chlamidzie?

– Jak będzie za gorąco, to zdejmę.

– Dokąd się teraz wybierasz?

– Na kosmodrom.

– Po co?

– Zobaczę. Może skoczę na Księżyc.

– Nie da rady. Tam odbywa się festiwal. Zabrakło biletów. Sprawdziłem.

– Szkoda – zmartwił się Kola. – No, to spróbuje na Marsa.

– Tam nas, małodatów, rzadko biorą. Tylko z wycieczką.

– Wszystko jedno, pojedę na kosmodrom.

– Nie widziałeś kosmodromu czy co?

– U nas w Konotopie nie ma kosmodromu.

– Bardzo wątpię – powiedział Dżawad. – Chyba zalewasz. Dobra, jedź. Wsiądź do trójki, przy pomniku Gogola. Odprowadzę cię kawalek.

Przeszli obok klombów, na których dzieci, przeważnie maluchy, pielili chwasty oraz wykonywały inne prace ogrodnicze.

– Chcesz rzucić okiem? – spytał Dżawad. – W Konotopie z pewnością nie ma czegoś takiego. – Podprowadził Kolę do chłopca przykucniętego obok niedużej grządki. – Niespełna rok temu przywieźli to z Aldebarana. Przeprowadzamy aklimatyzację. Pokaż mu, Arkasza.

– Z przyjemnością – odparł Arkasza.

Wyjął z przezroczystego woreczka dwa nasionka mniejsze od ziarnka grochu, zrobił dołek w ziemi, umieścił je w nim, po czym obficie podlał z węża gumowego.

– Kiedy mam tu wrócić? – spytał Kola. – W czerwcu?

– Zaczekaj. Ależ z ciebie dzikus! – rozłościł się Dżawad. – Popatrz tylko.

I oto Kola na własne oczy zobaczył, jak z ziemi powoli wyłaniają się dwa zielone pędy. Arkasza znów je podlał, pędy zaczęły rosnać jeszcze szybciej. W chwilę później osiągnęły już wysokość prawie dwudziestu centymetrów i nieco się rozgałęziły.

– Leć po nawóz! – krzyknął Arkasza. – Jest w pracowni, na moim stole.

Migając gołymi piętami Dżawad pomknął do pracowni. Ze wszystkich stron zbiegli się inni przyrodnicy. Kola zauważył, jak spomiędzy listowia potężnego klonu stojącego na skraju polany wysuwa się łeb wielkiego pytona przyglądającego się z zaciekawieniem zbiegowisku. Nikt nie zwracał nań uwagi, więc i Kola starał się sprawiać wrażenie kogoś otrząskanego na co dzień z tak bliskim sąsiedztwem pytonów. Jakaś dziewczynka, z wyglądu pierwszoklasistka, przyszła z dziwnym stworzeniem na ramieniu. Podobne było do papugi, miało jednak dwie głowy. Jedna z nich przyglądała się świeżym pędom, druga zerkała na węża.

Kiedy Dżawad wrócił z paczką nawozu, pędy liczyły już metr wysokości, a na gałązkach

pojawiły się pączki. Dżawad sypnął garść nawozu pod korzenie, koniuszki wypelzły na zewnątrz i poczęły zachłannie podgrzebywać nawóz pod siebie. Kola cofnął się o krok. Tak na wszelki wypadek.

Na gałązkach pojawiły się żółte kwiatki, a gdy rośliny sięgały już trzech metrów wysokości, płatki opadły i z zawiązków zaczęły rozwijać się owoce. Kola nie mógł oderwać oczu od tego widowiska. Upłynęło jeszcze kilka minut i owoce, przypominające początkowo zielone obrączki, podrosły i zmieniły kolor na żółty. Z czymś mu się wyraźnie kojarzyły, nie mógł sobie tylko uprzytomnić z czym.

Wtem jeden owoc oderwał się od gałązki i upadł na ziemię.

Dwugłowy ptak sfrunął z ramienia dziewczynki i pochwycił owoc w oba dzioby. Nie mógł jednak ani rusz podnieść go z ziemi, bowiem głowy przeszkadzały sobie nawzajem.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a dziewczynka powiedziała usprawiedliwiająco:

– Nie śmiejcie się. To ptak świeżo odkryty. Jeszcze nie zdążył się oswoić.

Pozostałe owoce jeden po drugim spadały na trawę.

Dżawad wybrał trzy największe i podsunął je Koli:

– Masz, przydadzą ci się w drodze na Księżyc.

– Chyba jadalne, co?

– Spróbuj.

Kola odgryzł kawałek. Był to najzwyczajniejszy w świecie obarzanek, nie gorący, bez maku, lecz świeżuteńki.

– Ale numer! – zdumiał się. – Czy na Aldebaranie wszystkie drzewa rodzą obarzanki?

– Głupstwa pleciesz! – wzruszył ramionami Arkasza, zbierając resztę obarzanków do kobiałki. –

Z roślin aldebarańskich wzięłem tylko prędkość wzrostu. Do reszty doszedłem poprzez pszenicę i drzewo chlebowe.

Kiedy Kola z Dżawadem oddalili się na tyle, że nikt ich nie mógł usłyszeć, Dżawad powiedział:

– To przyszedł geniusz genetyki. Ma tylko jedno marzenie. To ważne, gdy człowiek posiada marzenie.

– Jakie?

– Hodowla śniadań dla ekspedycji kosmicznych. Już w opakowaniu, z gotowaną kurą, ryżem i czarnym kawiozem. Zadanie niczego sobie, co?

– Nie najgorsze – zgodził się Kola żując obarzanek. – A nie dałoby się tak jednego nasionka od niego wyciągnąć?

– Dla ciebie nie poproszę – odparł Dżawad. – To nie brak uprzejmości, po prostu jesteś za bardzo skryty jak na mój gust. A o tym Konotopie nieźle nałgałeś.

– Nie to nie, obejdę się. Dziękuję za dynię.

– Do widzenia. Może się jeszcze spotkamy. Szkoda, że nie doczekałeś się Alicji, ona z pewnością ułatwiłaby ci wycieczkę w Kosmos. Ma duże chody we Flocie Kosmicznej. Była już co najmniej na dwudziestu planetach.

– To ile ona ma lat? – spytał Kola. – Kiedy to wszystko zdążyła?

– Tyle co my. Jedenaście.

– Ja mam dwanaście – powiedział Kola. – Pozdrowienia dla Alicji. Na mnie już czas.

JAK WYHODOWAĆ DOM

Do pomnika Gogola nie udało się Koli dotrzeć bez przeszkód. Znow go coś zatrzymało.

Omijając gęste zarośla, wyszedł na skraj bulwaru i spostrzegł tuż obok budujący się dom.

Nie od razu połapał się, o co tu chodzi. W miejscu, gdzie kończyła się murawa, stał młody człowiek z gęstą czarną brodą. Patrzył w górę, przez ulicę, przy której wznosił się nie dokończony jeszcze budynek.

Dom był wykonany z tegoż porowatego materiału, co Instytut Czasu i pracownia szkolna. I tak samo jak one miał nieregularny kształt. Jednopiętrowy – choć trudno było zorientować się, czy jest to wysokość ostateczna – cały w zaokrągleniach niczym babka z piasku. Brama była półokrągła, okna różnej wielkości i kształtu – małe, duże, owalne, kwadratowo. Nad wejściem zwisał garb, z którego wyrastało nieduże kędzierzawe drzewko.

Na szczycie budynku stali dwaj mężczyźni trzymający w rękach pęki prętów i powyginanych kijków. Czarnobrody patrzył na nich z dołu i komenderował:

– Na prawo!... Jeszcze bardziej na prawo! Prędej, póki nie stwardniało!

Mężczyźni na górze wtykali pręty w ścianę, jedne prostopadle, inne ukośnie.

Niebawem cała ściana u szczytu wyglądała jak jeź.

– Dobra! – krzyknął brodac. – Zaczynajcie. Tylko po twojej stronie, Benjamin, trochę mniej pożywki. Chcę, żeby strona Lowki się wzmocniła.

Mężczyźni pochylili się, sięgnęli po przedmioty przypominające miotacze ognia i rozpylili na ścianę jakiś proszek.

Następnie pojawiły się w ich rękach węże gumowe, z których zaczęli polewać ścianę. Budowniczy przypomnieli Koli Arkaszę z jego obarzankowym hybrydem. Tylko czekał, kiedy ze ściany wysuną się zielone pędy, nic takiego jednak nie zaszło. Natomiast rosnąć zaczęła sama ściana.

Rosła nierównomiernie, jak gdyby wyciągając się wzdłuż prętów.

– Benjamin, nie żałuj katalizatora! – wiercił się na dole brodac. – Linia nie ma wykończenia!

Ściana stopniowo wypełniała przestrzeń pomiędzy prętami, a tam, gdzie wygięte były ku przodowi, tworzyła wypukłość. Benjamin, ryzykując upadek, wychylił się i zaczął szybko wtykać nowy rząd prętów. I oto Kola zobaczył, że powstaje okrągły balkon. Drugi budowniczy, Lowa, szybko odgiął pręty za plecami Beniamina, a substancja budowlana posłusznie sunęła za nimi formując otwór drzwiowy.

– No i jak ci się to podoba? – spytał Kola brodac.

– Na ogół niezłe – odparł Kola – chociaż, daruje pan, kształt architektoniczny nie całkiem mi odpowiada.

– Czemuż to?

– Przywykłem do ścian prostopadłych i do kantów. Tak jak było w starych budynkach.

– Przecież to wynikało z konieczności.

– Jak to z konieczności?

– Posłuchaj, chłopcze, widzę, że bardzo lubisz historię, nawet po mieście spacerujesz w historycznym kostiumie.

– To z powodu maskarady.

– Mniejsza z tym. Na maskaradę równie dobrze mogłeś przebrać się za tirlipipermenta. Albo poobwieszać się rimpomponami. Ale by rzecz wyjaśnić do końca, powiedz mi, z czego niegdyś budowano domy.

– Z cegły, drzewa, betonu, bloków...

– Brawo! Patrzcie, jaki mądrała! Nie wszyscy dorośli o tym wiedzą.

– Poza tym z płyt keramzytowych, elementów betonowych, z kamienia, a w krajach tropikalnych z trzciny, Eskimosi ze śniegu i lodu, Indianie i Neńcy z jelenich skór.

– Jestem wręcz oszołomiony twoją erudycją, Diderot!

– Nie jestem Diderot. Mam na imię Kola.

– Ale Diderot również był encyklopedystą. Otóż każdy materiał budowlany dyktował ludziom kształt domów. Co łatwiej zbudować z cegły – sześcian czy kulę?

– Jasne, że sześcian.

– Aż płyt czy bloków?

– Tak samo. A już z betonu można co dusza zapragnie.

– Owszem. Ale to strasznie drogi materiał. Ludzie bardzo rzadko mogli pozwolić sobie na tworzenie niezwykłych monolitycznych form z betonu. Ale gdy już nauczyliśmy się hodować domy...

– Hodować?

– No wiesz, rozczarowałaś mnie! Znasz wszystkie stosowane w dawnych czasach materiały budowlane, a nie masz pojęcia, z czego się teraz buduje.

– Zapomniałem – rozłożył ręce Kola. – Jestem historykiem.

– Historyk powinien lepiej niż inni znać dzień dzisiejszy – odparł moralizatorskim tonem czarnobrody. – Po to właśnie istnieje historia, aby wyjaśniała nam, dlaczego dziś żyjemy tak, a nie inaczej.

– Ile pan ma lat? – spytał Kola.

– Ja? Niedługo skończę dziewiętnaście. Co to zresztą ma do rzeczy?

– A to, że dzieli nas niewielka różnica wieku. Raptem siedem lat.

– Ale to różnica zasadnicza – odparł brodaty.

– Hej, Wala! – krzyknął z góry Beniamin. – Ściana stwardniała! Jeśli będziesz tracił czas na głupstwa, nie zbudujemy tego domu nawet do wieczora!

– Tak, tak, co racja, to racja – zreflektował się brodac. – Ten budynek jest moją pracą dyplomowa. Mam jutro obronę projektu, a całościowa koncepcja jeszcze nie jest gotowa.

– Pan studiuje i pozwalają panu budować dom w centrum miasta?

– Czemu nie? Przecież to moje powołanie. Poza tym sam go nie buduję. Projektuję wygląd zewnętrzny, to znaczy jestem architektem. Beniamin jest konstruktorem, odpowiada za wszystkie kondygnacje, schody i tak dalej. Lowka – technikiem sanitarnym. Wiesz, co to technika sanitarna?

– Wężły sanitarne, łazienki.

– Tak jest. Zapomniałeś jeszcze o zsypach, anihilatorach, dostawach żywności, pocście pneumatycznej, sieci telewizyjnej i tak dalej. Zbudować dom w naszych czasach nie jest sprawą

prostą. Tylko naiwniacy sądzą, że jeden dzień to kupa czasu na wzniesienie trzypiętrowego budynku. Niekiedy z jednopiętrowym tak się uszarpiesz, że potem przez dwa tygodnie na koral nawet spojrzeć ci się nie chce.

– Na co?

– No, na koral. Oczywiście nie jest to całkiem ścisła nazwa, ale tak się przyjęło. Czytałeś o rafach koralowych?

– Czytałem.

– A widziałeś je?

– Nie, jakoś nie było czasu.

– Coś podobnego, nie miał czasu polecieć na Ocean Spokojny! A to ci romantyk! Ja w twoim wieku co niedziela latałem na atole koralowe.

– Każdy ma własne zainteresowania – odparł Kola.

– Racja, przepraszam. Otóż, rafy koralowe niezależnie od wielkości zbudowane są przez drobniuteńkie koralowe polipy. Każdy polip buduje sobie wapienną norkę i w niej mieszka. A kiedy umrze, inny buduje swój domek na jego norce i tak dalej, i tak dalej. Rafy koralowe składają się zatem z miliardów koralowych domków i koralowych szkielecików. Tyle że korale budują swoje rafy przez miliony lat, a ludzie odkryli bakterię, która pracuje na takich samych zasadach, lecz rośnie i rozmnaża się ogromnie szybko. Jeśli rozsypać spory bakterii koralowej i polać je katalizatorem, spowoduje się wzrost ściany, kuli, chaty, czego tylko dusza zapragnie. Koralowy budynek rośnie w tą stronę, w którą go skierujesz przy pomocy armatury. Z czasem staje się coraz trwalszy. Jest przecież z jednej bryły – niestraszne mu trzęsienie ziemi, pożar ani mróz. A przede wszystkim – można mu nadawać dowolny kształt. Od czasu, gdy zaczęto stosować koral w budownictwie, wszystko się zmieniło. Teraz architekt jest prawdziwym artystą. Budujemy domy tak, jak malarze malują obrany. Jeśli dom się nie spodoba, polewa się go rozpuszczalnikiem, a potem wymiata proszek. No, przyznaj się, z pewnością wiesz o tym wszystkim?

– Wiem, ale nie o wszystkim – odpowiedział Kola. – Mógłbym tam trochę na górze popracować?

– Czemu nie? Idź. Benjamin, masz pomocnika!

Kola wszedł do nie dokończzonego budynku. Wewnątrz wszystko prawie było gotowe. Tylko liczne otwory w ścianach świadczyły o zamiarze ich późniejszego wykorzystania dla wygody ludzi.

Kola wszedł po schodach na pierwsze piętro, następnie ruchome plastikowe rusztowanie wyniosło go na samą górę. Benjamin dał mu wiązkę prętów, zaś brodacz Wala krzyknął z dołu komenderując wszystkimi trzema budowniczymi:

– Ben, przygnij pręty w swoją stronę! Lowa, prędzej, spóźniasz się! Kola, zapomniałeś, że budujemy dom, a nie klomb!

Gdy kończyli już drugie piętro, Kola oddał pozostałe pręty Benowi i pożegnał się ze studentami, którzy podziękowali mu serdecznie za pomoc. Chciał wziąć trochę koralowego proszku, ale nie miał pojemnika na katalizator, bez którego pożywka była warta tyle, co najzwyczajniejszy piasek.

– Idź po szkole na architekturę – poradził Wala. – Ogromne pole dla wyobraźni i pełna swoboda twórcza.

– Dziękuję – odpowiedział Kola – zastanowię się nad tym.

AUTOBUS DONIKĄD NIE KURSUJE

Dochodziła dwunasta, gdy Kola dobrnął wreszcie do pomnika Gogola. Co prawda, nie był to ten sam pomnik, który stał tu przedtem. U wylotu Bulwaru Gogola znalazł się pomnik stary, stojący niegdyś na drugim końcu placu. Ojciec mówił Koli, że plac Arbacki to jedyne miejsce w świecie, gdzie stoją dwa pomniki tego samego pisarza: jeden na Bulwarze, drugi przed domem, w którym mieszkał Gogol. Widocznie przez sto lat zamieniły się miejscami – stwierdził Kola.

Przed nim rozciągał się plac Arbacki, tyle że Kola nigdy w życiu by go nie rozpoznał. Zamiast restauracji „Praha” wznosił się kolosalny sześcian z betonu, nie z koralu. Z pewnością zbudowano go dość dawno. Na dalszym planie widniały szczyty drapaczy chmur na Prospekcie Kalinina. To było wreszcie coś znajomego. Z prawej strony, spoza gaju palmowego wychylał się wspaniały budynek, cały w muszelkach. Nie był to koral, po prostu taka była ongiś moda, a zbudował go dla siebie jeszcze przed rewolucją zadziwiająco nowoczesny bogacz Morozow.

Autobus Kola zauważył od razu. Pośrodku placu wyłożonego różnokolorowymi płytkami znajdowało się podwyższenie. Wokół niego stały trzy autobusy. Kola wprawdzie odgadł tylko, że to autobusy, ponieważ nad każdym wisiała nie przymocowana do niczego kula z napisem: „Autobus 1”, „Autobus 2”, „Autobus 3”.

Wszystkie trzy autobusy dopiero co podjechały. Jedni pasażerowie właśnie wysiadali, drudzy wsiadali. Niektórzy wychodzili spod ziemi, pewnie z metra, inni podfruwali na skrzydłach i składali je podchodząc do drzwi, jeszcze inni gramolili się z przezroczystych kul, które następnie odlatywały ustępując miejsca innym.

Kola zaniepokojony, że autobus mu ucieknie, puścił się biegiem przez plac. Przywykł biegać za autobusami i tramwajami, uważając, że czekanie na przystanku jest nieznośną stratą czasu.

Biegł i myślał o tym, co pocnie, gdy przyjdzie płacić za bilet, a on nie ma nawet pojęcia, jak wyglądają obecne pieniądze. Pozostaje tylko nadzieja, że za sto lat jeździ się bez opłaty.

Ponieważ jednak nikt tu nie biegał na przełaj, omal nie zdarzyła się katastrofa.

Przezroczyste pęcherze i inne pojazdy hamowały, wlatywały w górę, umykały w bok. Jedne – by nie wpaść na Kole, inne, by nie wpaść na te, które nie chciały wpaść na Kole. Spozrzegł kątem oka, co się dzieje, i jeszcze przyspieszył.

Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby jakiś mężczyzna nie zniżył się na skrzydłach ku samej ziemi, nie wyrwał Koli z tego rozgardiaszu i nie uniósł w powietrze.

– Dokąd to, zwariowany dzieciaku? – spytał raczej niezbyt uprzejmie. – Czemu chcesz zginąć tak młodo gubiąc w dodatku innych?

– Niech mnie pan puści! – wrzeszczał Kola bujając w powietrzu dwa metry nad jezdnią. – Spieszę się do autobusu. Ucieknie mi!

Jasne, że gdyby miał czas do namysłu, wymyśliłby coś mądrzejszego. Ale pośpiech nie jest

dobrym doradcą, przypadkowo można powiedzieć prawdę.

– Jeszcze sobie żarty stroi! – oburzył się mężczyzna ze skrzydłami.

Mimo wszystko jednak przeniósł Kola drogą powietrzną i wypuścił na podwyższeniu przed autobusami. Kola omal nie upadł, uderzywszy boleśnie piętami o ziemię.

– Mogłem się przecież potłuc! – powiedział z pretensją do mężczyzny, który wisiał nad nim w powietrzu poruszając skrzydłami niczym olbrzymia ważka.

– Nie sądziłem, że dzieci ziemskie to takie delikaciki – odparł mężczyzna.

Dopiero w tej chwili Kola zauważył, że mężczyzna ubrany jest w ciemnogrnatowy obcisły kombinezon z wyszytym na piersi złotą nicią Saturnem i z czterema gwiazdkami na rękawie.

Pewnie to milicjant przyszłości – przestraszył się. – Zaraz spyta o miejsce zamieszkania.

Mężczyzna jednak nie był milicjantem.

– Nie złość się, kosmonauto – rozległ się znajomy głos i Kola zobaczył stojącego na skraju jezdni staruszka-rówieśnika, oczywiście z jednokołowym rowerem. – Znam tego chłopca. Jest po prostu trochę roztargniony, szykuje się na maskaradę.

– Jakże się tu na niego nie gniewać – odrzekł kosmonauta. – Biegł nie myśląc wcale o innych. A to już najgorsze, co może być. Dokąd się tak spieszysz?

– Na kosmodrom. Podróże kosmiczne to moje marzenie.

– W Kosmosie nie ma miejsca dla takich szalapatów.

– Poprawię się – obiecał Kola. – Dołożę wszelkich starań.

– Poprawi się na pewno – poparł go staruszek.

– W takim razie się spotkamy – oświadczył kosmonauta.

– Zaraz, zaraz – wykrzyknął Kola. – Chwileczkę, proszę nie odlatywać! Mógłbym prosić o autograf?

Nerwowo zaczął grzebać po kieszeniach, niestety oprócz dwóch kopiejek i gumki nic w nich nie znalazł.

– Nie szukaj – roześmiał się kosmonauta. – Masz na pamiętkę.

Zdjął z rękawa złotą gwiazdkę, rzucił ją Koli i wzbił się powietrze.

– Dziękuję – krzyknął za nim Kola.

– Wiesz – powiedział Paweł – zazdroszczę ci. Sam kapitan Wielkiego Kosmosu, dowódca „Pegaza”, Połoskow podarował ci tę gwiazdkę. A wiesz przynajmniej, co to za gwiazdka?

– Nie – odparł Kola.

– Każda gwiazdka oznacza kolejną gwiazdną ekspedycję. Kiedy ja byłem chłopcem, nawet o tym nie marzyłem.

– W tamtych czasach również byli kosmonauci.

– Ale nie było gwiazdnych ekspedycji.

– Zajmiemy się tą sprawą – powiedział Kola przyczepiając gwiazdkę na rękawie.

Staruszek pomachał mu, odepchnął się nogą i popedałował na swym chwiejnym środku lokomocji.

Kola był pewien, że autobus dawno już odjechał, ale na szczęście stał on ciągle na przystanku. Miał opływowy kształt, cały mienił się i migotał. Brak w nim było okien i Kola domyślił się, że musi się poruszać z ogromną szybkością.

Nad wejściem znajdował się napis: „Prospekt Pokoju”.

Kola rzekł sobie: raz kozie śmierć i wszedł do środka tuż za starszą opaloną kobietą o wyglądzie

sportsmenki, ubraną na wzór greckich bogiń w żółty chiton. Aby uniknąć wpadki, postanowił dokładnie naśladować wszystkie jej ruchy.

Wewnątrz autobusu było widno, nie zauważył jednak miejsc siedzących. Wszyscy przesuwali się do przodu. Kola szedł za sportsmenką krok w krok. Znalazłszy się mniej więcej w połowie autobusu, spostrzegł w przodzie zasłonę, a nad nią napis: „Wyjście. Prospekt Pokoju.”

Kobieta zniknęła za zasłoną. Kola odczekał chwilę, po czym zrobił to samo i ujrzał kobietę wychodzącą już na zewnątrz przez następne drzwi.

Znajdował się teraz na innym placu, przed nie znanym mu ogrodem. Kobieta weszła na ruchome schody wiodące w dół. Z drzwi autobusu wychodzili wciąż nowi pasażerowie. Kola, zdezorientowany, podszedł do dziewczynki w białym kombinezonie z wielką różą wyszytą na ramieniu i spytał:

– Przepraszam, jaki to przystanek?

– Przystanek?

– No, jak się nazywa to miejsce?

– Prospekt Pokoju. Nie widzisz czy co?

– Dziękuję – bąknął Kola w dalszym ciągu nic nie pojmując.

Wrócił do autobusu i przeczytał napis nad drzwiami: „Wejście. Do placu Arbackiego”.

Jak to się dzieje? Więc ten autobus donikąd nie jeździ? Wsiadasz na jednym przystanku i wysiadasz na drugim? A kto cię wiezie?

Łamiąc sobie nad tym głowę, Kola podszedł do sąsiedniego autobusu. Nad jego tylnymi drzwiami widniał napis: „Wejście. Do Klasztoru Nowodiewiczego”. Aha, teraz łatwo będzie sprawdzić, Klasztor Nowodiewiczy zna doskonale. Już bez obawy wsiadł do autobusu, przeszedł przez kabinę pasażerską, minął zasłonę, następnie wysiadł. Stał nad brzegiem rzeki Moskwy, tuż obok wznosiły się różowe ściany Klasztoru Nowodiewiczego, spoza nich wychylały się kopuły soboru i dzwonnica. Kola wrócił na Prospekt Pokoju. No cóż, wygodna komunikacja miejska. W jakiejś powieści fantastyczno-naukowej czytał o transporcie zerowym. Tam statek kosmiczny przeskakuje przestrzeń. Z pewnością i tu sprawa wygląda podobnie. Przy okazji trzeba będzie to wyjaśnić.

REKORDZISTA W ZJADANIU LODÓW

Należało teraz „flipnąć” na kosmodrom. Takiego terminu użył archeolog Rrrr.

Kola nigdy dotąd nie flipał i nie widział, by robili to inni. Stanął więc z boku i zaczął się przyglądać.

Niektórzy ludzie szli piechotą, inni sadowili się w przezroczystych pęcherzach, ktoś podszedł do stojących rzędem słupków i wziął coś z jednego. Chyba warto się temu przyjrzeć. Nigdy nie zaszkodzi popatrzeć, co gdzie dają.

Słupki były różnokolorowe. Na białym widniał napis „Lody”, na żółtym – „Lemoniada”, na zielonym – „Jabłka”, na niebieskim – „Kanapki”, na brązowym – „Kwas”. Było ich ze trzydzieści, toteż Kola nie chciał przyglądać się zbyt ciekawie wszystkim, by nie ujść za kogoś, kto widzi je po raz pierwszy. Przechodzący obok mężczyzna nacisnął palcem klawisz na wierzchu słupka i natychmiast wyskoczyła szklanka lemoniady. Po wypiciu lemoniady mężczyzna odstawił szklankę na miejsce. Schowała się natychmiast. Jasne jak słońce, rzekł sam do siebie Kola i podszedł do białego słupka. Lody były czekoladowe, niezbyt słodkie, ale „zjadliwe”. Następnie powędrował do słupka żółtego i popił lody lemoniadą. Potem spróbował kanapki z masłem i serem. Kanapkę wypadało popić. Popił więc kwasem, a przy okazji zauważył napis „Banany” na pomarańczowym słupku. Dobra, mogą być banany. Kola zjadł banana, skórkę zaś położył z powrotem na słupku – zniknęła w mgnieniu oka. Takie życie bardzo mu przypadło do gustu, wrócił więc do lodów. Za pierwszym razem przycisnął ostatni klawisz z lewej, teraz postanowił wypróbować następny. Doskonale. Tym razem lody były jabłkowe. Jadł je dużo wolniej i, aby nieco odetchnąć, zbliżył się do postoju, na którym ludzie wsiadali do przezroczystych pęcherzy. Chciał się przyjrzeć, jak się to odbywa.

Przed wsiadającym pasażerem otwierał się okrągły właz, który – jak tylko pasażer usadowił się w fotelu – zasuwawała przezroczysta błona. Po przyciśnięciu jednego z guzików pęcherz wznosił się nieco nad ziemię i odlatywał.

Zastanawiająca była również inna rzecz: ledwie pęcherz z pasażerem opuszczał postój, a już na jego miejscu lądował następny pusty.

Kola podszedł do pustego pęcherza, nie wsiadł jednak, zerknął tylko usiłując dojrzeć napisy pod guzikami. Przed fotelem znajdowała się pochyła tablica rozdzielcza z kilkoma rzędami guzików. Pod każdym rzeczywiście widniał napis, tyle że bardzo drobnymi literkami, nie do odczytania z zewnątrz.

Może tu flipają właśnie w taki sposób – pomyślał Kola. Zanim jednak uda się w podróż, musi sprawdzić, jakie lody dostanie po naciśnięciu trzeciego klawisza. Wrócił więc do automatu. Tym razem były to lody truskawkowe, po prostu wyśmienite, lepsze chyba od jabłkowych. Co prawda zjeść je było już nieco trudniej, nie obeszło się bez jeszcze jednej szklanki lemoniady.

Kola poczuł nieprzewartą chęć, by przycupnąć gdzieś i zdrzemnąć się odrobinę – dało o sobie znać zmęczenie. Przepracował przecież prawie godzinę przy budowie domu, nie licząc wszystkiego

innego, poza tym po prostu się nałaził. Pojechałby dalej, ale... został ostatni, nie wypróbowany klawisz. A może są tam jakieś nadzwyczajne lody, nie znane jeszcze w naszych czasach?

Z ogromnym trudem dokończył jeść lody truskawkowe. Nic myślcie tylko, że był jakimś niedojdą. W normalnych warunkach zjadłby z powodzeniem i dziesięć porcji, ale teraz zmęczył się już ciągłym pośpiechem, poza tym przez cały czas popijał lody, a do tego przegryzał je innymi smakołykami.

– Ostatnia porcja, murowane – powiedział na głos, przełknął ostatni łyk i ruszył do słupka-automatu.

Ale gdy tylko wyciągnął rękę do czwartego klawisza, ze słupka rozległ się głos:

– Opamiętaj się! Masz zamiar zjeść czwartą porcję, co przy temperaturze powietrza zaledwie plus piętnaście może negatywnie odbić się na twym młodym organie.

– Masz babo placek! – zawołał Kola, bynajmniej nie zdziwiony, przestał już bowiem czemukolwiek się dziwić. Z pewnością w słupku musiało się znajdować elektroniczne oko. – Mógłbym wsunąć i dziesięć porcji. Nawet w czasie mrozu.

Po tym zadufanym oświadczeniu Kola przycisnął czwarty klawisz, lody się jednak nie pojawiły.

– Co za świństwo! – wykrzyknął.

– A co się stało? – spytał chudy mężczyzna w fioletowych spodenkach do kolan i złotej pelerynie. – Kto cię skrzywdził?

– Ten tu – odparł Kola – odmawia mi lodów.

– To upokarzające – zgodził się kolorowy mężczyzna. – A ile już zjadłeś porcji?

– Tylko trzy.

– W moich czasach – mówił mężczyzna – łaziliśmy od automatu do automatu i braliśmy najwyżej po dwie porcje z każdego. Od ubiegłego roku wszystkie automaty z lodami połączone są wspólną pamięcią elektroniczną. I każdy automat wie doskonale, ile już dziś pałaszowałeś lodów.

– Cóż więc robić? – spytał Kola. – Mam poniżać się przed automatem?

– W żadnym wypadku – odparł chudy mężczyzna. – Jako przewodniczący okręgowej ligi powrotu do natury jestem całym sercem po twojej stronie.

Z tymi słowami podszedł do automatu i nacisnął klawisz. Wyskoczyły lody czekoladowe.

– Eee – skrzywił się Kola – już takie dzisiaj jadłem.

– A które chcesz? – spytał mężczyzna, podając mu czekoladowe.

– Nie naciskałem jeszcze ostatniego klawisza z prawej strony.

Mężczyzna nacisnął prawy klawisz i podał Koli drugi kubeczek.

– A jakie mam wziąć sobie? – spytał.

– Polecam czekoladowe.

– Akurat tych nie znoszę – odparł mężczyzna, przyciskając jabłkowe.

Kola wcale już nie miał ochoty na czekoladowe, nie chciał jednak uchodzić za słabeusza wobec obcego człowieka.

Stali na środku placu, świeciło słońce, a oni jedli lody. Kola zaczął od czekoladowych, bojąc się, że później nie przejdą mu przez gardło. Lody już mu nie smakowały. Tamtemu dobrze – wsuwa dopiero pierwszą porcję.

– Ty dla zasady ubierasz się tak archaicznie? – spytał mężczyzna.

– Nie, to z powodu maskarady.

– Szkoda, już myślałem, że mam sojusznika. Widzisz chyba, że jestem ubrany tak, jak się noszono pięćdziesiąt lat temu?

– Aha.

– A wiesz, dlaczego?

– Dlaczego?

– Ponieważ uważam, że należy ukrócić supremację maszyn. Pozbawiają nas indywidualności i wychowują młode pokolenie na fajtlapy przywykłe, że im gołąbki same idą do gąbki. Wiesz, dlaczego ci pomogłem? Ponieważ posiadasz cechy prawdziwego mężczyzny. Dzisiejsi chłopcy zjadają naraz dwie porcje lodów – nie więcej. Są posłuszni maszynom. A ty się zbuntowałeś.

Jasne, że Kola z lubością słuchał komplementów, ale zarazem czuł, że nie da rady lodom. Marzył tylko o tym, by zagorzały wróg maszyn odwrócił się na chwilę, umożliwiając mu odstawienie nie do jedzonego kubeczka na miejsce. Ten jednak ani myślał odejść. Perorował, delektując się swymi lodami.

– W dawnych dobrych czasach, na początku dwudziestego pierwszego stulecia, ludzie nie flipali, nie spali na grawitacyjnych materacach i wznosili domy z twardego kamienia. Nie wyobrażasz sobie, jakie mieli wspaniałe mięśnie! A w dwudziestym wieku? Mocarze! Wszystko było dziełem ich rąk! Nie, świat istotnie chylił się ku upadkowi powoli, lecz nieubłaganie. Powiedz, chłopcze, potrzebna ci antygravitacja? Prezent z Aldebarana. Przecież to całkiem zbędny luksus.

– Nie wiem – odrzekł Kola. – Nie znam się na tym. Ale tak ogólnie biorąc, to fajnie jest teraz. Tylko domy krzywe. Ale i do tego można się przyzwyczaić, zbudowaliśmy dziś jeden dom, w zasadzie to bardzo ciekawa praca.

– Krzywe! Oto sama prawda przemawia ustami dziecka! Gdzie się podziała surowość i harmonia linii prostych? Gdzie szlachetne w swej prostocie domy wielkopłytowe?

– Elektronie Stiepanowiczu! – zawołała dziewczynka w białym kombinezonie z wyszytą na ramieniu różą, znajoma Koli z autobusu. – Wszędzie pana szukam. A pan tu sobie pogaduszki ucina!

– Co się stało? – spytał fioletowozłoty Elektron. – Coś w wiwarium?

– Wysiadł ekran grawitacyjny! Spunsy ledwie wytrzymują straszliwe przeciążenie! Jest pan jedynym człowiekiem, który potrafi błyskawicznie naprawić urządzenia techniczne z innych planet.

– Spunsy! To okropne! Lecę. Następnym razem, chłopcze, jak będziesz miał chętkę na lody, wal prosto do mnie, do Kosmozoo. Pytaj o mistrza nowej techniki, Elektona Stiepanowicza, połasujemy sobie do syta.

– Flipniemy? – spytała dziewczynka wskazując na pęcherz.

– Wiesz, Henrietto, że nie znoszę współczesnej techniki – odparł Elektron. Wyjął z przewieszanej przez ramię dużej torby przezroczysty pakiet, a z niego złożone skrzydła i rozprostowawszy je, przytwierdził do ramion. – Wolę po staremu. Wolniej, ale za to pewniej. – I wzbił się w powietrze.

Koli tymczasem udało się zmęczyć lody czekoladowe. Pozostał mu ostatni kubeczek. Nie byłby badaczem, gdyby ich nie spróbował. Miał co prawda cichą nadzieję, że okażą się niesmaczne. Niestety były to lody ananasowo-miętowe. Zrezygnowanie z takich byłoby niewybaczalnym grzechem.

Kiedy dotarł wreszcie do pęcherza, aby flipnąć na kosmodrom, był tak ociążały jak wąż boa, który przed chwilą połknął prosię. Osunął się w fotel i walcząc z opadającymi sennie powiekami, spojrzął na tablicę rozdzielczą. W porządku. Pod każdym guzikiem znajdowała się nazwa ulicy czy też obiektu: „Uniwersytet”, „Plac Czerwony”, „Sokolniki” i tak dalej. Niektóre napisy nic mu nie mówiły: „Pierwszy Kostuł”, „Park Oni”, „Poziom Sidorowa”. Jest i to, czego szukał. A nawet

więcej: „Kosmodrom-1”, „Kosmodrom-2”, „Kosmodrom przeładunkowy”, nawet „Kosmodrom ćwiczebny”. Spróbujmy „Kosmodrom-1”, zdecydował się Kola. Nacisnął guzik i oto pęcherz nie gorzej od innych uniósł się nad ziemią, błyskawicznie nabrał szybkości i jął sunąć nad ulicą w strumieniu bliźniaczych pojazdów. Widać było od razu, że ruch odbywa się zgodnie z surowymi przepisami: pęcherze nie przeszkadzały sobie nawzajem, na skrzyżowaniach te, które leciały wzdłuż głównej ulicy, wznosiły się nieco wyżej i niby po niewidzialnym moście przepływały nad tymi, które nadlatywały z boków. Niektóre szybowwały wysoko pod niebem jak dziecięce baloniki, tu i tam załśniły niekiedy ważki – uskrzydleni ludzie.

A jeszcze wyżej przepływały potężne statki, dyski, pierścienie, kule...

FLIPNIEMY NA KOSMODROM!

Fotele były wygodne, miękkie i Kola o mało nie zasnął. A już żeby być całkiem w zgodzie z prawdą, to nawet zasnął, wcale tego nie zauważywszy, zorientował się dopiero wtedy, gdy się przebudził. Bywa tak czasem na pierwszej lekcji: siedzi człowiek, pisze, myśli, walczy z sennością, aż tu nagle budzi się i widzi, że pióro mu zjechało z linijki i kreśli jakieś okropne bazgroły.

Kola spał najwyżej minutę albo dwie, ale ocknąwszy się, wpadł w przerażenie. Mało to się mogło przez ten czas zdarzyć? Automatyka automatyką, a na przykład Elektron Stiepanowicz nie za bardzo jej ufa. A gdyby w którymś z pęcherzy zawiódł układ sterowniczy? Przecież pędzą co najmniej setką.

Z góry zjechał z dużą prędkością pęcherz. Umieścił się tuż obok i Kola spostrzegł, że jego pasażer cofa ręce z tablicy rozdzielczej i odchyła się w fotelu. Aha, domyślił się natychmiast, pęcherz musi mieć sterowanie ręczne. Bo jak inaczej mógłby podjechać do konkretnego domu?

Rzeczywiście tak było. Pod guzikami znajdowały się dźwigienki, a nad nimi wspólny napis: „Sterowanie ręczne”.

„W porządku – orzekł – na razie nie skorzystam z tego. Za mało czasu”. Rzucił okiem na zegar nad tablicą. Druga godzina. Zwariować można, jak w tej przyszłości prędko biegnie czas! Na Księżyc już nie zdoła polecieć – musi zdążyć przed wieczorem do domu. Jeśli rodzice wrócą i nie zastaną go, powstanie taki popłoch, że wtedy lepiej wcale do domu nie wracać. Tak, tak, jedynactwo ma swoje minusy. Gdyby w rodzinie była piątka dzieci, nikt by się nie denerwował – to jest, tamtego nie ma...

Decyzja Koli, by nie dotykać ręcznego sterowania, była całkiem rozsądna. Ale decyzje takie są pożyteczne wtedy, gdy za nimi idą czyny. Kola nie zawsze postępował zgodnie z własnymi decyzjami. Ledwo minęły dwie minuty, a już pomyślał: „Jeśli przestawię pęcherz na sterowanie ręczne, będę mógł wznieść się wyżej i popatrzeć na Moskwę z góry. Podlecę niezbyt wysoko, a gdyby się coś zdarzyło, natychmiast przełączę na automatykę. Technika obsługi musi być prosta, inaczej nie pozwalano by każdemu wsiadać do pęcherza. Przecież latają w nim nawet starcy i małe dzieci”.

To już było rozumowanie dość ryzykowne. Ale wejdźcie w położenie Koli. Jedziecie nowym środkiem lokomocji posiadającym różnorakie możliwości. I co, zrezygnujecie z wykorzystania ich? Jeśli tak, nie macie w sobie za grosz żyłki badawczej. A Kola ją miał.

A w ogóle, to jeżeli będzie jechał tak jak inni, zaśnie już na amen. Żeby nie zasnąć, trzeba się czymś zająć.

Przestawił jedną dźwigienkę na sterowanie ręczne i ostrożnie przesunął w górę drugą z napisem: „Wznoszenie”. Bardzo ostrożnie. Tak że pęcherz wzniósł się nad ziemię tylko na kilka metrów i o mało nie zderzył się z innym, lecącym z przeciwnej strony. Nie, tak nie da rady. Jak już coś robić, to

robić. I Kola przesunął dźwignię prawie do oporu.

Nie latał oczywiście nigdy dotąd pęcherzami, więc też nie wiedział, jak szybko reagują na rozkazy. Pęcherz pomknął w niebo ku samemu słońcu, z taką prędkością, że ziemia runęła w dół, Koli zatkało uszy. Stracił głowę, opuścił dźwignię w dół. Pęcherz zamarł. Spłaszczył się nawet odrobinę – tak bezwzględnie obchodził się z nim pasażer. Nagle pulpity przemówił głosem przypominającym tamten z automatu z lodami.

– Łamiesz przepisy sterowania. Jeśli nie przestaniesz pastwić się nad latającym flipem, przełączymy go w trybie przymusowym na automatykę.

– Przepraszam – powiedział skruszonym głosem Kola. – Więcej nie będę.

Pęcherz w dalszym ciągu opadał, więc Kola – tym razem z najwyższą ostrożnością – ustawił dźwignię w położeniu neutralnym. Pęcherz, uspokoiwszy się, poleciał, przed siebie na wysokości stupiętrowego domu. Kola odwrócił się i popatrzył na Moskwę. Z tej wysokości Moskwa była bardzo zielona i zdawała się nie mieć granic. Trudno jednak było cokolwiek rozpoznać. Zobaczył wieżę telewizyjną w Ostankino, ale obok znajdowały się jeszcze trzy inne, dwukrotnie wyższe, które otaczały ją niczym rośli synowie matkę-starowinkę.

Bliżej centrum Moskwa zlewała się w mieszaninę żółtych i zielonych plam. Aby zobaczyć Kreml, trzeba było wznieść się nieco wyżej.

Kola podniósł lekko dźwignię. Z satysfakcją wyczuł, że pęcherz posłusznie i łagodnie wznosi się w powietrze. Pomyślał nawet, że może warto by pozostać jeszcze dwa, trzy dni, wyszaleć się do woli na pęcherzach. Podnosił wciąż dźwignię oglądając się za siebie. Moskwa została hen w dole, ale nie bał się ani trochę. Wreszcie wydało mu się, że widzi wieże Kremla, ale w tym samym momencie rozległ się cichy trzask i wszystko zniknęło. Otoczyła go nieprzenikniona szara mgła. Usłyszał głos:

– Cóż to za powietrzne chuligaństwo?! Kto wypuszcza w powietrze ślepe kocięta? Zatrzymaj pojazd! Rozrywasz sieć!

Automatycznie wykonał polecenie. Pęcherz zawisł w gęstej szarej mgle i choć Kola obracał głowę na wszystkie strony, nie widział nic.

– No co, usnąłeś? – znów rozległ się głos. Był znajomy i najwyraźniej kipiał gniewem.

– A co mam zrobić? – spytał Kola.

– Jak to co? Schodź w dół.

– Przecież to pan kazał mi ustawić dźwignię na „Stop”.

– I dobrze zrobiłem. Znów byś rozerwał sieć, a na dodatek zderzył się ze mną. Schodź, mówię ci!

Kola posłusznie przesunął dźwignię w dół i pęcherz zaczął się obniżać z prędkością windy szybkobieżnej. Kola nie zdążyłby doliczyć nawet do dwudziestu, gdy z powrotem wychynęło słońce. Podniósł głowę i zobaczył wiszącą nad sobą ogromną kulistą chmurę, w którą niechęć wleciał przed chwilą. Przyjrzawszy się dokładniej spostrzegł, iż nie jest to całkiem zwyczajna chmura. Spowijała ją migocąca w słońcu sieć połączona z dużym pęcherzem, w którym znajdował się jakiś pasażer. Pęcherz ciągnął chmurę za sobą.

– No, podleć tu do mnie – powiedział głos. – Chcę przyjrzeć się powietrznemu chuliganowi. Przez ciebie stracę połowę chmury.

Kola dostrzegł, jak z wyrwanej przez niego dziury wydobywa się szara mgła niby para z czajnika.

– Przepraszam – bąknął ze skruchą. – Ja nienaumyślnie.

– Wszystko jedno, zasuwaj do góry.

Nie pozostało mu nic innego, jak wzbić się wyżej. Nauczył się już kierować pęcherzem. Gdy zbliżył się do pęcherza-holownika, ciężar spadł mu z serca. Wewnątrz siedział stary znajomy, rówieśnik Paweł.

– Aa, to z ciebie taki pilot od siedmiu boleści! – powiedział starszek, który również poznał Kola. – Co się z tobą dzieje, Kola?

– Zagapiłem się na Kreml z lotu ptaka i nie zauważyłem pana. A pan nie jest zmęczony? Cały ranek na rowerze...

– Myślisz, że dożyłbym takiego wieku, gdybym nie pracował? Na rowerze się hartuję, a chmury taszczę, ponieważ pracuję w głównej stacji meteorologicznej.

– Przepowiada pan pogodę?

– Pogodę przepowiadano niegdyś. Teraz ją tworzymy. Spójrz, ilu nas jest.

Kola istotnie zobaczył może ze sto, a może i więcej pęcherzy ciągnących za sobą chmury po całym niebie.

– W Riazaniu proszą o deszcz. Obiecaliśmy zorganizować nieduży jeszcze przed wieczorem. Chcesz polecieć z nami?

– Dzięki, ale spieszę się na kosmodrom.

– Nie bardzo to widać. Radzę ci przestawić flip na automatykę, bo z pewnością już w centrum sterowania zauważyli twoje manewry. Zrób to sam, zanim to zrobią za ciebie. To byłby wstyd! Jesteśmy mimo wszystko ludźmi dorosłymi.

Kola chciał pójść za tą radą, ale nie zdążył. Dźwigienka bez jego udziału przełączyła się na automatykę, a cały pulpit rozjarzył się napisem:

„AUTOMATYKA PRZYMUSOWA!” szybko zniżył się i po trzech minutach sunął w potoku innych pęcherzy tuż nad ziemią, kierując się ku kosmodromowi.

PASAŻER NA JAKĄKOLWIEK PLANETĘ

Kola wysiadł z pęcherza na postoju przed kosmodromem. Zgromadziło się tu wiele pustych pęcherzy, ale najwyraźniej odwołano je z dyspozytorni, aby na próżno nie zajmowały miejsca, bo chyba ze dwieście kul naraz wzbiło się w powietrze, uformowało się w szyku przypominającym kiść winogron albo żabi skrzek i pomknęło chmarą z powrotem ku miastu.

Sam kosmodrom, można powiedzieć, był skromny. Koralowy, co najmniej kilometrowej długości budynek miał najwyżej dwa piętra. Kola spodziewał się, że pierwszą rzeczą, jaką zobaczy, będą ostre niczym włócznie dzioby stojących statków kosmicznych. Ale statków nie było widać.

Poza tym wśród ludzi wysiadających z pęcherzy, spacerujących lub stojących przed budynkiem, wychodzących spod ziemi czy też opuszczających się z góry, nie było, a raczej prawie nie było kosmonautów w mundurach, osobników w skafandrach, przybyszów z innych planet, robotów i tak dalej – to znaczy tych wszystkich, którzy powinni znajdować się na kosmodromie.

Kola podszedł do jednego z wejść. Przeczytał widniejący nad nim napis:

„MOSKIEWSKI KOSMODROM-1”

„KOMUNIKACJA PLANETARNA”

Jasne – pomyślał. Stąd nie lata się do gwiazd. Zrozumiałe, że wielkie statki stacjonują na orbitach lub przy skrajnych planetach. Czytał o tym w książkach fantastyczno-naukowych. Wspomniana literatura na ogół pomagała Koli domyślać się, co zobaczy, lub też zrozumieć, co widzi, niekiedy jednak przeszkadzała. Przydałoby się, aby ci fantaści mogli tu choć raz przyjechać, nie popełnialiby wówczas tylu błędów. Ładna mi literatura o przyszłości: piszą, a sami nie wiedzą o czym!

Wewnątrz kosmodrom okazał się znacznie większy, niżby można sądzić po wyglądzie zewnętrznym. W ubiegłym roku, przepraszam, to znaczy przeszło sto lat temu, Kola leciał z babcią do Suchumi. Dworzec lotniczy Wnukowo przypominał pod pewnymi względami kosmodrom. I tam, i tu ogromne hale. Tam ludzie spieszą się dokądś, spóźniają bądź też na odwrót – wcale się nie spieszą, bo w obawie przed spóźnieniem przyjechali za wcześnie i do startu pozostało im jeszcze pełne dwie godziny. Ciekawe, czy loty kosmiczne są odkładane z powodu złej pogody.

Kola powoli szedł wzdłuż nie kończącego się rzędu stanowisk, gdzie pasażerowie okazywali bilety lub oddawali bagaż, odczytywał nazwy rejsów. Zachowywał się jak pasażer tranzytowy, który utknąwszy w porcie lotniczym, usiłuje zabić czas. Niektóre rejsy bardzo mu się spodobały. Na przykład: Nr 234 „Merkury-2”, Nr 45-6 „Ganimedes”, Nr 7-67 „Krater Ciołkowskiego”.

Kola podszedł do ekranu informacji i zapytał:

– Są jeszcze bilety na najbliższy rejs na Księżyc?

- Ostatni na Księżyc odszedł piętnaście minut temu – odrzekł ekran.
- A dokąd jeszcze mogę dostać bilet?
- Przepraszam, pytanie niezrozumiałe – powiedział ekran. – Dokąd chce pan lecieć?
- Na Uran – rzekł Kola, choć uprzednio wcale nie miał zamiaru tam się wybrać.
- W jakim celu pan się tam udaje?

„Całe szczęście, że to automat, a nie żywy człowiek – pomyślał Kola. – Zaraz by mi się zaczęli przyglądać...” Toteż nie odpowiedziawszy na owo nietaktowne pytanie, ruszył dalej w poszukiwaniu wyjścia na pole startowe.

Wyjścia, owszem, były, ale nie dla podróżnika na własną rękę. Nad jednym znajdował się napis „Kontrola medyczna”, przy drugich stali kontrolerzy, jeszcze innych strzegła fotokomórka i bez żetonu nawet mysz nie miała szansy się prześliznąć. „Coś mi się nie wiedzie – rozzalił się Kola. – Przyjeżdża człowiek na kosmodrom i nie może nawet popatrzeć sobie, jak inni odlatują na obce planety, nie mówiąc już o tym, żeby samemu polecieć.”

Kula zjechał kilka poziomów w dół ruchomymi schodami, tam gdzie odbywał się załadunek i osób było niewiele, ale nie pozostał tam długo, w obawie, że zabłądzi. Czuł po prostu wszystkimi fibrami, jak czas mija, upływa, ucieka, ulatuje. Tyle już go stracił, że nawet mowy nie ma o podróży na Księżyc. Żeby choć popatrzeć z bliska na jakikolwiek statek!

Wyszedłszy z kosmodromu, postanowił obejść dokoła budynek. A nuż się uda! Przecież budynek gdzieś się musi kończyć. Szedł tak wzdłuż ściany z dziesięć minut, wreszcie skręcił za róg. Rozwarło się przed nim ogromne, ciągnące się aż po horyzont, pole.

Na polu nie było ani jednego normalnego statku kosmicznego, tylko dyski podobne do tych, którymi rzucają dyskobole. Tyle że grubsze, bardziej wypukłe, a każdy wielkości boiska do piłki nożnej. Były to kosmiczne latające talerze.

Panowała cisza, tylko z oddali niosły się ludzkie głosy. Pojazdy obsługujące dyski również poruszały się całkiem bezszelestnie. Pasażerów na polu nie było widać. Z pewnością podjeżdżali do dysków zamkniętymi autobusami albo też jakimiś ukrytymi przejściami.

Kola nagle zobaczył, iż jeden z dysków startuje. Wznosił się powoli sprawiając wrażenie, iż nie porusza go żadna siła, lecz jest po prostu lżejszy od powietrza. Osiągnąwszy wysokość mniej więcej stu metrów, dysk począł się z wolna przechylać, jak gdyby kierowała nim ręka sportowca. I nagle wystartował, jakby wyrzucony tą niewidzialną ręką, tnąc ostrą krawędzią powietrze. Kola odprowadzał go wzrokiem, póki dysk nie zamienił się w małą soczewkę, w końcu tylko biała smużka na niebie wskazywała kierunek, w którym odleciał.

Kolę ogromnie korciło, by podejść bliżej do statków. Ostrożnie, powoli ruszył pod ścianą w kierunku pola, nie uszedł nawet jednak dwudziestu kroków, gdy natknął się na niewidzialną przeszkodę. Coś twardego i przezroczystego nie puszczало go dalej. Obmacał ścianę rękoma – była gładka i ciągnęła się wysoko w górę, tak że nawet wspinając się na czubki palców nie mógł dosięgnąć jej szczytu.

„A to cwaniaki” – pomyślał. Był jednak przekonany, że ściana musi się gdzieś kończyć. Przecież w którymś miejscu przez nią przechodzą.

Wyszedł znów na ścieżkę i podążył w stronę widniejących w oddali zabudowań.

Postanowił sobie, że gdy ktoś go zapyta, co tu robi, odpowie: „Spaceruję sobie i przyglądam się statkom. Nie ma w tym nic zdrożnego”. Nikt jednak o nic go nie zapytał.

Kola dotarł do zabudowań i zatrzymał się przed najmniejszym budynkiem. Dochodziły stamtąd

jakieś głosy.

Zajrzał do środka. W dużej sali z wypukłym sklepieniem stała grupka dziewcząt i chłopców, jedni starsi od Koli, inni w jego wieku. Zgromadzili się wokół niskiego stołu, na którym znajdowało się „coś”. Jeśli nigdy przedtem nie widziało się jakiejś rzeczy, a jest ona w dodatku niezwyklego kształtu, to lepiej nazwać to „czymś”, wówczas na pewno nie popełni się błędu.

Nikt nie zauważył wejścia Koli, który przyłączył się do gromadki. Stał i szukał wzrokiem wyjścia na pole startowe. Dostrzegł wreszcie drzwi i chciał się przemknąć ku nim nie zauważony, gdy niewysoki chłopak o kędzierzawych włosach, jak po trwałej ondulacji, zagadnął go:

– A ty dokąd? Przecież tam jest próżnia.

– Chciałem wyjść na pole startowe.

– Po co?

– Tak sobie. – I aby zapobiec kolejnym pytaniom kędzierzawego, zapytał sam: – Co tu robicie?

– Nie widzisz? – zdziwił się chłopiec. – Pracujemy.

– Widzę, że pracujecie. Ale nad czym?

– Nad sputnikiem. A co, niepodobny?

– Podobny – odparł Kola. – Model?

– Coś ty, masz nas za przedszkolaków? Zwykły satelita telekomunikacyjny, zgodnie z programem szkolnym. A w waszej szkole nie konstruujecie takich?

– Uczę się w Konotopie – powiedział Kola – Jestem historykiem.

– Dziwne. Cóż za jednostronne nauczanie! Zaraz, zaraz, czy Milena Mitina nie pochodzi właśnie z Konotopu?

Tym razem Kola stanął na wysokości zadania.

– Nie, z Kostromy – odpowiedział.

– Przepraszam. A czy podoba ci się nasz satelita? – spytał kędzierzawy.

– Uhum.

– Przyjaźnimy się z jedną szkołą w Australii. Są tam świetni przyrodnicy. Hodujemy kultury jagodowe, by mogły rosnąć w próżni na energii słonecznej. Rozumiesz sam, jak to potrzebne dla asteroidów.

– Bardzo – zgodził się Kola.

– Wystrzelimy go i uzyskamy stały kanał łączności z Australią. W każdej chwili będzie można się porozumieć, wymienić doświadczenia, wykazać się osiągnięciami.

– A kiedy go wystrzelicie?

– Czekamy na robota-wózek. Dzisiaj kupa ludzi poleciała na festiwal na Księżycu, no i opóźnił się nam start.

– I wyjdziecie na pole startowe?

– Jasne. Przecież trzeba ustawić satelitę na wyrzutniku grawitonowym, by go wyniósł na orbitę.

– A gdzie jest wasz nauczyciel?

– Czeka na polu.

Kola pojął, że oto trafia mu się wspaniała okazja dostania się na pole startowe. Byłe się nie spieszyć.

– Posłuchaj – spytał – a co to za ściana wokół kosmodromu? Wydaje mi się, że w zeszłym roku jej nie było.

– Masz rację. W zeszłym roku była zwyczajna, koralowa, ale strasznie psuła wygląd całości.

Teraz zainstalowano pole siłowe.

– Po co?

– Jak to, po co? Przed takimi jak ty czy ja. Myślisz, że mało na świecie głupoli, którzy obowiązkowo chcą znaleźć się na Marsie? Co będzie robił na Marsie nie doksztalony małolat? A mimo to się pchali.

– A tobie nigdy nie marzyło się skoczyć na Marsa?

– Mnie? Ja polecę na Marsa, gdy już będę tam przydatny – odparł kędzierzawy. – Po to właśnie się uczę.

– Nie wierz mu – odezwał się drugi chłopak, nieco starszy. – Nie tylko chciał się dostać na Marsa, ale nawet zabrał się na frachtowiec. Na szczęście wyciągnęli go w samą porę, inaczej zamarzlby w Kosmosie.

– Po pierwsze byłem wtedy bardzo mały – obraził się kędzierzawy. – Przecież to było dwa lata temu. A po drugie, nie jestem takim idiotą, żeby się pchać na frachtowiec. Przekradłem się na pocztowy.

– A co, na pocztowym można polecieć na Marsa? – spytał Kola, zapomniawszy o ostrożności.

Kędzierzawy zerknął na niego podejrzliwie i zapytał:

– A właściwie to po co tu przyszedłeś?

– Tak sobie. Popatrzeć na satelitę. Żeby opowiedzieć kumplom w Konotopie.

Kędzierzawy najwyraźniej mu nie uwierzył i już się szykował do następnego niedyskretnego pytania, gdy wtem ściana rozsunała się na boki i w pokoju pojawił się wózek-robot. Zwykły wózek, platforma sunąca nad ziemią. Gdy podjechała do stołu, wysunęły się z niej metalowe macki, ostrożnie ujęły i przeniosły satelitę. Następnie skierowała się w stronę pola, a wszystkie dzieci podążyły za nią, szczęśliwie zapominając o Koli. On zaś wyszedł za nimi.

Szedł za wózkiem dopóty, dopóki nie zauważył, iż z boku podjeżdża identyczny z umieszczoną na nim piękną wazą dwukrotnie wyższą od człowieka. Waza znajdowała się w półprzeźroczystym pokrowcu.

Można powiedzieć, że spotkanie nastąpiło w samą porę. Kola został nieco w tyle i kiedy wózek zrównał się z nim, ukrył się za wazą i szedł obok, jak gdyby stanowiła jego własność i właśnie wysyłał ją w podarunku babci na Jowisza.

Nikt nie zauważył jego zniknięcia.

Teraz należało podkraść się bliżej do któregoś statku. Nie, Kola w tej chwili wcale nie myślał o locie na inną planetę. W dalszym ciągu zamierzał wrócić do domu przed wieczorem. Ale skoro już raz udało mu się dostać na tak starannie chronione przed kosmicznymi gapowiczami pole startowe, wypadaloby choć dotknąć prawdziwego statku.

Wózek skręcił ku stojącemu nie opodal dyskowi. Bardzo to było Koli na rękę. Z pewnością waza zostanie załadowana, a jeśli tak, to z pewnością na statek. A skoro na statek, to trzeba skorzystać z nadarzającej się okazji.

Tak też się i stało.

GAPOWICZE W BAZIE

Wózek ostrożnie zahamował przed otwartym lukiem. Z bliska okazało się, że dysk jest wprost niewiarygodnie ogromny. Poniżej jego dolnej krawędzi czerniał luk wielkości bramki piłkarskiej, od którego wiodła aż do ziemi schodnia szerokości solidnej szosy, pokryta żebrowanym plastykiem dla uniknięcia poślizgu.

Przed schodnią wózek zahamował. Kola przykucnął za nim, by go nie zauważyli ludzie, którzy będą przyjmowali ładunek. Nikt jednak się nie pojawił. Za to wózek, jak gdyby na czyjeś polecenie, ostrożnie pojechał w górę, przytrzymując wazę mackami.

Przepuścić taką okazję byłoby wręcz niewybaczalnym błędem. Kola miałyby nie zajrzeć do środka, skoro nikt dotychczas nie zauważył go i nie zatrzymał? Choćby jednym okiem, choćby na jedno мгновение. A potem – natychmiast do domu.

Gdy wszedł na schodnię, spostrzegł trójnog, a na nim napis: „Moskwa-Mars. Poczto-wysyłkowy. Nr 986-2”.

Od razu przypomniał sobie słowa kędzierzawego, że na pocztowo-wysyłkowym można latać, ponieważ jest ciepło. Nie oznacza to wcale, że miał zamiar polecieć. Po prostu przypomniał sobie.

Wózek wdrapał się po schodni i zakołysał się, ciężko wjeżdżając do wnętrza statku. Na spotkanie wyjechał mu drugi wózek, pusty. Kola pomyślał, że gdy wózek wyładuje wazę, będzie się można na nim zabrać z powrotem.

Wózek zatrzymał się w przestronnej, słabo oświetlonej hali. Kola już zamierzał iść dalej, gdy z wózka rozległ się mechaniczny, monotony głos:

– Ładunek – przesyłka – numer – dwanaście – trzy -robot – wózek – czterdzieści – cztery – gdzie – postawić – ładunek – czekam – na – informację.

Natychmiast z góry zabrzmiała odpowiedź:

– Robot – wózek – czterdzieści – cztery – nie – mam – informacji – o – waszym – ładunku – czekaj – na – wskazówki – w – drugim – przedziale – załadunkowym.

Wózek znów ruszył w drogę. Jak dotąd Kola nie zobaczył nic interesującego. Nie spotkał nawet żadnego człowieka. Z dużej hali wózek przejechał do drugiej, nieco mniejszej, gdzie znajdowały się już jakieś skrzynki. Oświetlenie w niej było lepsze i nie wiadomo skąd wiał chłodny, suchy wiatr.

Kola rozejrzył się niby to z ciekawości, a faktycznie szukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Toteż, gdy spostrzegł dużą ciemną niszę pomiędzy skrzyniami, nogi same, nie pytając o pozwolenie, poniosły go w tym kierunku, zaś głowa udawała, że niczego nie zauważa. Można więc powiedzieć, że Kola znalazł się w ciemnym kącie pomiędzy skrzyniami całkiem niezależnie od swej woli.

Stojąc tam, toczył spór sam ze sobą. Jedna jego połowa żądała natychmiastowego powrotu, gdy tylko wózek wyładuje wazę, druga zaś ani słyszeć o tym nie chciała. Nawet tutejszym chłopakom nie

udało się zakraść na statek, a on sobie poradził. Gdyby zwierzył się któremuś ze swych kolegów, że był na statku kosmicznym mającym wystartować na Marsa i opuścił go tylko dlatego, by nie martwić mamy, pękliby ze śmiechu. „Taka szansa więcej się nie powtórzy. Ale przecież nie wiadomo – argumentowała pierwsza połowa – jak długo leci się na Marsa. Może miesiąc albo i dłużej. Można umrzeć z głodu.” Druga zaś odpowiadała: „Nic podobnego. Jak już bardzo zgłodnieję, wyjdę stąd, udam się do sterowni i do wszystkiego się przyznam. Powiem, że jestem z Konotopu i marzę o tym, by zajrzeć na Marsa. Powiem też, że jestem sierotą i nie mam nikogo, kto by się o mnie niepokoił. Przecież z mojego powodu nie zawrócą statku. No, a jeśli zawrócą, to i tak już zdążyłem być w Kosmosie. Pierwszy z całej szkoły.”

Gdy tak się borykał sam ze sobą, ujrzał zdumiewający obrazek.

Z szerokiej szyjki wazy wychynęła okrągła ludzka głowa. Była idealnie okrągła i idealnie łyśa. Głowa rozejrzała się wokół i zniknęła. Po raz pierwszy w tym dniu Kola naprawdę się przeraził.

Głowa wyjrzała po raz drugi, potem tłuste paluchy uchwyciły brzeg wazy i na zewnątrz wygramolił się z trudem osobnik składający się z samych kul. Głowa-kula, brzuch-kula, nawet ręce składały się z kul. Do złudzenia przypominał wielkie przekarmione niemowlę. Ubrany był w czarny sweter, żółte spodnie do kolan, na nogach miał solidne trzewiki.

Grubas przewalił się przez krawędź wazy i zjechał na brzuchu po jej krągłym boku. Wózek zakołysał się nieco i spytał:

– Co – się – stało – co – się – stało?

Głos spod sufitu odparł:

– Wszystko – w – porządku – czekaj – na – wskazówki – czekam – na – informację.

Grubas popukał palcem w bok wazy i nagle wysunęła się z niej druga głowa, bardzo wąska, na cienkiej szyjce, i do tego mała jak u pierwszoklasisty-prymusa. Grubas wyciągnął ręce, pomagając chudzielcowi zeskoczyć.

Wszystko to przypominało ilustrację do bajki „Ali-Baba i czterdziestu rozbójników”. I tam rozbójnicy kryli się w garncach, tyle że ich później pokonano.

Grubas i chudzielec postali chwilę na brzegu wózka, potem zeskoczyli zeń i pobiegli właśnie w kierunku ciemnego kąta, w którym ukrył się Kola. Kola szybko odczołgał się w tył i na szczęście udało mu się znaleźć wąską szczelinę pomiędzy skrzyniami a ścianą. Wcisnął się tam i zamarł wstrzymując oddech.

Ale wpadka! Póki tamci nie wyjdą, nie ma mowy, by udało mu się wydostać. Jasne – to też gapowicze i też chcą polecieć na Marsa nie zauważeni. Tylko jeśli zachowuje się w ten sposób dwunastoletni smarkacz, to jeszcze można to wytłumaczyć, zwłaszcza gdy przybył z innej epoki. Natomiast gdy gapowiczami okazują się dorośli, to całkiem inna sprawa. Poza tym Kola bał się ich – nie wiedzieć czemu budzili w nim odruch niechęci.

Z góry rozległ się głos:

– Robot – wózek – czterdzieści – cztery – ładunek – dostarczony – tu – przez – pomyłkę – waza – przeznaczona – na – prezent – na – aldebarana – wróc – z – ładunkiem – do – głównego – magazynu – jak – zrozumiałeś – odbiór.

– Zrozumiałem – dobrze – odparł wózek. – Ładunek – zmienił – wagę – minus – sto – dziewięćdziesiąt – trzy – kilogramy – sześćset – osiemdziesiąt – dwa – gramy – możliwy – ubytek – po – drodze – proszę – sprawdzić.

Kola wyobraził sobie wózek przesuwający mackami po podłodze, szukający, czy przypadkiem

coś nie spadło, a wokół pustka. Sto dziewięćdziesiąt trzy kilogramy ważyli gapowicze.

– Zrozumiałem – odpowiedział głos z góry. – Przekażę – dyspozytorowi – nie – ruszaj – się – z – miejsca.

Tuż obok Koli poruszyli się w ciemnościach niepożądani sąsiedzi. Szeptali coś w niezrozumiałym języku składającym się z samych spółgłosek. Wyglądało to mniej więcej tak:

– Kh – mszszsz – frk – psz – krr – szeptał wysoki, cieniutki głos.

– Szszzszsz – wprrr – kttttt – cc – odpowiadał niski.

„Aha – pomyślał Kola – wpadliście, gołąbeczki! Zaraz was schwytają”. Całkiem zapomniał o sobie, nie wiadomo czemu pragnął z całej duszy, aby tamtym nie udało się odlecieć na Marsa.

Z zewnątrz dały się słyszeć szybkie kroki wielu stóp, jak gdyby do magazynu wbiegł cały oddział karzełków. „Aha, nasi” – ucieszył się Kola. Grubas i chudzielec zamilkli, przyczaili się.

Kroki rozbiegły się po całej ładowni i nagle pomiędzy skrzyniami zrobiło się całkiem widno. Kola ostrożnie zerknął przez szparę między górną a dolną warstwą skrzyń i zobaczył, jak do niszy, w której ukryli się gapowicze, wbiegły wielonogie i wielorękie roboty. Pasażerowie na gapę odskoczyli pod samą ścianę, a grubas usiłował nawet wtłoczyć się w szczelinę, w której schował się Kola, nie udało mu się to jednak. Kiedy Kola znów odważył się wytknąć nos, ujrzał, że jego sąsiedzi walczą zaciekle, usiłując strząsnąć z siebie roboty, które wczepiły się w nich i ciągnęły na otwartą przestrzeń. Po chwili rozległ się mechaniczny głos wózka:

– Znalaziono – dwóch – osobników – ukrytych – pomiędzy – kontenerami – nie – chcieli – wyjść.

Głos z góry odrzekł:

– Zważcie – tych – co – się – schowali – podajcie – mi – informację.

Kola widział, jak małe roboty podniosły ich w górę. Jeden głos powiedział:

– Waga – mojego – człowieka – czterdzieści – trzy – kilogramy – sześćset – osiemdziesiąt – dwa – gramy.

– Waga – mojego – człowieka – równo – sto – pięćdziesiąt – kilogramów – zawtórował mu drugi.

Trzeci zaś dodał:

– W – sumie – waga – sto – dziewięćdziesiąt – trzy – kilogramy – sześćset – osiemdziesiąt – dwa – gramy. – Waga – równa – się – ubytkowi – powiedział wózek.

Zaś z góry wydano polecenie:

– Zatrzymajcie – ludzi – do – przyjscia – wachtowego.

Na Kola nikt nie zwracał uwagi. On przecież nie jeździł na wózkach. Małe roboty ciągle trzymały grubasa i chudzielca nad podłogą niczym Atlas, grecki heros podpierający niebo. Gapowicze buntowali się i przekrzykiwali w swoim języku:

– Khrr! Pszszpwsz!

Do pomieszczenia wszedł wachtowy. Miał na sobie granatowy kombinezon z kometa wyszytą na rękawie tuż nad gwiazdką, taką samą, jaką dostał Kola.

– Puście ich – powiedział.

Grubas klapnął na podłogę, chudzielcowi udało się utrzymać na nogach.

– To skandal! – wrzasnął grubas. – Znęcanie się! Jakie macie prawo napuszczać na nas te pokraki?

– Może raczej ja was spytam, co robicie w ładowni – odparł wachtowy. – I jak się tu dostaliście?

– Wstąpiliśmy – odpowiedział chudeusz – żeby nacieszyć oczy widokiem statków.

„Kłamie!” – o mało nie wykrzyknął Kola, powstrzymując się dosłownie w ostatniej chwili. Ależ mu się trafiło towarzystwo!

– A jakim to sposobem?

– Po prostu wstąpiliśmy.

– Myślę, że przyjechaliście tu w wazie – powiedział wachtowy.

– No i cóż w tym dziwnego – buntowniczo odmruknął grubas. – Każdy jeździ, czym mu się podoba.

– I dokąd zamierzacie się udać?

– Niech pan pozwoli mi wszystko wyjaśnić – przerwał im chudy – aby uniknąć nieporozumień. Matka mojego przyjaciela, staruszka, mieszka na Plutonie. No, potwierdź moje słowa, na co czekasz!

Grubas zwiotczał nagle, zaszlochał i jęknął:

– Tak, na Plutonie czeka na mnie mamusia staruszka. Obchodzi właśnie urodziny. Kończy dziewięćdziesiąt lat. Przysłała mi zaproszenie na Plutona, nie do pomyślenia przecież obchodzić urodziny bez ukochanego syna.

– No widzi pan – dodał chudzielec – jak on to przeżywa!

– Proszę mówić dalej – odezwał się wachtowy.

„Czyżby im uwierzył?” – zdziwił się Kola.

– Wleźliśmy do wazy – kończył grubas – ponieważ na waszym statku zabrakło miejsca.

– I jak myślicie, dokąd leci nasz statek?

– Na Plutona.

– Niestety, pomyłka. To statek pocztowy na Marsa.

– O biada nam! – wykrzyknął grubas. – Czyżby takie pomyłki jeszcze się zdarzały na Ziemi? Chcieli nas wysłać na Marsa!

– Nigdzie nie chcieliśmy was wysłać – spokojnie odparł wachtowy. – A póki co, pozostaniecie w ogóle na Ziemi. Nie dziwiłoby nas, gdyby na statek zakradł się jakiś smarkacz, ale gdy dorośli ludzie stroją sobie takie żarty, jest to co najmniej zastanawiające. A propos, co porabia na Plutonie pańska stara matka? Przecież Pluton to stacja naukowa, a nie sanatorium.

– Jego matka – powiedział chudzielec – nie jest emerytką. To specjalista w dziedzinie uzyskiwania wody z próżni.

– No, już raz pomyliliście statek, wobec tego poproszę roboty, żeby was odprowadziły do dyspozytora portu kosmicznego. Pomoże wam kupić bilet na właściwy statek i dopilnuje, byście nikogo więcej nie oszukali. Do widzenia. A poza tym, jeśli chcecie wiedzieć, mieliście dużo szczęścia – w czasie lotu ładownia jest hermetycznie zamknięta, przez całe trzy dni panuje w niej temperatura zero stopni.

– Ojej, dzięki za uratowanie życia! – wykrzyknęli zgodnie gapowicze. – Nigdy nie zapomnimy pańskiej dobroci. I proszę nie trudzić robotów, mają inne pilne zajęcia. Sami wrócimy do portu.

– Nie, wykluczone. Z robotami nie zabłądzicie – zaśmiał się wachtowy. – I ja będę spokojny.

Kola widział ze swej kryjówki, że wachtowy odprowadził grubasa i chudzielca do wyjścia i stał chwilę przypatrując się, jak zlążą po schodni.

– Co się stało? – zabrzmiał jakiś nowy głos.

Do wachtowego zbliżał się wysoki kosmonauta, tenże kapitan Połoskow, który podarował Koli gwiazdkę.

– Jakaś dziwna historia, kapitanie – odparł wachtowy. – Widzi pan tych dwóch biegnących przez pole?

– Tych tam?

– Otóż dostali się na statek ukryci w wazie, która przez pomyłkę trafiła do naszej ładowni.

– Przez pomyłkę?

– Tak. Miała lecieć na Plutona. Do Domu Wypoczynkowego Naukowców. Oni też wybierali się na Plutona. Twierdzą, że jeden z nich ma tam matkę staruszkę, która kończy właśnie dziewięćdziesiąt lat.

– Co za bzdura! – powiedział kapitan Połoskow.

– I ja tak myślę.

– Wydają mi się jacyś znajomi. Jak gdybym kiedyś ich już spotkał. Nie mogę tylko przypomnieć sobie, gdzie to było. A propos, nie ma tu przypadkiem jeszcze jakiegoś gapowicza? Sprawdziłeś ładownie?

– Proszę się nie martwić, kapitanie. Przed odlotem przejdę się po wszystkich ładowniach z biowykrywaczem, nic, co żywe, przed nim się nie ukryje.

– No dobrze – uspokoił się kapitan. – Wobec tego chodźmy do sterowni, poinformujemy o wszystkim dyspozytora.

Kosmonauci odeszli, Kola zaś uprzytomnił sobie, że nie powinien zostać na statku nawet minuty dłużej. A w ogóle czas najwyższy do domu.

Ostrożnie wysunął się ze swej kryjówki i zbiegł po schodni. Przyczaiwszy się nie opodał w cieniu dysku, poczekał na robota-wózek i kryjąc się za nim jak za tarczą, dotarł szybko do dworca.

Znowu mu się poszczęściło. Przed dworcem stał tłum najwyraźniej oczekujący kogoś. Grała orkiestra, ludzie powiewali transparentami:

„Witaj, Mileno Mitina!”

Od strony ogromnego błękitnego dysku nadleciał pęcherz, z którego wysiadła piękna kobieta o lekko zadartym nosku. Wszyscy jak jeden mąż wykrzyknęli:

– Huraaa! Witaj! Witaj!

Kola też krzyczał „huraaa”, żeby się nie wyróżniać.

Kobieta podeszła do oczekujących i zaczęła się z nimi witać. Stanąwszy twarzą w twarz z Kola, wyciągnęła doń rękę.

Ubrana była w długą skrzącą się szatę przypominającą grecki chiton.

– Niech żyje nasza wielka śpiewaczka! – krzyknął ktoś z tłumu.

– A tobie, chłopcze, podoba się mój śpiew? – spytała.

– Bardzo – odparł Kola. – Przyjechałem z pani rodzinnego Konotopu, by panią powitać.

– Nigdy nie byłam w Konotopie – zdziwiła się Milena. – Urodziłam się w Kostromie.

– Tak, tak, oczywiście – poprawił się Kola. – Jestem historykiem, w dodatku okropnie roztargnionym. Przyjechałem z Kostromy.

Zewsząd już wyciągały się ręce do Mileny.

– Mogę prosić o autograf? – spytał Kola, zupełnie już spokojny i bardzo rad, że udało mu się wydostać ze statku kosmicznego.

– Nie mam czym pisać – odrzekła Milena. – Ale proszę, weź to na pamiątkę.

Podala Koli pięknie oszlifowany okrągły płaski kamyczek.

– Ten kamyk znalazłam nad brzegiem oceanu na planecie Bruski, gdzie dawałam koncert.

– Dziękuję – powiedział Kola.

Tłum otoczył Milenę i pociągnął ją w kierunku dworca.

Kola szedł z tyłu, chowając do kieszeni pamiątkę z planety Bruski w nie znanym mu gwiazdozbiorniku.

– Młodzińcze – zatrzymała go dorosła dziewczyna w kimonie haftowanym w żurawie – zamień się ze mną. Zbieram wszystko, co wiąże się z życiem Mileny Mitiny. Co chcesz w zamian za kamień?

– Ależ nie mogę, to prezent – odparł Kola.

– Dam ci zegar gwiazdny, kolekcję znaczków marsjańskich, żywego zyglu...

– Nie – zdecydowanie przeciął Kola – prezentów nie wymieniam.

Wszedł do budynku dworcowego i w trzy minuty później był już z powrotem na postojach pęcherzy.

PIRACKIE NIEPOWODZENIA

Jeśli ktoś przyjeżdża na krótko do obcego miasta, to przez jeden dzień może zobaczyć jego ulice, nawet poznać kogoś, zwiedzić muzeum i tak dalej. Ale bardzo wątpliwe, by dowiedział się, jak żyją w nim ludzie, jakie są ich radości i smutki. Dlatego też może wszystko odebrać fałszywie.

Tak to bywa, gdy się przyjeżdża do obcego miasta. A cóż dopiero, gdy ktoś trafi do całkiem innego świata, tak jak Kola.

Kola szedł i jechał ulicami, oglądał rozmaite rzeczy, spotykał się z ludźmi i po chwili rozstawał z nimi. Coś niecoś rozumiał – nie wszystko przecież zmieniło się w ciągu stu lat. Wielu rzeczy jednak nie zobaczył i nie rozumiał. Wydawało mu się, że za sto lat ludzie będą żyli beztrosko i wesoło. Będą robić to, co ich interesuje, chodzić na maskarady, latać na skrzydłach i podróżować na inne planety. Nie zobaczył natomiast trudności ani komplikacji w życiu ludzi przyszłości. Tak się akurat złożyło. A trudności i komplikacje, rzecz jasna, istniały. Takie same jak u nas, a także zupełnie inne. Nikt tu Koli nie oszukiwał, nikt przed nim niczego nie ukrywał – wszyscy przecież uważali go za człowieka im współczesnego. Ale w ciągu jednego dnia można dostrzec tylko to, co znajduje się na wierzchu.

I nic w tym dziwnego, że Kola spostrzegłszy na statku grubasa i chudzielca ukrywających się za skrzyniami, nie domyślił się, co to za ludzie. Wprawdzie nie domyślił się również młody wachtowy. Ale kapitana Połoskowa coś tknęło, niewiele brakowało, by ich rozpoznał, niestety odeszli już daleko.

Kapitan Połoskow spotkał ich niedawno, zaledwie dwa lata temu, gdy na statku kosmicznym „Pegaz” udawał się z ekspedycją moskiewskiego ZOO w poszukiwaniu rzadkich okazów zwierząt na innych planetach. Nawiasem mówiąc, w owej ekspedycji brała również udział Alicja, którą zabrał ze sobą jej ojciec, dyrektor ZOO.

Podróżnikom dane było przeżyć wiele przygód i zetknąć się z pewną nader nieprzyjemną kompanią – piratami kosmicznymi. No tak, i cóż w tym dziwnego? Niegdyś, dawno, dawno temu, kiedy istniały statki żaglowe, po morzach i oceanach żeglowali morscy piraci. Z biegiem czasu na Ziemi pojawiły się telefony, łączność radiowa, szybkie statki, samoloty i oto piraci nie mieli już gdzie się ukrywać i jak ratować przed pościgiem, dlatego też na naszym globie wyginęli. Co innego w Kosmosie. Galaktykę można porównać do oceanu, tyle że jest milionkroć większa. Planety rozrzucone są po niej jak wyspy, gwiazdozbiory – jak archipelagi. Cała reszta to pustynia, po której płyną statki kosmiczne.

Różne narody żyją w Galaktyce. Tak jak niegdyś na Ziemi, współistnieją obok siebie postępowe i zacofane, a nawet całkiem dzikie. W Galaktyce i teraz istnieją jeszcze takie planety, których mieszkańcy nie wyobrażają sobie życia bez wojen.

Tak też jest z piratami kosmicznymi. Potrzebne im pieniądze i kosztowności, luksus i rozrywki.

Przede wszystkim jednak – władza nad światem. Przez pewien czas stanowili prawdziwą klęskę, ale któregoś pięknego dnia Galaktyce zbrzydło to wszystko. Jej mieszkańcy zajęli się tą sprawą poważnie.

Wszystkie planety Związku Galaktycznego, połączywszy swe siły, zbudowały kilka specjalnych superszybkich krążowników i rozpoczęła się wojna z piratami. W ciągu paru miesięcy wyłapano niemal wszystkich, wykryto ich bazy, nawet zwrócono właścicielom część utraconego mienia. Kilku jednak najbardziej przebiegłych i wyrafinowanych rozbójników przyczaiło się na pewien czas. Byli wśród nich dwaj znani bandyci. Jednego zwano Wesołkiem Ypsilon. Był okropnie gruby, składał się jak gdyby z samych kulistych zwałów tłuszczu. Na pierwszy rzut oka mógł sprawiać wrażenie poczciwego, gadatliwego tłuściocha, trudno jednak o fatalniejszą pomyłkę. Nikt, nawet najbliżsi przyjaciele nie mogli ufać Wesołkowi Ypsilon. Nawet rodzoną matkę sprzedał w niewolę na pewną zacofaną planetę. Co prawda, zdarzyło się to na samym początku jego kariery, później, gdy już obrósł w piórka, przypomniał sobie o mamie i poleciał na ową planetę z zamiarem wykupienia jej z niewoli. Tymczasem okazało się, że mama poradziła sobie bez niego – sama wykupiła się z niewoli, została władczynią Księstwa Mrówkowego Wzgórza i tak przywitała kochanego synka, że ledwie uszedł cało wraz ze swym statkiem.

Wesołek Ypsilon uważał się za wielkiego spryciarza. A jeśli nie miał pod ręką nikogo do nabicia w butelkę, siadał i grał sam ze sobą w karty, sam siebie ogrywał, kantując przy tym nieprzyzwoicie.

Jego przyjaciel Krys z Martwej Planety Krokrys był zupełnie inny. Krokrysowie wojowali od niepamiętnych czasów, nie znali nawet innego zajęcia. W końcu powybijali się nawzajem w ciągłych wojnach, a ich niedobitki skryły się w podziemnych jaskiniach. Krysowi znudziło się bieganie po jaskiniach, został więc piratem. Najokrutniejszym i najzimniejszym łotrem w całej Galaktyce.

Krys z Krokrysa używa zawsze syntetycznej powłoki. Najczęściej przybiera postać małego, chudego smętnego człowieczka. A pod powłoką kryje się owad z kosmatymi łapami, okrągłym odwłokiem i ostrymi cienkimi kleszczami. Na grzbiecie ma krótkie skrzydełka, fruwa jednak niemrawo. Skrzydła potrzebne mu są, aby ich chrzęstem ogłuszać przeciwnika. Oprócz tego posiada ogon zakończony jadowitym żądłem. Co prawda jad działa wyłącznie na inne Krokrysy.

Po wyłapaniu prawie wszystkich piratów owi dwaj bandyci, choć poprzednio znajdowali się na wojennej ścieżce, postanowili połączyć swe siły. Od tej pory już przez pięć lat włóczą się po Galaktyce. Zmuszeni są ukrywać się. Jeszcze do niedawna dysponowali własnym statkiem i garstką podwładnych, ale gdy członkowie wyprawy na „Pegazie” zwyciężyli ich z pomocą Trzech Kapitanów, piraci całkiem podupadli. Udało im się uciec przed wymiarem sprawiedliwości, niemniej przez dwa lata musieli kryć się po dalekich planetach. Z rozpaczki udali się po wsparcie do mamy Wesołka Ypsilon, tej jednak niepotrzebny był syn-pechowiec, toteż przegnała ich bez litości.

Trzeba było trafu, iż Kola znalazłszy się w przyszłości tylko na jeden dzień, spotkał właśnie Wesołka Ypsilon oraz Krysa, nie podejrzewając ich, rzecz jasna, o tak burzliwą biografię.

Piraci przylecieli na Ziemię rankiem i nie zamierzali zatrzymać się tu na długo. Obawiali się, że z miejsca zostaną pochwyceni, a musieli znaleźć jakiś statek, którym zabraliby się na Plutona. Tam bowiem znajdowała się obecnie nieduża wyprawa, a w najbliższym czasie miał być wyekspediowany na Ziemię statek z ładunkiem złota. Przecież każdy głupiec wie, że na Plutonie złota jest więcej niż granitu.

Wszystko szło jak z płatka i gdyby nie błąd komputera, odlecieliby na Plutona, porwali statek i umknęli w Kosmos z ładunkiem złota. A może by im się to nie udało? Nie wiadomo. Kiedy jednak

wleźli do wazy, wózek podał jej ciężar do dyspozytorni. Wtedy okazało się, że przewyższa on normę o sto dziewięćdziesiąt trzy kilogramy. Dyspozytornia sprawdziła według spisu i znalazła odpowiedni ciężar kontenera, który powinien być wyekspediowany na Marsa, odesłała więc wózek na statek marsjański. Piraci nie wzięli tej możliwości pod uwagę i przegrali.

Zdemaskowanym gapowiczom udało się wmieszać w tłum wielbicieli znakomitej śpiewaczki Mileny Mitiny. Postanowili ukryć się w mieście do następnego dnia, po czym, gdy wszystko przycichnie, wrócić na kosmodrom. Teraz jednak trzeba było się zamaskować.

Gdy znaleźli się wewnątrz budynku, Wesolek Ypsilon dał umowny sygnał i obaj piraci skryli się za rzędem automatów serwujących landrynki tym, którzy cierpieli na morską chorobę w Kosmosie.

Wszyscy wokół zajęci byli swoimi sprawami. Piraci nieco ochłonęli – wszakże dwie minuty temu byli pewni, że to już koniec, po czym Krys wy dostał z kieszeni niewielką pałeczkę. Wystarczyło nacisnąć jej koniec, a natychmiast wysuwał się długi, blisko trzydziestometrowy, prawie niewidoczny drucik, zakończony pazurkami. W rzeczywistości nie był to wcale drut, lecz walapaski zaskroniec – dziwne stworzenie zamieszkujące zarośla pewnej bezimiennej planety. Wyleguje się zazwyczaj w podziemnej norze, lecz gdy tylko pojawia się w pobliżu jakiegoś zwierzę, zaskroniec rozprostowuje się błyskawicznie i wbija się weń jak strzała. Nie ma dużych wymagań. Zadowolona się byle czym – tu wyszarpane kłak sierści, tam pióro, sam bowiem żywi się komarami. Wspomniana zdobycz potrzebna mu jest do gniazda, w którym śpi jego towarzyszka życia. A towarzyszki życia walapaskich zaskrońców są to grube wężyce wielkości anakondy, wygodnickie, lubiące spać na miękkiej podściółce. Dlatego też zaskroniec obdziera przechodniów – stara się, jak może, dla rodziny. Takiego właśnie zaskrońca Krys przysposobił do drobnych kradzieży i wszędzie taszczył ze sobą. Tym razem też się nim posłużył. Grupa turystów otoczyła przewodnika, rozbrzmiewał śmiech. Nikt nie zauważył, jak cienka półprzeźroczysta nić wystrzeliła w kierunku bagaży. Najpierw pazurki chwyciły szeroką błękitną pelerynę, która niczym płaszczka po dnie zatoki pomknęła w kierunku automatów. Roztargniony docent Spusi-Wa-Pus-Wa-Pas-Wa-Pos (podobny do niebieskiego konia w akwarium), który prosto ze stadionu pospieszył na kosmodrom, aby nie spóźnić się na rejs, spostrzegł sunącą po podłodze błękitną pelerynę. Pomyślał sobie, że to z pewnością jakiś gość z innej planety przypominający tylko wyglądem pelerynę. Przeprosił go zatem uprzejmie i podskoczył, by nie nadepnąć na nieznanomego, aż woda w akwarium zafalowała i chlapnęła na podłogę.

– Przepraszam, ochlapałem pana – sumitował się docent.

Lecz peleryna skryła się już za automatami.

– A to przekłeta niebieska kobyła! – rugnął docenta ponury Krys. – Przyjdzie ci, Wesółku Ypsilon, paradować w tej pelerynie. Ja nie mogę, przeziębienie się, mam bardzo wrażliwe stawy.

– Więc ja się mam przeziębienie?! – obruszył się Wesolek Ypsilon. – Poza tym peleryna jest stanowczo za mała. Ściągnij dla mnie sombrero.

Sombrero było własnością meksykańskiego turysty, zwisało mu na plecach na tasiemkach związanych pod szyją.

Krys wypuścił ponownie walapaskiego zaskrońca, który wczepił się w sombrero żelaznym uściskiem. Pirat targnął węża za ogon, a ten z kolei targnął kapelusz turysty. Tasiemka rozwiązała się, turysta nie zdołał utrzymać się na nogach i klapnął na podłogę. Sombrero popęzło szybko w kierunku automatów przecinając drogę wracającemu właśnie docentowi Spusi-Wa-Pus-Wa-Pas-Wa-Pos. Ten zaś, zauważywszy pełznącego ku niemu jakiegoś nowego okrągłego przybysza, podskoczył, by nie

nastąpić nań, obryzgał go wodą z akwarium i przeprosił:

– Oo, pardon, jestem taki roztargniony!

W odpowiedzi spoza automatu dobiegło straszliwe przekleństwo w kosmicznym żargonie. Tak straszliwe, iż niebieski koń w akwarium zatkał uszy i spłonął rumieńcem. Docent nie wiedział, że piraci straszliwie obawiają się przeziębienia.

Turysta meksykański zerwał się i począł szukać sombrera, które zniknęło jak kamfora. Zgłosił więc w biurze rzeczy znalezionych, że uciekł mu kapelusz. Tymczasem spoza automatów wyszedł grubas w sombrero nasuniętym na oczy, za nim zaś dreptał człowieczek tak okutany w mokrą błękitną pelerynkę, że na zewnątrz sterczał tylko spiczasty nos. Człowiek w pelerynie kichał ogłuszająco.

Piraci wymknęli się na postój pęcherzy tuż za Kola, szybko wsiedli do dwuosobowego pęcherza i pomknęli jak najdalej od kosmodromu.

– Gdzie się zadekujemy? – spytał Wesolek Ypsilon. – Zrobiliśmy ich w konia wręcz koncertowo!
– Rozchichotał się.

– Szszsz! – uciszył go Krys. – Dyspozytornia może podsłuchiwać.

– Na Ziemi dyspozytornia nie podsłuchuje rozmów. Tym bardziej, że rozmawiamy w pirackim języku.

– Wszystko jedno, proszę mówić szeptem.

– Dokąd teraz?

Krys studiował napisy pod guzikami. Było ich ponad sto, żaden jednak nie urządzał piratów.

– Mam! – zasyczał Krys. – Tu polecimy. Może to się nawet opłaci. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać nas w tym miejscu.

Cienkim plastikowym palcem, ukrywającym pazur, przycisnął guzik, pod którym widniał napis:
„KOSMOZOO”

Tymczasem Kola był już w drodze powrotnej do Moskwy. Skierował się na Prospekt Pokoju, skąd zamierzał wrócić trójką na Bulwar Gogola, a następnie do Instytutu Czasu.

Wszystko byłoby cudownie, poznał nawet Milenę Mitinę, tylko okropnie chciało mu się spać. Z pewnością był to jeszcze skutek lodów z lemoniadą i kanapkami. A może po prostu zmęczenie.

Podróż przebiegała spokojnie, nie łamał przepisów ruchu. Wyjął z kieszeni kamyk podarowany przez wielką śpiewaczkę. Kamyk przepięknie lśnił w słońcu. Było ciepło i przytulnie. Kola schował go z powrotem do kieszeni i postanowił, korzystając z okazji, przymknąć oczy i podumać o różnych sprawach. Zamknął oczy, nie zdążył jednak o niczym pomyśleć, gdyż natychmiast zasnął.

We śnie pochylił się nieco do przodu, oparł głowę na rękach, przyciskając niechęć łokciem guzik z napisem „Kosmozoo”.

GOŚĆ KOSMOZOO

Pęcherz doleciał do skrzyżowania, skręcił w przecznicę i pomknął w bok od Prospektu Pokoju, w kierunku centrum, tam gdzie w czasach Koli znajdował się Ogród Zoologiczny. Później został on przeniesiony gdzie indziej, aby jego mieszkańcy mieli więcej swobody, zaś na tamtym miejscu powstał park spacerowy. Kiedy zaczęto latać na inne planety i przywozić stamtąd niezwykle zwierzęta, postanowiono stworzyć specjalny kosmiczny zwierzyńiec. I wybrano dlań dawne miejsce.

Oczywiście Kola o tym wszystkim nie miał pojęcia. Spał słodko w przekonaniu, iż jego podróż zbliża się ku końcowi.

Tymczasem nic z tego.

– Młody człowieku! – usłyszał nagle gromki głos. – Pierwszy raz widzę, żeby z pęcherza robić sypialnię!

Kola zerwał się gwałtownie, uderzając głową o dach pęcherza.

– Co? Co? – spytał, zapomniawszy, gdzie się znajduje.

Przed pęcherzem stał Elektron Stiepanowicz, wróg nowoczesnej techniki, zwolennik powrotu do natury, a w drodze łączenia stanowisk – mistrz nowej techniki w Kosmicznym Ogrodzie Zoologicznym.

– Nic złego nie zrobiłem – tłumaczył się Kola. – Zaraz pójde do domu.

– A ja myślałem, że przyjechałeś zjeść ze mną lody – uśmiechnął się Elektron Stiepanowicz.

Zdażył się przebrać. Miał na sobie zielony roboczy kombinezon z wymalowanymi na nim brzózkami. Rysunek był tak naturalistyczny, iż nogi Elektona Stiepanowicza do złudzenia przypominały pnie brzozowe. Widok był niezwykły. Kola siedział mrugając oczami, tymczasem Elektron pobiegł szybko do słupka-automatu i wrócił z dwiema porcjami lodów.

– Masz – powiedział – zjedz i wszystko się jakoś ułoży. Spróbuj marchewkowo-cytrynowych. Takich nie znajdziesz w całej Moskwie.

Kola zdażył już nieco oprzytomnieć, wygramolił się z pęcherza i choć, szczerze mówiąc, zupełnie nie miał ochoty na lody, wziął kubeczek z rąk Elektona, aby nie sprawić mu przykrości.

Dopiero teraz zorientował się, że trafił nie na Prospekt Pokoju. Dokoła wznosiły się wysokie koralowe domy oraz zwykłe budynki, na wprost przed sobą zobaczył bramę, którą tworzyła dzika skała z jaskinią u podnóża. Za skałą widniały dachy oraz kopuły jakichś budowli, wierzchołki drzew, do jaskini zaś bez przerwy wchodzili ludzie w różnym wieku.

– Co to? – spytał Kola, bez przyjemności łykając lody.

– Naprawdę nie wiesz?

Elektron Stiepanowicz zdziwił się tak ogromnie, że zakrztusił się lodami. Trudno, Kola wspiał się na palce i walnął mistrza w plecy.

– Przecież ja z Konotopu – usprawiedliwił się. – Nigdy tu nie byłem.

– Nieprawdopodobne! – wykrzyknął Elektron Stiepanowicz. – Jesteś pierwszym człowiekiem na Ziemi, który zadał takie pytanie.

– No i co z tego? – Kola nie obawiał się Elektron, który ani trochę nie zadzierał nosa z powodu swego wieku czy też doświadczenia.

– Przecież to Kosmozoo.

– Co?

– Ko-smo-zoo, Kosmiczny Ogród Zoologiczny.

Równocześnie nad skałą zabłyśły czerwone litery:

KOSMOZOO

i zgasły.

– Masz ci los! – mruknął Kola i o mało nie upuścił lodów.

Jechał na Prospekt Pokoju, a znalazł się w Kosmicznym Ogródzie Zoologicznym! Gdyby nie przypadek, ruszyłby w podróż powrotną, nie zwiedziwszy go. Szkoda gadać, w czepku się urodził.

– No, to idę – powiedział.

– Dokąd?

– Do Kosmozoo. A co, myśli pan, że darowałbym sobie zwiedzenie Kosmozoo?

– Z pewnością nie darowałbyś – przyznał Elektron. – Miałem już zamiar iść do domu, skoro jednak tak się sprawy mają, pospacerujemy sobie razem. Dla mnie to też ciekawa rzecz popatrzeć sobie na człowieka, który jeszcze nigdy tu nie był.

– Nie chciałbym panu sprawiać kłopotu – powiedział Kola.

– Daj spokój. To będzie podwójne Kosmozoo. Ty będziesz obserwował zwierzęta, a ja ciebie obserwującego zwierzęta.

I razem weszli do jaskini, która stanowiła wejście do Kosmozoo.

Wejście było skonstruowane w taki sposób nieprzypadkowo. Jaskinię tę znaleźli kiedyś w głębokim Kosmosie piloci statku „Stożary”. Jaskinia płynęła wśród gwiazd, a w niej niczym różnokolorowe robaczki świętojańskie dokazywały najmniejsze ze znanych we Wszechświecie ptaszków – długości najwyżej pół centymetra łącznie z ogonkiem, za to zdumiewająco barwne. Nie było wśród nich nawet pary podobnych do siebie. Jaskinię pieczołowicie odholowano na Ziemię i umieszczono w Kosmozoo. Ponieważ ptaszki mogą żyć wyłącznie w próżni, wewnątrz przeprowadzono przezroczysty tunel dla zwiedzających.

W tunelu panował półmrok i Kola nie od razu mógł się zorientować, co się dzieje za szklanymi ścianami: tysiące różnokolorowych iskerek roily się tworząc dziwaczne wzory, rozpryskiwały się jak przy wybuchu, ustawiały się w szeregi, pierścienie, nawet trójki. Ptaszki czuły się na Ziemi świetnie i rozmnażały bardzo szybko. Rozesłano je po wszystkich ogrodach zoologicznych świata, a niektórzy miłośnicy trzymali je w domu w kolbach próżniowych.

Nacieszywszy się widokiem ptaszków, Kola oraz jego towarzysz poszli dalej, w kierunku szerokiego placu. Po lewej stronie znajdował się duży staw. Pływały po nim ptaki mogące żyć na otwartym powietrzu. Niektórym z nich podcięto lotki, żeby nie mogły odfrunąć.

– Zwróć uwagę – powiedział Elektron Stiepanowicz – na te szare ptaki, tam przy brzegu.

– Co to, kaczki?

– Gapa z ciebie! Przyjrzyj się dokładnie.

Dziób na właściwym miejscu, pióra i ogon również – nic szczególnego. Nagle jeden ptak obrócił się w wodzie na grzbiet i okazało się, że pod wodą miał identyczny tułów z głową i skrzydłami.

– A to co takiego? – zdumiał się Kola.

– Bardzo mądry pomysł ewolucji – odparł Elektron. – Jedna połowa odpoczywa, oddycha powietrzem, tymczasem zaś druga szuka w wodzie robaków i narybku. Potem zamieniają się rolami. Ich hodowla jest ogromnie korzystna. Mięsa mają dwa razy więcej niż zwykle kaczki i jaj znoszą dwa razy więcej.

Na środku stawu wynurzyło się jakieś ogromne czarne i błyszczące cielsko. Potem nad tym cielskiem wyciągnęła się wężowa szyja długości co najmniej dziesięciu metrów, zakończona malutką główką. Był to najprawdziwszy kopalny dinozaur.

– Przecież one od dawien dawna wymarły! – wykrzyknął Kola.

– W zasadzie tak. Kilka lat temu jednak uczeni znaleźli w wiecznej marzłoci jajo, z którego udało im się wyhodować brontozauruska. Wyrósł i jest całkowicie oswojony.

– A czemu trzymacie go w Kosmozoo, skoro pochodzi z Ziemi?

– W normalnym Zoo też trudno go trzymać, przecież dinozaury nie zamieszkują Ziemi już od wielu milionów lat.

– Musi się tu okropnie u was nudzić – powiedział Kola. – Jedynactwo doskonałe.

– Czy ja wiem... Bronti ma przyjaciół. Spójrz tylko.

Kola spostrzegł po drugiej stronie stawu dziewczynkę w czerwonym kombinezonie. Miała jasne, krótko ostrzyżone włosy i chyba nie była dużo starsza od Koli. Podniosła rękę i coś zawołała.

– Jakim cudem ją tam wpuścili? – zdziwił się.

– To Alicja, stara przyjaciółka Brontiego. Poznali się, kiedy Bronti był jeszcze malutki.

– Mimo wszystko to niebezpieczne – powiedział Kola patrząc, jak brontozaur wyciąga swą niewiarygodnie długą szyję do dziewczynki, ona zaś czymś go karmi. – Może ją niechcący połknąć.

– Nie połknie – uspokoił go Elektron Stiepanowicz. – Mówiłem ci, że jest oswojony.

Kola z zapartym tchem obserwował, jak brontozaur powoli podpłynął do samego brzegu i złożył głowę u stóp dziewczynki, która przykucnąwszy, zaczęła drapać go po głowie, tam gdzie zwykle u zwierząt powinny znajdować się uszy. Czy brontozaurowi mają uszy? Kola nie wiedział, z daleka zaś nie było widać.

– Chodźmy, chodźmy dalej – pociągnął go Elektron. – Jeśli chcesz, poznam cię z Alicją.

„Alicja... Alicja” – powtarzał w myśli Kola. Imię było znajome. Być może na tę właśnie Alicję czekały dzieci na Bulwarze Gogola.

– Czy ona latała w Kosmos? – zapytał.

– Och, i to nieraz. Jest już dość znanym kosmobiologiem.

– Co też pan opowiada! – nie wytrzymał Kola. – Przecież to jeszcze dziecko.

– Sam jesteś dzieckiem! Czyż to nie wszystko jedno, ile ktoś ma lat, skoro się zna na rzeczy?!

Kiedys Kola podpisałby się obiema rękami pod tym mądrym stwierdzeniem. Nieraz usiłował dowieść swym rodzicom oraz nauczycielom, że wiek nie gra roli i dorośli nie mają prawa obnosić się ze swoją siwizną. Oni jednak w najlepszym razie pokpiwali z niego, zaś w najgorszym zaczynali się oburzać i uważać go za aroganta. Teraz poczuł w sobie ducha przekory. Tak to już z nim bywało.

– Jeszcze za wcześnie na to, by zajmowała się biologią – mruknął. – Podrośnie i może zechce na przykład zostać strażakiem. Albo bawić się lalkami.

– Więc nie chcesz jej poznać?

– Ani myślę.

– Jak uważasz – rzekł Elektron. – Może chcesz zobaczyć bajdura?

– A cóż to za jakiś bajdur?

– Przywiozła go Alicja. Zapamiętuje wszystko, o czym się przy nim mówi. Ma wprost wyjątkową pamięć. Zna osiemnaście kosmicznych języków.

Kola wzruszył ramionami. Nie chciał okazać, że go to interesuje, tym bardziej że bajdura przywiozła Alicja. No i cóż takiego? Gdyby Kola miał szczęście urodzić się sto lat później, też przywoziłby bajdury z Kosmosu. Wszystko jeszcze przed nim. To on zbuduje te statki, na których polecą Alicja. To on, gdy dorośnie, pierwszy dotknie stopą powierzchni dalekiej planety. Gdyby miał trochę wolnego czasu, choćby ze dwa dni, nie żałowałby go na odnalezienie samego siebie. Przecież niewykluczone, że jeszcze żyje, skoro jego rówieśnik Paweł cieszy się tak dobrym zdrowiem.

– Nad czym się zamyśliłeś? – spytał Elektron.

– Nad niczym – odparł Kola. – No, gdzie ten pański bajdur?

Bajdur siedział pod olbrzymim szklanym kloszem. Drzwiczki były szeroko otwarte, aby mógł wychodzić na zewnątrz.

Przypominał dużą białą papugę. Na głowie miał koronę i dwa dzioby w miejscu uszu, zaś zamiast dzioba – jedno ucho.

Przed bajdurem stali tłumnie zwiedzający i rozmawiali z nim.

– Opowiedz coś o Trzech Kapitanach – poprosiła babcia z małym wnuczkiem, który trzymając ją za rękę ssał długachny cukierek.

– Bądź popularnym, ale nigdy gminnym – odpowiedział jej bajdur –

Przyjaciół, których doświadczysz, a których

Wybór okaże się być ciebie godnym,

Przykuj do siebie żelaznymi klamry;

Ale nie plugaw sobie rak uściskiem

*Dłoni pierwszego lepszego socjusza.**

[Przekład J. Paszkowski; W. Szekspir, 5 dramatów, PIW 1955]

Szekspir, „Hamlet”. Słowa te wypowiedział Poloniusz ku przestrodze swemu synowi Laertesowi. Jak się pani podoba takie podejście do rzeczy, łaskawa pani? Ostatnio dużo o tym myślałem.

– Nie, najwyraźniej nie jest dziś w nastroju – powiedziała babcia. – Chodź, Wanieczka, przejedziemy się na sklisie.

– Nie chcę na sklisie – rozryczał się nagle dzieciak, wypluwając cukierek na ziemię. – Chcę modliszkę marsjańską!

– Nie róbcie tyle hałasu – przemówił drugi dziób bajdura. – Mogą nas usłyszeć piraci.

A pierwszy dziób odezwał się zmienionym głosem:

– Khrr, ppszz, brsz, prszszwrzh.

Gdzie Kola słyszał ten głos? Przecież było to całkiem niedawno.

Drugi dziób wybuchnął śmiechem.

Jasne, na marsjańskim statku pocztowym. Tak rozmawiali ze sobą pasażerowie na gape.

– Co to? – spytał Kola Elektron. – Kogo on naśladuje?

– Piratów kosmicznych – wtrąciła się babcia ciągnąc za sobą ryczącego malucha. – Często mu się przysłuchuję.

– Nie – zaprzeczył Elektron – to krzyk sowy kleriańskiej. Pracuję tutaj i też często go słucham.

Kola miał swoje zdanie na ten temat, nie chciał jednak z nikim się nim dzielić.

Bajdur zapadł w drzemkę. Elektron poprowadził Kole dalej.

– Może by tak porcję lodów, co? – spytał go, spostrzegłszy słupki-automaty. Jak widać lody były wielką słabością tego skądinąd poważnego człowieka.

– Proszę, jeśli ma pan ochotę – odrzekł Kola. – Ja jestem najedzony.

„Z pewnością co najmniej przez dwa lata nie tknę lodów” – pomyślał.

– No to siądź na ławeczce, poczekaj na mnie.

Kola usiadł na miękkiej kanapce rozglądając się wokół, zaś Elektron zaczął odprawiać czarymary nad słupkiem, wybierając jakieś egzotyczne lody. Naprzeciw rosła palma, na której huśtał się błękitny niedźwiedź o sześciu łapach. W oddali widać było akwarium, w którym pływały goniąc się nawzajem pomarańczowe węże. Z krzaków za ławeczką dobiegł szelest. Kola obejrzał się. Nikogo.

Wrócił Elektron i usiadł obok niego.

– Niezwykle rzadki rodzaj lodów – powiedział. – Z pączków brzozowych. Powąchaj chociaż.

Kola dla świętego spokoju pociągnął nosem. Lody rzeczywiście pachniały pączkami brzozowymi. Bynajmniej nie pobudziło to jego apetytu. Odsunął się, by umożliwić Elektronowi delektowanie się smakołykiem. Nagle z tyłu znów rozległ się jakiś szmer, nad jego ramieniem wyciągnęła się zielona kosmata ręka i schwycił kubeczek z lodami usiłując go wyrwać.

Tym razem nerwy Koli nie wytrzymały. Krzyknął i odskoczył ze trzy metry od ławki. Ręka należała do zachłannej rośliny. Jak się okazało, ożył jeden z krzewów za ławeczką.

Elektron spokojnie odsunął zieloną gałązkę, a kiedy w ślad za nią wysunęła się druga, powiedział srogo:

– Przestań łobuzować! Przeziębisz się. Bo poobrywam wszystkie gałązki! A ty, Kola, wracaj, nie masz się czego obawiać. Przecież to tylko krzewy. Są całkiem nieszkodliwe, po prostu straszne łakomczuchy. Rozbałamucono je tutaj w Ogrodzie Zoologicznym. Alicja z Połoskowem przywieźli je z Kosmosu. Na swojej planecie w czasie suszy wędrują od źródła do źródła.

Kola wrócił na ławeczkę z pewną obawą. Oczywiście, mężczyzna nie powinien okazywać strachu nawet przed krzakami, które chcą ukraść lody. Mimo to...

Elektron podniósł z ławeczki opadły listek i powiedział:

– Weź sobie na pamiątkę. Będziesz miał co w domu wspominać.

Kola starając się nie patrzeć na krzewy, które w dalszym ciągu nie wzbudzały w nim zaufania, wsunął liść do kieszeni.

– Elektronie Stiepanowiczu! – odezwał się wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna o lekko rzedniejących jasnych włosach. – Byłem pewien, że pan już dawno w domu.

– Wychodziłem właśnie – wyjaśnił Elektron – ale wróciłem, by oprowadzić tego młodego człowieka, który do tej pory nie był jeszcze w naszym Kosmozoo.

– Mam nadzieję, że pański młody przyjaciel nie pogniewa się, jeśli pójdzie pan ze mną do punktu żywieniowego i rzuci okiem, dlaczego system skierował do smoczego miasteczka cały zapas siemienia konopnego. A może smoki zaczęły nagie przedkładać konopie nad szlachetną wołowinę?

– Niemożliwe! – wykrzyknął Elektron stając na swych pniach brzozowych. – Jeszcze wczoraj sprawdzałem cały system. Konopie szły do małej ptaszarni, wołowina – do smoków. Zaczekaj na mnie chwilę, Kola, pospaceruj sobie.

– Głupio się czasem układa – powiedział mężczyzna. – Dopiero co zainstalowali nowy system, ustawili, szykowałem się odlecieć dziś z lekkim sercem na konferencję...

– No widzi pan, profesorze Sielezniew – przerwał mu Elektron. – Zawsze miałem krytyczny stosunek do nowoczesnych wynalazków. Gdyby roznoszono pokarm jak niegdyś, w dawnych czasach, przy pomocy robotów, nie byłoby żadnych cudów. A smoki jedzą siemię konopne?

– Przeglądziły się, więc jedzą.

Kola chciał się wtrącić, przypomnieć Elektronowi, że w dawnych czasach zwierzęta karmione były nie przez roboty, lecz przez żywych ludzi z obsługi Zoo, ten jednak ciągnął dalej:

– Pospaceruj, Kola, na razie sam, a my z dyrektorem sprawdzimy system. Może to nie awaria, może po prostu system sam zdecydował, że oszczędniej będzie zrobić ze smoków jaroszy.

To powiedziawszy, oddalił się wraz z profesorem Sielezniewem. Kolę doleciały jeszcze słowa dyrektora Zoo:

– Nie widział pan przypadkiem Alicji? Nie zdążyłem się nawet z nią pożegnać.

– Pańska córka była przed chwilą nad stawem – odrzekł mistrz nowej techniki. – Rozmawiała z Brontim...

„Ciekawe, ile planet zaliczył ten profesor? – pomyślał Kola. – Pewnie całe setki albo i więcej. Szczęśliwy facet! Niewykluczone, że zamiast zwykłym kosmonautą zostanę zoologiem kosmicznym. Tacy też będą potrzebni”.

Jak tylko profesor z mistrzem zniknęli z pola widzenia, Kola podniósł się z ławki. Nie miał wcale ochoty na tak bliskie sąsiedztwo żarłocznych krzewów.

Stał jakiś czas przed akwariem przyglądając się stadku kosmicznych okoni, różniących się od zwykłych jedynie tym, że oczy miały umieszczone na ogonie i dlatego pływając machały głową. Potem wyszedł na zieloną polanę, na której pasły się krowy. Obok jednej i stała babcia z maluchem. Posadziła go na grzbiecie krowy, co Koli wydawało się dość dziwną formą zabawy.

Wtem krowa rozpostarła błoniaste skrzydła i niezdarnie pofrunęła tuż nad ziemią. Inne krowy podniosły na chwilę łby obserwując ją, po czym odwróciły się obojętnie. Przed polaną, na tabliczce umieszczony był napis: „Sklisy. Parzystokopytne torbacze z planety Szeszyneru.”

Babcia biegła obok krowy, przytrzymując małego, który wreszcie zaczął się śmiać.

Kola zatrzymał się przed placykiem, po którym spacerowały metrowe owady podobne do modliszek. Owady spotykały się czasem, podnosiły małe przednie łapki i długo obmacywały się nawzajem.

Obok przeszła Alicja w czerwonym kombinezonie. Przez ramię miała przewieszoną czarną torbę. Jedna z modliszek, spostrzegłszy ją, uniosła się na tylnych cienkich łapkach, przednie wznosząc w górę jakby do modlitwy. Alicja nie zatrzymując się pomachała jej ręką. Kola podążył za nią.

PILNUJ MYELOFONU

Gdyby ktokolwiek zarzucił Koli, że zwyczajnie zazdrości Alicji, odrzuciłby ten zarzut z oburzeniem. I czegoż tu zazdrościć? Po prostu spóźniła się z przyjściem na świat. A on, na przykład, urodził się w porę i jeszcze udało mu się odwiedzić przyszłość. Był podobny do zwiadowcy na dalekiej wyprawie. Poleciał naprzód, przyjrzał się, jak tam sprawy wyglądają, potem zaś wrócił i razem ze wszystkimi pójdzie dalej piechotą. Tak to bywa. A jednak, mimo wszystko, odrobinę Alicji zazdrościł. Tyle ciekawych rzeczy stało się jej udziałem. Przygody też miewała nie byle jakie. A w ogóle, gdy przyjrzał jej się bliżej, zaczęła mu się podobać. Jako osobowość. Poszedł więc za nią. Ciekawe, co też będzie robić? Może ma spotkanie z jeszcze jednym brontozaurem?

Okazało się jednak, iż Alicja kieruje się w stronę budynku z napisem „Ośrodek Obliczeniowy”. Nim zdążyła wejść do środka, wyszedł na jej spotkanie dyrektor Ogrodu Zoologicznego, profesor Sielezniew. Ojca i córkę dzieliła od Koli odległość mniej więcej dziesięciu kroków, słyszał więc ich każde słowo. Nie chcąc, by przypadkiem pomyśleli, że ich podsłuchuje, Kola odwrócił się do klatki, po której biegał w kółko ponury rogaty wilk pokryty żelazną łuską.

– Ledwie cię znalazłam, tatku – powiedziała Alicja. – Wszystko w porządku. Wyjeżdżasz?

– Tak. Wracam za dwa tygodnie.

– Jeśli zobaczysz się z mamą, powiedz jej, że przeczytałam wszystkie książki, które mi zostawiła.

Jak przyjedzie, to podyskutujemy.

– Czyżby ci się nie podobały?

– Różnie. Szkoda czasu na beletrystykę.

– Wiesz, że nie masz tu we mnie sprzymierzeńca – sprzeciwił się profesor Sielezniew. –

Obawiam się, byś nie wyrosła na oschłego i nudnego człowieka. O ile pamiętam, jeszcze dwa lata temu byłaś o wiele weselsza, a twoją ukochaną książką byli „Trzej Muszkieterowie”.

– Jak również „Zoologia kosmiczna”.

– Dobrze już, dobrze. Nie zapominaj o śniadaniu.

– Ja pewnie bym zapomniała, ale robot Griszka nigdy na to nie pozwoli. A jak mi przyjdzie chęć na dobry obiad, to pojedę do dziadków. Od nich nikt nie wyjdzie głodny.

– Tak, a przy okazji – brałaś znowu myelofon? Wiesz przecież, że to nie zabawka. Co będzie, jeśli zachoruje któreś ze zwierząt?

– A czy ja się bawię?

– Alicjo, zrozum mnie dobrze. Na całej Ziemi jest tylko dwadzieścia myelofonów. Dysponują nimi wyłącznie największe instytuty i ośrodki medyczne. Kryształ w środku myelofonu jest niezwykle rzadkością, w ostatnich latach osiem ekspedycji przetrząsnęło asteroid Włastę i znalazło zaledwie dwadzieścia sześć...

– Tatku, postanowiłeś wygłosić mi wykład? – przerwała mu Alicja. – Wiem o tym doskonale.

I obiecuję ci: jeszcze dziś, jak tylko zakończę eksperyment z pustorurem, zwrócę aparat do kliniki. Wiesz przecież, że jak dam słowo, to murowane. A jeśli mimo wszystko one myślą choć trochę? Właśnie kiedy kwitną?

– Może masz rację. No dobrze, jadę. I nie zapominaj o dziadkach. Smutno im bez ciebie.

Alicja i jej ojciec ucałowali się i rozeszli.

Kola chciał pójść za Alicją, gdy wtem ujrzał dwóch mężczyzn siedzących w cieniu na miękkiej ławeczce. Jeden zdawał się drzemać, opuściwszy na oczy sombrero z szerokim rondem. Drugi, dwakroć od niego niższy i co najmniej trzykrotnie chudszy, okutany po czubek nosa w błękitną pelerynę, odwrócił się, poczuwszy na sobie wzrok chłopca.

Kola mógłby przysiąc, że są to ci sami osobnicy, którzy wyleźli z wazy na statku marsjańskim. Nie miał, co prawda, stuprocentowej pewności, ponieważ byli zamaskowani, a na statku panował mrok, jeśli to jednak oni – to co, u licha, tu porabiają?

Mały trącił dużego w bok i coś mu szepnął. Wstali natychmiast i oddalili się kłusem. W tę samą stronę, w którą poszła Alicja.

Kola był pewny, że ci dwaj również słyszeli rozmowę pomiędzy Alicją i jej ojcem, ale nie zaniepokoił go specjalnie ten fakt. Cóż z tego, że mu nie przypadli do gustu? Być może grubas rzeczywiście ma na Plutonie matkę oczekującą go w dniu swych urodzin, a tu synowi nie udało się kupić biletu? Być może bajdur rzeczywiście naśladował krzyk sowy kleriańskiej, a nie głosy piratów. Tak rozmyślając, Kola udał się śladem mężczyzn, ponieważ mu się nie podobali. Nie podobali i basta.

Daleko przed nim zamajaczył czerwony kombinezon Alicji. Dziewczynka weszła do wysokiego koralowego budynku. Po chwili znikli w nim również obaj gapowicze, jeden w sombrero, drugi w pelerynie.

Kola nie zastanawiał się dłużej. Ruszył pędem i wbiegł do budynku.

Było to terrarium. Wysoki, wąski korytarz ciągnął się pomiędzy szklanymi ścianami, za którymi widać było najrozmaitsze gady. Kola jednak nie zwracał na nie uwagi. Nie cofnął się nawet, gdy któraś ze żmij śmignęła w kierunku szyby, chcąc go ukąsić. Uderzyła w nią rogatym lśniącym pyskiem, błysnęła jadowymi zębami, aż mętny jad spłynął po szkle.

W terrarium było pusto. Nagle Kola znieruchomiał. W pewnej odległości mignęły mu postacie grubasa i chudzielca. Kola skrył się za występem w ścianie. Grubas obejrzał się, nie zauważył go jednak i obaj zniknęli za zakrętem.

Dalej korytarz przechodził w ogromną salę.

Kola podbiegł tam na palcach i zajrzał do środka, przyciskając się do ściany.

Sala była okrągła, zwieńczona kopułą. Pośrodku wznosił się pagórek o łagodnych stokach. Coś, co na nim leżało, przypominało do złudzenia kawał grubościennej betonowej rury blisko trzymetrowej średnicy. Z takich właśnie rur, może tylko nieco cieńszych, układa się gazociągi.

Na zewnątrz pokrywał rurę zielony mech, z którego wyrastały drobne kwiatuszki podobne do niezapominajek. Ścianki wewnętrzne były gładkie i lśniące.

Alicja stała wewnątrz rury, z otwartej czarnej torby ciągnął się aż do jej ucha cienki przewód.

– Słuchaj, pustorurze – mówiła, a głos jej odbijał się echem – mimo wszystko podejrzewam, że jesteś stworzeniem myślącym. Nie wiem tylko, na jakiej częstotliwości mam cię szukać. Noo, podpowiedz mi!

Schyliła się nad torbę coś tam nastawiając.

Kola rozglądał się, nie pojmując, gdzie mogła się podziąć dziwaczna para. Z początku nie dostrzegł nic, po chwili jednak grubasa wydała szeroka kresa kapelusza. Okazało się, że przycupnęli za pagórkiem.

Kola nie wątpił już, że Alicji grozi niebezpieczeństwo. Zobaczył, jak kapelusz unosi się z wolna, jak drugi facet okrąża na palcach pagórek i jego okutana peleryną głowa pojawia się na drugim końcu pustorura.

Nie wytrzymał dłużej i krzyknął:

– Alicjo, obejrzyj się!

Głowa w pelerynie zniknęła. Grubas, zgubiwszy kapelusz, rzucił się do tylnego wyjścia z sali.

– Co się stało? – spytała Alicja.

Obejrzała się, ale nie było już nikogo. Wskoczyła lekko z rury. Na podłodze leżało porzucone meksykańskie sombrero.

Kola pędził już korytarzem do wyjścia. Najważniejsze, że ich spłoszył. Nie chciał, by Alicja spostrzegła go i zaczęła wypytywać, dlaczego krzyczał. Po prostu tak sobie. Bo mu przyszła ochota.

Myślał, że Alicja pobiegnie za nim, dlatego w kilku susach przeskoczył placyk przed terrarium i puścił się wąską alejką.

– Dokąd to?

Usiłował wyminąć mężczyznę, który zastąpił mu drogę, ten jednak przytrzymał go mocno. Kola zobaczył najpierw dwa pnie brzoźowe, a podniósłszy głowę, poznał Elektrona.

– Szukam cię po całym Kosmozoo, a ty?

– Co ja? Również pana szukam.

– Może się czegoś przestraszyłeś?

– Przestraszyłem się? Ja? Po prostu czas już na mnie.

– A nie strzelimy sobie po jeszcze jednej porcji lodów?

– Nie, dziękuję.

– Daleko masz do domu?

– Przeszło godzinę drogi.

– No, siądźmy na chwilę, odpoczniesz trochę. Aż się zmieniłeś na twarzy.

Kola nie oponował. Przeciwnie, uczynił to z ochotą. Spytał tylko:

– Która godzina?

– Szósta.

– Zwariować można, jak ten czas leci!

Usiedli obok siebie. Kola postanowił dowiedzieć się czegoś od Elektrona.

– Jak tam pański system żywienia? – spytał. – Przestał już karmić smoki konopiami?

Wpatrywał się nieustannie w prześwit pomiędzy kępami bambusa, żeby nie przegapić tego, co się dzieje na placyku przed terrarium. Nie było tam jednak nikogo, jeśli nie liczyć kilku przechodniów. Nie widać było ani Alicji, ani też grubasa i chudzielca.

– Najgłupszy w świecie błąd – odparł Elektron. – Nie popełniłby go żaden prymitywny robot, nie mówiąc już o człowieku. Dla maszyny mięso, konopie to wyłącznie zestaw znaków. Nie, trzeba bezwzględnie ograniczyć tę samowolę...

– A co to za urządzenie – myelofon? – przerwał mu Kola. – Też nowość?

– Myelofon? Nie, wynaleziono go kilka lat temu. Ale myelofony prawdopodobnie szybko się skończą.

– Dlaczego? Czy tak normalnie bywa?

– To wyjątkowy przypadek. Przecież sam aparat nie stanowi ostatniego słowa techniki. Zwyczajny wzmacniacz elektroniczny z odbiornikiem. Najważniejszym jego elementem jest kryształ. Dotychczas takie kryształy odkryto wyłącznie na Asteroidzie Własta. Ten niewielki asteroid przybył nie wiadomo skąd, z innej Galaktyki, milion lat temu, trafił na orbitę Słońca i do tej pory krąży na niej. Na razie znaleziono około dwudziestu takich kryształów, być może trochę więcej. Niektórzy uważają, że są one wytworem mieszkańców planety, od której niegdyś oderwała się Własta, inni zaś podejrzewają, że są to istoty żywe, tyle że ich procesy życiowe przebiegają tak powoli, iż trzeba dziesiątków tysięcy lat, by móc je zaobserwować. Głównym elementem myelofonu jest taki właśnie kryształ. Nikt nie konstruuje więcej myelofonów, niż jest na świecie kryształów. Jasne?

– Nie, niejasne – odparł Kola. – A do czego służy myelofon?

– Dziwne, nie słyszałeś nic o myelofonie?

– Noo, przegapiłem.

Elektron Stiepanowicz spojrział na Kolę ze smutkiem i westchnąwszy, ciągnął dalej swoje wyjaśnienia:

– Gdy przywieziono na Ziemię pierwsze kryształy i zaczęto je badać, jeden z uczonych zauważył, że coś się zmienia w ich strukturze, jeśli znajdują się w bezpośredniej bliskości człowieka. Uczni długo głowili się nad tym problemem, aż wreszcie odkryli, iż kryształy przechwytyują fale emitowane przez mózg. Wówczas wpadli na pomysł połączenia kryształów ze wzmacniaczami i pewnego pięknego dnia usłyszeli myśli. Wyobrażasz sobie to zamieszanie w świecie nauki?!

– Aha.

– I nie słyszałeś o tym?

– Pewnie byłem wtedy zupełnym maluchem. Czy to oznacza, że przy pomocy myelofonu można czytać myśli mi odległość?

– Oczywiście. A niby co usiłuję ci wyjaśnić! Zdajesz sobie chyba sprawę, ile osób zapragnęło mieć myelofon?

– Domyślam się. Natychmiast zbiegli się wszyscy magicy.

– Kto? Magicy? A cóż oni mają z tym wspólnego?

– No, ci, co czytają w myślach.

Elektron popatrzył na Kolę jak na wariata, nawet jego obwisłe wąsy podniosły się o centymetr. Zapanował jednak nad sobą i rzekł:

– Skąd tam magicy. Przede wszystkim lekarze. Relacja chorego lub diagnoza postawiona przez aparaturę diagnostyczną – to jedno, ale przy niektórych chorobach, zwłaszcza nerwowych, bardzo ważna jest wiedza o tym, co człowiek faktycznie myśli. Albo polikliniki dziecięce. Dopóki dziecko jeszcze nie umie mówić, nie potrafi wskazać bolącego miejsca.

– A dlaczego taki aparat przekazano do Zoo?

– Nie do Zoo, lecz do Kosmozoo. Przecież u nas są zwierzęta kosmiczne, niektóre absolutnie unikalne, i nie zawsze ludzie są w stanie należycie zrozumieć ich potrzeby – czym je karmić, jaką lubią temperaturę i tak dalej. Dlatego przekazano nam jeden z istniejących na Ziemi myelofonów. Strzeżemy go jak źrenicy oka.

– Akurat, strzeżecie! – przerwał Kola. – Sam widziałem, jak Alicja niosła go do terrarium. O mało go nie straciła.

Kola naprawdę nie był donosicielem z natury. Po prostu był zły na Alicję, że naraża tak cenny

aparatu. Tylko dwadzieścia na całej Ziemi, w szpitalach znikoma ilość, a ona biega po Kosmozoo i podsłuchuje myśli jakiejś tam rury.

– Jeśli go miała ze sobą – powiedział spokojnie Elektron – to znaczy, że pozwolił na to profesor Sielezniew.

– No pewnie – syknął z przekąsem Kola – rodzony tatuś!

– Przyglądam ci się i chwilami po prostu nie mogę się nadziwić. Zdawałoby się, że, wyjąwszy ubranie, nic w tobie dziwnego nie ma. Chłopak jak każdy inny. A ty czasem chlapniesz coś takiego, jakbyś trafił tu ze średniowiecza.

– Niby co takiego powiedziałem?

– Powiedziałeś, że profesor Sielezniew mógłby zaryzykować utratę cennego aparatu tylko dlatego; by sprawić przyjemność swojej głupiutkiej córeczce. A przynajmniej tak to zabrzmiało. Po pierwsze, Alicja jest wystarczająco odpowiedzialna i jeśli potrzebny jest jej myelofon, to po to, by...

– Wsłuchiwać się w myśli jakiegoś pustorura – wtrącił Kola, nie dając za wygraną.

– Właśnie. Ja również przypuszczam, że pustorur jest istotą myślącą. Tym bardziej że teraz znajduje się w stadium kwitnienia i mogły powstać u niego nowe emocje. Cieszyłbym się, gdyby twoja głowa pracowała w jednej piątej tak, jak głowa Alicji.

– Dziękuję za komplement.

Samo przez się zrozumiałe, iż jego stosunek do Alicji stał się jeszcze mniej przychylny niż przedtem. Pomyślał nawet z mściwością: a niech te półgłówki buchną jej myelofon. Może się wtedy wypchać ze swoimi zdolnościami.

– No, dobra – powiedział Elektron Stiepanowicz. – Na mnie czas. Miło mi było cię poznać. Może się jeszcze spotkamy.

Z jego tonu raczej wynikało, iż zaczyna żałować tej znajomości „A niech tam” – pomyślał Kola.

– Ty jeszcze nie idziesz? – spytał Elektron.

– Nie, posiedzę chwilkę.

– Gdybyś czegoś potrzebował, zawsze mnie tu znajdziesz.

– Dziękuję. Będę o tym pamiętał.

Kola siedział dalej na miękkiej jak kanapa ławeczce. Słońce chowało się za drzewami, po niebie sunęły obłoki, które bliski już zachód słońca zabarwiał na czerwono. „Trzeba dać Elektronowi trochę czasu na dotarcie do domu. Nie chcę go więcej spotkać. Tym bardziej, że zaczął coś podejrzewać, przy kolejnym spotkaniu mógłby się nawet domyślić – i wówczas nie wiadomo kiedy będę mógł wrócić do domu.” A bardzo go już tam ciągnęło. Przypomniawszy sobie, że dziś będzie w telewizji „Karczma »Trzynaście krzesel«” i pomyślał, że dobrze byłoby zdążyć na początek. Przydałaby się tylko jeszcze jakaś pamiątka, dotychczas zdobył bardzo niewiele. Nic jednak w tym guście w pobliżu nie było. Nie sprzedawano nawet widokówek. Szkoda, że bodaj gazety sobie rano nie wziął. Dopiero byłoby co pokazać kolegom. Ale nie przewidywał wówczas, że dzień skończy się tak szybko.

Wyjął z kieszeni scyzoryk – całkiem niezły, dostał go od Firny Korolowa w zamian za dwie serie znaczków Burundi – i postanowił zostawić po sobie jakiś ślad. Siedzenie ławki było miękkie, nie da się na nim nic wyciąć, ale oparcie wyglądało na drewniane. Aleja świeciła pustkami, zwiedzający już się rozeszli. Szeroką ścieżką za kępami bambusa przejechał wózek wyładowany rondlami, garnkami i termosami. Pewnie rozpoczęło się już karmienie zwierząt. Żeby tylko w ośrodku żywieniowym znowu nie pomylili, co dla kogo. Przydałby się teraz talerz zupy. Tak w ogóle, to nie był specjalnym amatorem zupy, bo któż ją lubi? Wsuwa się wyłącznie z powodu nalegań rodziców.

Ale po dniu spędzonym na lodach, obarżankach i lemoniadzie, zupa wydaje się nagle niezwykle atrakcyjna.

Kola, usiadłszy bokiem, zaczął wycinać na oparciu ławki swoją wizytówkę. Już nieraz w życiu oberwał za tę namiętność... Pewnego razu, gdy wyrzwał swoje inicjały na ławce, nawet ojca wzywano do szkoły. Ale jak tu odejść z przyszłości nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Za sto lat bezwzględnie musi tu zajrzeć, rzucić okiem na własną twórczość.

Oparcie ławki okazało się miękkie, litery dawały się wycinać lekko. Z pewnością to nie drewno, tylko jakiś plastik imitujący je do złudzenia.

Nikt mu nie przeszkodził. Raz przeszła w pobliżu jakaś rodzina, Kola przykrył szybko nożyk dłonią i udawał, że przygląda się krzewom.

Wreszcie wyciął na oparciu dużymi drukowanymi literami:

KOLA, KLASA VI B, SZKOŁA NR 26

Wszystko jasne, a nikt się nie domyśli. Będą szukali w ich szkole numer dwadzieścia sześć. Elektron na pewno poszedł już do domu. Na nas też pora. Przed nami jeszcze flipanie przez pół miasta, a o ósmej zaczyna się „Karczma »Trzynaście krzesel«”.

Kola schował scyzoryk do kieszeni i ruszył do wyjścia. Minął polanę, na której drzemały skłisy – zwyczajne krowy – i skręcił w główną aleję. Szedł dość szybko, ale ostrożnie, założywszy sobie, że gdyby w pobliżu pojawił się Elektron, da nura w krzaki. Byle tylko nie w te, które tak uwielbiają lody. Zbliżył się ponownie do stawu i zobaczył brontozaura Brontiego, który wysunąwszy się do połowy z wody, stał oparty przednimi łapami o brzeg. A oto i Alicja. Powiesiła czarną torbę na ogrodzeniu, przeskoczyła przez nie i znalazła się na brzegu. Bronti, niczym oswojony słoń, ugiął przednie łapy, aby ułatwić Alicji wdrapanie się na grzbiet. Kola aż osłupiał ze zdumienia. To ci numer!

Alicja siedziała wierzchem na brontozaurze, ten zaś ostrożnie, by nie zachlapać swej przyjaciółki, zsunął się do wody i majestatycznie popłynął po stawie, a kaczki-przewrotki, różowe gęsi, ptaszki iglaste jak jeże oraz inne dziwaczne stworzenia pierzchały mu z drogi niczym łodzie przed statkiem pasażerskim.

Bronti wyginając szyję na podobieństwo łabędzia wypłynął unosząc swą przyjaciółkę na środek stawu. Widowisko było wspaniałe, ostatni zwiedzający przystanęli, by nacieszyć nim oczy. Nawet Kola tak się zapatrzył, że biegnących ścieżką grubasa i chudzielca spostrzegł dopiero w momencie gdy znajdowali się już przy samym wyjściu. Grubas przyciskał do piersi czarną torbę. Koli wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, iż jest to torba z myelofonem, tak lekkomyślnie zostawiona przez Alicję na brzegu.

– Och – zawołał – ostrzegałem przecież!

I co sił w nogach pognał za złodziejami. Powinien był krzyczeć, wtedy wszyscy rzuciliby się za nimi w pogoń, ale gdy oprzytomniał, bandyci skryli się już w jaskini z lśniącoymi mikroptaszki.

– Łapaj – krzyknął, ale szybki bieg zaparł mu po prostu dech w piersi i jeśli nawet Alicja usłyszała go i obejrzała się, to z pewnością prawdziwych porywaczy już nie dostrzegła.

Dodać tu trzeba, że Kola biegał znacznie szybciej od piratów, którzy spędzili wiele lat na pijaństwach i hulankach na statkach kosmicznych, nie uprawiali nigdy sportu, a od czarnej roboty mieli innych. Dlatego też wpadł do autobusu numer sześć prawie jednocześnie ze złodziejami. W dodatku miał szczęście, ponieważ akurat przed piratami szły dwie kobiety wiodące ożywioną rozmowę. Zajmowały całe przejście do zasłony, za którą znajdowały się Sokolniki, tak że chudy pirat

biegnący jako pierwszy musiał gwałtownie zahamować, grubas zaś wpadł na niego unosząc w górę torbę z mylofonem, by go przypadkiem nie uszkodzić. Tu właśnie dopadł ich Kola.

Kobiety, nie mając pojęcia, co się dzieje z tyłu, skryły się za zasłoną.

W ślad za nimi zniknął również chudy pirat Krys.

Grubas, odwróciwszy się, poznał Kolę, którego już poprzednio zauważył w terrarium. Wyrwał jakąś broń i ryknął groźnie, nie śmiał jednak posunąć się dalej, tylko rzucił się pędem ku zasłonie.

Bywa, że jedyna prawidłowa decyzja przychodzi na myśl w błysku sekundy, gdy ktoś zastanawia się zbyt długo, prochu z pewnością nie wymyśli. Grubas wciąż trzymał torbę z mylofonem nad głową i już prawie wszedł za ekran, gdy Kola podskoczył i szarpnął ją ku sobie. Tego się grubas zupełnie nie spodziewał, palce zwolniły uchwyt, a on sam znalazł się już po drugiej stroni ekranu, na Sokolnikach, oddalony o dwadzieścia kilometrów od Koli.

Kola, mocno ściskając torbę, popędził z powrotem i wyskoczył z autobusu na plac. Plac był ogromny i pusty. Jak na złość w pobliżu ani żywego ducha. Alicji też nie było. Do licha, nie słyszała czy co? Zapomniał, że gdy rzucił się w pogoń za piratami, Alicja znajdowała się na grzbiecie Brontiego pośrodku stawu. Stamtąd raczej trudno wydostać się w szybkim tempie.

Kola nie ruszał się z miejsca. Zdawał sobie sprawę, że złodziejom wystarczy kilka sekund na zawrócenie i przebycie drogi powrotnej przez autobus. Co robić? Nie miał odwagi biec przez cały plac do Kosmozoo, widział bowiem broń w ręku grubasa – jeśli pobiegnie, piraci spokojniutko go skoszą. A wtedy żegnaj na wieki „Karczmo »Trzynaście Krzesel«”.

Przed nim stały jeszcze dwa autobusy. Na najbliższym znajdował się napis:

Nr 8 „KOSMOZOO – PROSPEKT POKOJU”

Kola bez chwili wahania wskoczył do tego właśnie autobusu, dał susa przez pomieszczenie dla pasażerów i z szybkością strzały znalazł się za zasłoną na przystanku „Prospekt Pokoju”. Tam z kolei zobaczył autotobus:

Nr 3 „PROSPEKT POKOJU – BULWAR GOGOLA”

Niestety przed wejściem zgromadziła się grupka osób. Trzeba było stanąć w kolejce. Ludzie donikąd się nie spieszyli, rozmawiali spokojnie i Kola stracił całą minutę, zanim udało mu się wejść do autobusu. Wchodząc, obejrzał się i spostrzegł chudego bandytę wynurzającego się z sąsiedniego autobusu. Kręcił głową na wszystkie strony wypatrując Koli. A więc nie udało się Koli przechytryć porywaczy, rozdzielili się – jeden wsiadł do ósemki, drugi zaś czatuje nań gdzie indziej.

Zdesperowany Kola prześliznął się między nogami pasażerów i jak wyrzucony z katapulty przeleciał przez ekran.

Nie wiedział, czy złodziej zdążył go zauważyć, tak czy owak postanowił nie tracić czasu. Omal nie zwaliwszy z nóg jakiejś kobiety, puścił się pędem przez plac. Nie oglądał się w strachu, że zobaczy piratów, usłyszy okrzyk albo nawet strzał. Dopiero gdy dobiegł do pierwszych drzew i ukrył się za grubym pnem klonu, zaczerpnął wreszcie tchu.

Z pewnością powinien był jeszcze na Prospekcie Pokoju wezwać na pomoc ludzi wsiadających z nim do autobusu, ale do takich pomysłów trzeba mieć spokojną głowę. Gdy jednak gonią cię przestępcy, masz w niej zupełną pustkę. Zwłaszcza, jeśli są wściekli jak psy spuszczone z łańcucha – odebrano im przecież najcenniejszą zdobycz.

Stojąc za drzewem, Kola zaczął intensywnie myśleć. Nie wróci do Kosmozoo – skoro Alicja miała czelność spuścić z oka mylofon, niech sobie teraz popłacze. Znamy te mądralińskie prymuski – myślał. Nigdy do prymusów nie należał i nie miał zamiaru należeć. Ale nie był złym chłopcem

i wpadł na pomysł, jak zwróci myelofon. Odda go Dżawadowi lub któremukolwiek przyrodnikowi ze szkolnej pracowni. Znają Alicję, więc nie będą mieli z tym kłopotu. A on będzie już dawno w domu.

Przemyślawszy wszystko dokładnie, chciał ruszyć w dalszą drogę, gdy nagle spostrzegł gramolącego się z autobusu grubasa. Różowa łysina lśniła w promieniach zachodzącego słońca jak balonik. Rozglądał się na wszystkie strony. Kola przytulił się do klonu.

Nie, grubas go nie zauważył, podszedł natomiast do kobiety, której Kola o mało nie zbił z nóg wylatując jak z procy z autobusu. Kobieta stała na postoju czekając na wolny flip.

Grubas uprzejmie skłonił się przed nią i o coś zapytał... Kola nie mógł rozróżnić słów, nietrudno jednak było się domyślić, że tamten pyta, czy nie przebiegał tędy przed chwilą jakiś chłopiec. I ku swemu przerażeniu zobaczył, że kobieta skinęła potakująco głową, ruchem ręki niemal wskazując – jak mu się wydało – miejsce, w którym był ukryty. Skurczył się jeszcze bardziej za pniem klonu. Co robić? Widział, że grubas wyjął z kieszeni coś czarnego, z pewnością nadajnik. Wzywa kolesia. Nie wolno tracić ani sekundy.

I popędził jak szalony.

BIEGIEM DO WEHIKUŁU CZASU

Gdyby Kola miał czas na zastanowienie, niewątpliwie nie ruszyłyby się z miejsca. Z przystanku nie był widoczny, ale gdy tylko wybiegł ze swojej kryjówki, grubas zauważył, jak poruszyły się, zafalowały krzaki i nie czekając na swego kompana, rzucił się w pogoń. No cóż, na krótki dystans Kola robił zapijaczonych i zgnusniałych piratów jak chciał. Natomiast przy długim dystansie piraci brali górę, ponieważ byli znacznie silniejsi. Dawno już wymienili swoje stare serca na sztuczne, tym bardziej, że na nic im była serdeczność, a spodziewali się, iż elektroniczne serca na samoladujących się bateriach zapewnią im tysiąc lat życia.

Przebiegłszy aleją około stu metrów, Kola obejrzał się i zobaczył grubasa właśnie wyłazącego z krzaków, zrozumiał, że nie zdoła dobiec do przyrodniczej pracowni szkolnej, zboczył więc ze ścieżki, przeskoczył przez krzewy i w dwóch susach dotarł do jezdni. Postanowił ukryć się w domu, który pomagał budować dzisiejszego ranka. Niestety, budowniczych już nie było. W dodatku wejście czy to celowo, czy też przez niedopatrzenie budowniczych całkiem zarosło koralami, a okna znajdowały się zbyt wysoko, by mógł do nich dosięgnąć. Zresztą strach tam włązić – gdyby piraci zauważyli, znalazłby się w pułapce. Rzucił się więc na skos ku bulwarowi i pomknął w kierunku pracowni. Żeby tylko zdążyć! Przy tylu dzieciach bandyci nie ośmielą się napaść na niego. A jeśli nawet – to Dżawad z Arkaszą uratują myelofon.

Wypadł na placyk, przebiegł obok klombu i polanki, na której próbował rankiem hodowlanych obarżanków, nie było tam jednak nikogo. W basenie spokojnie pływały delfiny, a jeden spostrzegłszy Kolę, podskoczył w wodzie, jak gdyby ciesząc się ze spotkania znajomego.

– Gdzie Dżawad? – krzyknął w biegu Kola.

Delfin, oczywiście, nic nie odpowiedział. Z drzewa zsunął się koczokodan i zaczął biec w podskokach obok Koli.

Ani jednego biologa. Żywej duszy. Wszyscy poszli do domu. Kola usłyszał z daleka sapanie.

– Stój! – doleciał go okrzyk.

Zauważyli go!

Zboczył z dróżki, skoczył ku pracowni. Ale koralowy domek był zamknięty.

Nie ma nawet gdzie ukryć myelofonu, aby był niewidoczny dla bandytów.

Co gorsza, samemu nie ma gdzie się schować.

Pozostawała tylko jedna droga – przez Siwcew Wrażek do Instytutu Czasu.

Kola pędził ulicą, klucząc niczym zajac. Wyczytał gdzieś, że jeśli ktoś biegnie w taki właśnie sposób, trudniej go postrzelić.

Przystanął obok ławki, na której niedawno siedział ze staruszką Pawłem. Czuł, że nie jest już w stanie zrobić ani kroku. W pobliżu przelatował pęcherz, w którym siedział jakiś mężczyzna. Kola w desperacji zamachał rękami, ale pasażer nie zrozumiał, o co mu chodzi. W odpowiedzi również

pomachał ręką i poleciał dalej.

Usłyszał znów złowieszcze sapanie. Grubas skręcał już w Siwcew Wrażek. Kola marzył o chwili wytchnienia, nadaremnie jednak. Trzeba było jeszcze raz się sprężyć i znów biec, biec.

Oto i Instytut Czasu. Tak samo spokojny, ogromny i majestatyczny jak rankiem. I tak samo pusty. Że też Kola musiał zawędrować w przyszłość akurat w dzień świąteczny, kiedy większość Moskwiczian wybrała się na Księżycowy Festiwal lub też na południe, nad morze, opalać się i odpoczywać!

Z rozpędu wleciał na przezroczystą ścianę – wejście do Instytutu. Tym razem jednak ściana nie ustąpiła tak jak rano, kiedy zeń wychodził. Osobom postronnym wstęp był wzbroniony, ponieważ z czasem należy się obchodzić ostrożnie. Tylko specjalnie przeszkoleni ludzie mogli wchodzić do budynku.

Kola tłukł się o przezroczyste drzwi jak mucha o szybę. Tuż obok, niemalże osiągalne, były schody na pierwsze piętro, a tam, za nimi, kabina czasu, drzwi do przeszłości.

Tuż, tuż, słyhać prześladowców. Zwątpiwszy w możliwość przedostania się tą drogą, Kola pobiegł wzdłuż ściany w nadziei, że znajdzie jakieś wyjście zapasowe, które, być może, zapomniano zamknąć.

Tymczasem do Instytutu Czasu dopadli już piraci. Z daleka widzieli, że Kola podbiegł do budynku, byli więc pewni, że jest wewnątrz. Zza węgła dostrzegł, że zatrzymali się przed wejściem. Zaczynało się już ściemniać i miejsce, w którym przycupnął, okrywał głęboki granatowy cień. Owładnęła nim nadzieja, że piraci postukają, połomocą w drzwi i pójda sobie. Albo że spłoszy ich jakiś przypadkowy przechodzień.

Niełatwo jednak było wyprowadzić w pole piratów. Od razu zrozumieli, że przezroczysta przeszkoda nie podda się ich pięściom, tym bardziej nie mógł przez nią przeniknąć uciekający chłopiec, nie posiadający elektronicznego klucza. Zaczęli więc z obu stron okrążać budynek.

Grubas niemal się otarł o przyczajonego w trawie chłopca i gdyby nie to, że sam okropnie głośno sapał, i z pewnością usłyszałby rozpaczliwe bicie serca Koli. Przy następnym rogu spotkał swego kompana i zaczęli się naradzać. Do Koli dobiegały przytłumione głosy:

– Szpppsz-grhhh-wpprr.

– Gpprr-khhż-dppnr.

Nie rozumiał języka piratów, więc tylko z ukrycia obserwował ich poczynania. Piraci zaś doszli do wniosku, że Kola jakimś cudem musiał się dostać do środka.

Grubas wyjął zza pazuchy błyszczący przedmiot, który Kola wziął w autobusie za pistolet. Chudzielec cofnął się o kilka kroków. Grubas wycelował w zamknięte okno na parterze i nagle migotliwy strumień wbił się w szybę. Szkło nie dawało się rozbić pięścią ani kamieniem, nikt jednak w epoce, gdy budowano Instytut Czasu, nie zakładał, iż zostanie przeciwko niemu użyty kosmiczny blaster.

Kola usłyszał, jak szkło zasyczało i roztopione strużki, czerwone w wieczornym półmroku, popłynęły zastygając na koralowej ścianie.

Piraci stali czekając, aż koral ostygnie, żeby się nie poparzyć.

Następnie chudzielec rzucił na parapet okienny błękitną pelerynę, a grubas zaczął przeciskać się przez wąskie okienko. Przez chwilę na zewnątrz sterczały tylko jego nogi w trzewikach z zagiętymi noskami. Słyhać było plaśnięcie tłustego cielska, po czym zapadła cisza.

Chudy spytał:

– Pchrszk?

Ze środka dobiegła odpowiedź:

– Frtt-trttf.

Chudzielec odszedł od okna i pospieszył za róg pilnować wejścia, aby Kola przypadkiem tamtędy nie uciekł.

Najrozsądniej byłoby, gdyby Kola przeleżał w wysokiej trawie, dopóki nie wróci grubas i obaj bandyci nie pójdą szukać szczęścia gdzie indziej. Ale opętała go jedna jedyna myśl – jak najprędzej dostać się do kabiny czasu i do domu, do domu, do domu...

Policzywszy do pięćdziesięciu, wstał i podbiegł do okna. Mógł się tam przyczaić grubas, toteż Kola najpierw przykucnął pod oknem nasłuchując, nic jednak nie wzbudziło jego podejrzeń, stanął więc na palcach i zajrzał do środka. Zobaczył pusty pokój, pod ścianami stały rzędem roboty sprzątacze. Drzwi na korytarz były otwarte.

Kola podciągnął się na rękach. Sięgał parapetu ledwie podbródkiem, więc nie od razu udało mu się przeleźć do środka – zmęczone nogi ślizgały się po koralowej ścianie, ręce były jak z waty. Nagle z tyłu zabrzmiał cienki głos:

– Aha, tuś mi ptaszku!

Wszystko stracone! Chudzielec usłyszawszy szelest, powrócił co tchu. I oto zdarzył się prawdziwy cud – nogi znalazły jakiś występ w ścianie, ręce ze stalową wręcz siłą podciągnęły ciało w górę i Kola przewiesił się przez parapet do pokoju. Wprawdzie bandyta zdążył go chwycić za nogę i ciągnął ku sobie, ale noga wierzgnęła tak mocno, że bucik został w ręku bandyty, a Kola spadł na podłogę.

Podniósł się natychmiast i przyciskając do piersi torbę z myelofonem, wyleciał z pokoju jak strzała. Bandyta krzycząc coś, wdrapywał się za nim.

Kola pędził korytarzem szukając schodów prowadzących na górę. A oto i schody. Wbiegł po nich, wpadł do sali, pośrodku której stał grubas przysłuchując się hałasom.

– Stój! – krzyknął, spostrzegłszy Kole.

Ale Kola już wyskoczył na podest, już był piętro wyżej – nareszcie mógł nabrać tchu – znów zbiegł na dół innymi schodami i zauważył uchylone drzwi, a obok nich na podłodze błyszczącego piąta. Przecież sam oznakował w ten sposób drzwi, żeby nie zablądzić w drodze powrotnej.

Wpadł do sali, zatrzasnął za sobą drzwi i prześliznął się pomiędzy różnymi przyrządami do pokoju w głębi – identycznego jak u sąsiada Mikołaja Mikołajewicza. Kabina stała na swoim miejscu niczym łódź ratunkowa w czasie burzy.

Kola nastawił uszu – z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Może pogoń zgubiła jego ślad?

Westchnął głęboko i wszedł do kabiny.

Tablica taka samiuteńka jak w tej z jego czasów. Tylko napisy pod guzikami inne. W przeszłości „Stacja pośrednia” i „Stacja końcowa”, tutaj: „Stacja początkowa” i „Stacja końcowa”.

Kola włączył system i z radością usłyszał znajome buczenie. Maszyna pracowała.

Teraz należy ustawić dźwigienkę na „WŁ”. A potem? Chyba przycisnąć guzik „Stacja początkowa”. Żeby tylko go przeniosła do jego czasów, a nie na przykład w epokę Puszkina albo co gorsza – brontozaurów.

Ręka Koli zawisła nad pulpitem.

Usłyszał, że ktoś otwiera drzwi do pokoju.

Szybko nacisnął guzik „Stacja początkowa” i przesunął dźwigienkę na „Rozruch”.

I znów poczuł, że zapada się w nieskończoność, w nicość, gdzie nie ma początku ni końca, ni przestrzeni – tylko wirująca pustka.

Kola płynął w czasie.

Część druga

TRZY K.

ONA NIE PAMIĘTA

Młody dyżurny lekarz, Alik Borysowicz, tęgi i wąsaty, był najweselszym człowiekiem w całym szpitalu. Można by pomyśleć, że chorzy trafiają tu wyłącznie dla przyjemności. No i oczywiście po to, by posłuchać, jak Alik złowił szczupaka w Donie lub też jak naśladuje śpiew słowika.

Tego dnia wszedł do sali po obiedzie i rzekł z udanym smutkiem:

– Nie przeżyję rozłąki z wami. Co ja tu będę robił?

Julka Gribkowa odpowiedziała:

– Lepiej by mnie pan już wypisał. Akurat jest u nas wycieczka.

Alicja, której nazwiska nikt nie znał, milczała, jak gdyby te słowa wcale się do niej nie odnosiły.

– Jak tam twój były wyrostek? – spytał Julę Alik Borysowicz.

– Troszkę mnie rano bolało – odparła.

– Obiecałem ci, że za tydzień o nim zapomnisz.

Julka miała już na końcu języka, że zapewne nigdy mu nie operowano wyrostka robaczkowego, nie może zatem wiedzieć, co to za przeżycie, zrezygnowała jednak z dalszej dyskusji.

– A jak tam nasze sprawy, łaskawa Alicjo? – spytał Alik.

– Dobrze.

– Powiesz nam coś nowego?

– Nie.

Julka przyglądała się Alicji ze współczuciem. Mają czasami pecha niektórzy, oj mają. Kilka dni temu Alicja przebiegała przez ulicę i potrafił ją trolejbus. Doznała wstrząsu mózgu. Ale nie to było najgorsze. Kiedy przywieziono ją do szpitala, okazało się, że nic kompletnie nie pamięta. Alik Borysowicz powiedział, że ta choroba – zwana amnezją – najczęściej mija. Możecie to sobie wyobrazić – zapomnieć swego nazwiska, adresu, szkoły, a nawet kim są twoi rodzice! A co najdziwniejsze – w chwili wypadku Alicja była w szortach, wiatrówce i kapciach. Ani skrawka papieru, ani grosika, nic przy sobie nie miała. Mama Julki, Natasza, opowiadała, że oficer śledczy, który wieczorem wypytywał Alicję – wszakże człowiek nie może zniknąć całkiem bez śladu – zwierzył się w korytarzu ordynatorowi, że milicja przeprowadziła wywiad wśród mieszkańców wszystkich domów znajdujących się w pobliżu miejsca wypadku, nikt jednak o niczym nie wiedział. W dodatku żadni rodzice nie dzwonili na milicję ani do szpitala w poszukiwaniu zaginionej córki. „Rozesłaliśmy jej fotografię – mówił – po wszystkich domach dziecka, pisaliśmy do innych miast”. Wynika z tego, że Alicja zaginęła jak gdyby pozornie i w tym tkwiła cała tajemnica. Julka pomyślała, że gdyby to ona przepadła choć na jeden dzień, mama z babcią przewróciłyby całą Moskwę do góry nogami.

Z wyglądu Alicja była całkiem normalną dziewczynką, mniej więcej dwunastoletnią, włosy miała jasne, krótko ostrzyżone, oczy niebieskie, nogi długie, wszystko jak u innych ludzi, zdążyła się nawet

już trochę opalić, choć w kwietniu jeszcze na to za wcześnie.

Julka знаła jeszcze jedną tajemnicę Alicji, ale nikomu o tym nie pisnęła słówka. Wczoraj wieczorem, choć nie pozwolono jej na razie wstawać, Alicja chciała uciec ze szpitala. W szpitalnej piżamce, kiedy wszystko ucichło, wymknęła się z łóżka i poszła ku drzwiom. Były z Julką we dwie na sali, trzecią dziewczynkę wypisano przedwczoraj. Jula jeszcze nie spała.

– Dokąd to, Alicjo? – spytała.

– Zaraz wracam.

Julka wyczuła, że coś tu nie tak.

– Zabronili ci przecież wstawać.

– Wrócę – powtórzyła Alicja.

– Słuchaj – odparła Jula odznaczająca się dużą przenikliwością. – Jeśli chcesz uciec, to bez wątpienia się przeziębisz. Na dworze pada deszcz i jest prawie zero stopni.

– Wcale nie myślę uciekać – rzekła Alicja i wyszła na korytarz.

W korytarzu natknęła się na siostrę dyżurną. Julka słyszała ich rozmowę. Potem Alicja wróciła do sali i położyła się.

– Nici z tego? – spytała Julka.

– Aha.

– Ostrzegałam cię przecież. No i dokąd byś poszła?

– Wiem dokąd.

– Guzik tam wiesz. Przecież straciłaś pamięć. Przeziębilibyś się i miesiąc z głowy.

– Ja się nie przeziębiam.

– Proszę, co za Robin Hood! – roześmiała się Julka. – Każdy, kto lata w piżamie po ulicy przy temperaturze zero stopni, przeziębiam się na pewniaka. To reguła. A w ogóle to wiedziałam, że drzwi do szpitala są zamknięte, więc nie martwiłam się zbytnio o twoje szacowne zdrowie.

– Serdeczne dzięki – burknęła Alicja. Była wyraźnie w złym humorze i więcej na żadne pytania Julki nie odpowiadała.

Julka pomyślała wówczas, że Alicję otacza zbyt wiele tajemnic. Czy ona rzeczywiście nic nie pamięta?

Teraz też słuchając doktora Alike perorującego i poruszającego wąsami jak kot, nie spuszczała oka z Alicji. Jeśli w trakcie pobytu w szpitalu sama włazi w ręce jakaś tajemnicza historia, to aż się prosi, by zabawić się w Sherlocka Holmesa.

– Ubiegłego lata – mówił Alik Borysowicz – pojechaliśmy z przyjaciółmi nad Don powędkować trochę. Alicjo, byłaś kiedy nad Donem?

– Nie wiem – odparła.

– No, mniejsza z tym.

„A to chytrusek – pomyślała Jula. – Niby sobie podżartowuje, ale o głównym celu nie zapomina.”
Mama mówiła jej, że w takich przypadkach jak Alicji, bardzo ważne jest znalezienie byle drobiazgu, niteczki, która przy umiejętnym rozplątywaniu doprowadzi do kłębka.

– Przyjechaliśmy na kwaterę – ciągnął Alik Borysowicz – niedaleko od Morza Azowskiego. Upał niesamowity, a tu arbuzy jeszcze nie dojrzały. Zatrzymaliśmy się u starego Kozaka, taka barwna postać z czubem, w granatowym kaszkiecie...

– Milicjant? – spytała Julka.

– Nie, po prostu kiedyś Kozacy takie nosili, starzy i teraz je noszą.

Alicja odwróciła się do okna, obserwując krople spływające po szybie.

– I ten stary powiada: zawiozę was nad Morze Azowskie... Byłaś kiedy, Alicjo, nad Morzem Azowskim?

– Nie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie byłam i koniec.

– A nad Czarnym?

– Nad Czarnym byłam.

– I co tam robiłaś? Odpoczywałaś?

– Nie, pracowałam. Przygotowywałam słownik języka delfinów.

Alik Borysowicz roześmiał się:

– Widzę, że wszystko zmierza ku dobremu. Sama byłaś nad morzem czy z rodzicami?

– Nie pamiętam...

„Nie – pomyślała Julka – lekarzy może nabrać, współczują jej. I w ogóle dużo wiedzą. Ale mnie nie nabierze. Z jakiegoś powodu chce robić wrażenie, że pamięta mniej niż w rzeczywistości”.

– I tak oto – mówił Alik – wsiadamy do łódki...

W tej chwili do salki zajrzała siostra Szuroczka:

– Doktorze, telefon do pana.

Po wyjściu doktora Jula spytała:

– Rozmyślałaś się, nie będziesz próbowała uciec?

– Rozmyślałam się.

– Dlaczego?

– Boję się przeziębic.

– A tak naprawdę?

– Tak naprawdę, to w tej piżamie zaraz mnie tu z powrotem dostarczą.

– Oho! To już postęp – powiedziała Julka. – Widzisz, że opłaca się posłuchać starszych?

– Jakich starszych?

– Mnie.

– Ile masz lat?

– Dwanaście.

– Ja mam jedenaście. Myślałam, że ty również.

– W której jesteś klasie? – spytała Julka

– Trudno mi wyjaśnić, i tak nie zrozumiesz.

– No pewnie, nie zrozumiem! Ja jestem w szóstej, więc ty pewnie w piątej. Co teraz przerabiacie z literatury?

– U nas są inne klasy – odparła Alicja. – Jestem teraz stażystką z genetyki stosowanej. Mówi ci to coś?

– Owszem – potwierdziła Julka. – Ja jestem w szkole angielskiej. Myślę tylko, że za wcześnie jeszcze, byś się zajmowała genetyką.

– Nigdy nie jest za wcześnie – odpowiedziała Alicja. – Będę kosmobiologiem, tak jak mój ojciec. A bez genetyki stosowanej w biologii ani rusz.

– Oj! – pisnęła Julka. – Szkoda, że Alik cię nie słyszy!

– A co takiego?

– Przecież ty nic nie pamiętasz! Nawet swego nazwiska. A okazuje się, że twój ojciec jest kosmobiologiem.

– Tak mi się przypomniało niechcący...

– No, to ci pomogę. Jeśli twój ojciec jest kosmobiologiem, to na pewno pracuje nie w Moskwie. Dlatego cię do tej pory nie znaleziono. Pewnie przebywa na kosmodromie w Bajkonurze albo w Gwiezdnym Miasteczku.

– Nie – przerwała jej Alicja – on pracuje w Moskwie. W Kosmo...

– Gdzie?

– W takiej instytucji. Ale teraz poleciał na konferencję. Wróci za dwa tygodnie. Wróci... a ja straciłam już prawie tydzień.

– A mama?

– Mama...

Alicja zacięła się jak konspiratorka, która o mało nie wygadała się na przesłuchaniu.

– Też sobie przypomniałaś? – spytała Julia.

– Tak, ale od razu zapomniałam.

– Och, trudno z tobą wytrzymać! – wykrzyknęła Julka.

Do sali weszła siostra Szuroczka z termometrami i lekarstwem dla Alicji. Szuroczka skończyła niedawno szkołę, przygotowywała się do egzaminu na medycynę, którą traktowała bardzo poważnie, o wiele poważniej niż doktor Alik. A w ogóle była anielsko dobra. Podając Alicji lekarstwo, westchnęła:

– Och, dziewczynki! Obić mnie dzisiaj to za mało!

– Czemu? – zdziwiła się Alicja.

– Wagaruję z wykładu. Niech się dzieje, co chce!...

– Pewnie idzie pani do kina? – zapytała Julia.

– Trafiałaś w dziesiątkę! Alik Borysowicz kupił bilety. Sama nie wiem, czemu mnie zaprosił.

Myślałam, że wcale nie zwraca na mnie uwagi. On taki mądry! Och, dziewczynki!

– A na jaki film? – spytała Julia, która w tej chwili z radością poszłaby do kina z kimkolwiek.

Albo nawet sama.

– Nie pamiętam tytułu, jakaś komedia francuska. Gra Louis de Funes. Wiecie, taki o... – I Szuroczka wykrzywiła się, żeby zademonstrować, jak wygląda Louis de Funes.

– Już wiem – powiedziała Julka. – Jest okropnie śmieszny. Pamiętasz go, Alicjo?

– Nie. Nie widziałam go nigdy.

– Biedactwo! – rzekła współczująco Szuroczka. – To musi być straszne tak wszystko zapomnieć. Nawet Louis de Funesa. Nie martw się, Alik Borysowicz obiecał, że pamięć na pewno ci wróci.

– Ona naumyślnie nic nie pamięta – wtrąciła Julia, patrząc spod oka na Alicję. – Chce wszystkie stare filmy obejrzyć na nowo. Spryciara!

– Jak ci nie wstyd, Julia! – oburzyła się Szuroczka. – Alicja cierpi, a ty sobie żarty stroisz! Wyobrażasz sobie, co teraz przeżywają jej rodzice? Nigdy nie miałaś dzieci, więc nie możesz zrozumieć!...

– A pani miała ich dużo? – spytała Julka.

– Nie gadaj głupstw! – Szuroczka stanęła w pąsach. – Za wcześnie ci myśleć o takich sprawach.

– Pani również.

Julka Gribkowa jest znana ze swego uporu, zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Szurowczka wyszła rozgniewana – dzisiejsze dzieci, jej zdaniem, zbyt szybko stają się przemądrzałe i dlatego są takie niegrzeczne.

– Co ja bym oddała za to, żeby móc pójść do kina! – westchnęła Julia.

– No, co? – spytała Alicja.

– Na przykład, kolację.

– Ty i tak nie zjesz kolacji – powiedziała Alicja. – Masz jeszcze pełną szafkę smakołyków, które przyniosła ci mama. W lodówce na korytarzu też ich pełno.

– To wszystko się nie liczy – odparła Julia. – Jeśli masz na coś ochotę, bierz, proszę. Moja babcia ciągle się martwi, że nikt cię nie odwiedza.

– Dziękuję. Paszteciki twoja babcia robi wspaniale. Tylko tobie na razie nie wolno ich jeść.

– Za tydzień będę mogła jeść wszystko.

– Jest coś, czego z pewnością nigdy nie jadłaś. Brambulet.

– Nie ma takiego dania – zaproponowała Julka.

– U was nie ma, a u nas jest.

– Aż czego się robi ten twój bramrulet?

– Nie bramrulet, tylko brambulet. Sama umiem to przygotować. Bierze się zwykły mangustin i smaży na petejarowym maśle mniej więcej przez pięć minut.

– Na petejarowym?

– Właśnie.

– A jeśli ja wolę na śmietankowym?

– To nic z tego nie wyjdzie.

– Aż czego się robi petejarowe masło?

– Z angeldyńskich petejarów, czyżby to było niejasne?

– Jasne jak słońce. Uwielbiam angeldyńskie petejary. A skąd bierzesz zwykłe mangustiny?

– Jak to skąd? Z Indii.

– Widzę, że z ciebie istny arcykuchmistrz.

– Nie będę z tobą rozmawiać, i tak mi nie uwierzysz!

– Wiesz, a mnie się wydaje, że uwierzę już we wszystko.

Julia poczuła, że jeszcze chwila, a Alicja uchyli rąbka tajemnicy, ona jednak milczała. Wzięła pożyczone od Julki czasopismo „Młody przyrodnik” i zagłębiła się w czytaniu.

Julka przestała brać ją na spytki. Jak nie, to nie. Sama też wzięła książkę. Czytały tak chyba przez godzinę. Potem Alicja odłożyła pismo i powiedziała z oburzeniem:

– Co za bestie!

– Kto taki?

– Piszą tu o myśliwych. Zranili jelonka i uciekli.

– Przecież dalej jest mowa o tym, jak chłopczyk znalazł go i wykurował. Nikt takich myśliwych nie broni.

– W ogóle wszyscy myśliwi to potwory – denerwowała się dalej Alicja. – I tacy, i inni. Bez różnicy.

– Czego się złościś? Przecież ja nie jestem myśliwym.

– Zgoda, jesteś dobra, ale czy to oznacza, że wszystko ci jedno, co robią inni?

– Jeśli myśliwi przestrzegają przepisów i nie kłusują, to nikt im nie może zabronić polowania.

– Naprawdę tak uważasz?

– A ty nie?

Dziwnie się układały stosunki między nimi. Niby się nie kłóciły, a przez cały czas kłótnia wisiała w powietrzu. Dzielił je jakiś mur niezrozumienia.

– Nie widzę żadnej różnicy między zabijaniem zwierząt i ludzi – mruknęła ze złością Alicja.

W NASZEJ KLASIE JEST TRZECH CHŁOPCÓW O IMIENIU KOLA

Julka udawała, że czyta, odwracała nawet kartki. Ale gdyby ją zapytać, na czym właśnie stanęła, zupełnie nie potrafiłaby odpowiedzieć. Zapała się jednak, że pierwsza do Alicji się nie odezwie. Minęła może godzina i Alicja nagle spytała:

– Więc chodzisz do szóstej klasy?

– Tak.

– Z jaką literką?

– B.

– Świetnie – ucieszyła się Alicja. – Do szóstej B. Tego właśnie mi potrzeba. W dwudziestej szóstej szkole?

– Jak się tego domyśliłaś?

– To dla mnie bardzo ważne, żebyś uczęszczała do dwudziestej szóstej. W końcu musiało mi dopisać szczęście.

– Nic w tym dziwnego, że jestem w dwudziestej szóstej. I szkoła blisko. I szpital rejonowy. Znacznie dziwniejsze byłoby, gdybym się uczyła na Sokolnikach. A na co ci nasza szkoła?

– Niepotrzebna mi szkoła. Potrzebny mi Kola z twojej klasy. Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

– Który Kola? Jest ich trzech w naszej klasie. Sulima, Sadowski i Naumow.

– Jak to trzech? Myślałam, że jeden. To komplikuje całą sprawę.

– Co komplikuje? Uff, nie jesteś człowiekiem, lecz kompletną zagadką! I wcale nie wierzę, że straciłaś pamięć. Cały czas udajesz, tylko nie wiem dlaczego.

– Muszę znaleźć Kolę, który uczy się w klasie szóstej B. Po prostu prawda jest tak niewiarygodna, że mi nie uwierzysz.

– Uwierzę.

– Opowiem ci wszystko, tylko miej cierpliwość. I najpierw pomóż mi znaleźć Kolę.

– Jak mam ci pomóc? Przecież nie znasz jego nazwiska. Jeśli coś od niego potrzebujesz, przyjdź do nas, do klasy i sama go zapytaj.

– Nigdy go nie widziałam.

– Zwariować można! No to zapytaj wszystkich trzech po kolei.

– A jeśli on mi nie odpowie? Myślę, że chyba nie.

Drzwi się otworzyły i weszła Natasza, mama Julki, która przyjeżdżała do szpitala po pracy niemal każdego dnia. Trzeba było przerwać rozmowę. Julka zmartwiła się nawet, że matka przyszła nie w porę. Natasza przyniosła bukiet kwiatów, najświeższe czasopisma, list do Julki od kolegów z klasy, a dla Alicji – całą paczkę gazet i torebkę cukierków czekoladowych. Julce cukierków jeszcze nie było wolno.

– Tylko nie czytaj za dużo, lekarz zabronił – powiedziała do Alicji. – Ze wstrząsem mózgu nie ma żartów.

– Wiem – odparła Alicja. – Dziękuję bardzo.

– Zajrzałam do kiosku i kupiłam ci różne gazety. Okręgowe, republikańskie. Pomyślałam sobie, że jeśli nie mieszkałaś w Moskwie, może napotkasz swoją gazetę i przypomnisz sobie...

– Nie – odparła stanowczo Alicja – nie zobaczę tu mojej gazety. Ona jest całkiem inna.

– A jaka mianowicie? – zdziwiła się Natasza.

– Nie pamiętam.

Kiedy Natasza już wyszła i przyniesiono kolację, Alicja odezwała się:

– Twoja mama jest zupełnie młoda i bardzo ładna.

– Wiem – z dumą potwierdziła Julka. – Nie ty jedna tak myślisz. A twoja mama jest stara?

– Nie – powiedziała Alicja. – Nie wyobrażam sobie, jak się przed nią wymigam, po prostu sobie nie wyobrażam. W ogóle nie lubię kłamać...

– A kto lubi? – zdziwiła się Julka. – Czasem jednak trzeba. Żeby kogoś nie zmartwić. Przecież rodzice strasznie się o nas martwią.

Ściemniało się już, zjrzał Alik Borysowicz, pożegnał się, ale nic o kinie nie wspomniał. Później zjrzała Szuroczka, by również się pożegnać.

– To zdumiewające! – wyznała. – Tak się cieszę, dziewczynki, tak się cieszę! Tylko nikomu ani słowa.

– Przysięgamy! – wykrzyknęły zgodnym chórem.

Po wyjściu Szuroczki długo śmiały się jak szalone.

– Dorośli miewają czasem okropnie śmieszne tajemnice – wykrztusiła, zarykując się Julka.

– Tak zwani dorośli – poprawiła ją Alicja. – Przecież ona jest starsza od nas najwyżej o sześć, siedem lat. Żadna różnica.

– No pewnie – zgodziła się Julka.

– Opowiedz mi o swojej klasie – poprosiła Alicja.

– Co mam opowiedzieć?

– Jak się uczycie, jak często chodzicie do szkoły, jakie są u was specjalizacje. Opowiadaj po prostu o wszystkim.

– Nie wiem, od czego zacząć. Przecież i tak znasz to wszystko.

– Zapomniałam. Uważaj, że jestem całkiem zielona, nie pamiętam nic. Nic a nic.

– Nie wiem, kiedy mam ci wierzyć, a kiedy nie.

– Słowo honoru, nic prawie nie wiem o twojej szkole. Jak się u was uczą, jak chodzą do szkoły...

– A pamiętasz, ile jest klas?

– Chyba dziesięć. Dobrze mówię?

– No widzisz, przypomniałaś sobie. A w jakim wieku zaczyna się naukę w szkole?

– Pięciu lat?

– Oj, Alicjo, siedmiu! Albo jesteś wielką hipokrytką, albo rzeczywiście masz w głowie groch z kapustą. Zaraz, a może ty nie tylko nie jesteś z Moskwy, lecz w ogóle nie ze Związku Radzieckiego?

– Jak to sobie wyobrażasz? – surowo spytała Alicja.

– No, może jesteś turystką, przyjechałaś z rodzicami z zagranicy i zgubiłaś się.

– Czyżbym mówiła źle po rosyjsku?

– Ależ nie, dobrze.

– Całkiem dobrze?

– Całkiem...

– Dziękuję. A zatem do szkoły idzie się dopiero po ukończeniu siedmiu lat? A co się robi do tego czasu?

– Dzieci chodzą do przedszkola, bawią się, robią babki z piasku... A cóż innego mogą robić maluchy?

– Dziwne – powiedziała Alicja. – Ja mając pięć lat już... – zamilkła.

– No powiedz, co robiłaś mając pięć lat?

Ktoś szedł korytarzem, zatrzymał się przy drzwiach, nie otworzył ich jednak, tylko jakby przysłuchiwał się rozmowie. Drzwi były oszklone, na tle matowej szyby widać było sylwetkę człowieka.

– Kto to może być? – spytała Alicja.

– Mało tu ludzi? Nie wszystko ci jedno? Czekasz na kogoś?

– Nie.

– A ja myślę, że chyba czekasz. Na twoim miejscu drżałabym z wrażenia. Może nagle otworzą się drzwi i wejdzie twoja mama?

– Nie wejdzie – westchnęła Alicja. – Jestem tutaj sama

– No, a jeśli wejdzie?

– Już wolę, by nie weszła.

– Źle się z tobą obchodziła? Może ty celowo uciekłaś z domu? Może nie masz matki, tylko macochę? Złą?

– Nie pleć głupstw – odparła Alicja. – Mam cudowną, po prostu wspaniałą mamę, nie gorszą od twojej.

– A jeśli ona wejdzie, i nie poznasz jej? Cierpisz przecież na amnezję.

– Możliwe – szepnęła Alicja i odwróciła się do ściany. Może zasnęła, a może cichutko płakała.

Julka nie była pewna, chociaż przez cały czas nasłuchiwała.

JESTEM TWOIM TATUSIEM!

Minęły dwie lub trzy godziny. W szpitalu zapadła cisza, wielu chorych już spało. Alicja ciągle leżała twarzą do ściany, Julka czytała. Szklarniowe róże, przyniesione przez Nataszę, stały na szafce nocnej obok łóżka Julki, czuła ich świeży, przyjemny zapach.

Nagle znów rozległy się kroki na korytarzu. Te same, co przedtem. Ktoś ostrożnie, ale ciężko, podszedł do drzwi i zatrzymał się przy nich.

– Alicjo – szepnęła Julka – patrz, to znowu on.

Alicja siadła na łóżku i przyłożyła palec do ust.

Sylwetka człowieka za szybą po chwili zniknęła.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Julka. – Zadzwoń po siostrę dyżurną.

– Zaczekaj – powstrzymała ją Alicja.

Usłyszały jakąś rozmowę i ruch na korytarzu. Parę osób zbliżało się do ich sali. Drzwi otworzyły się powolutku.

Nic się jednak nie zdarzyło. Weszła siostra dyżurna, Maria Pawłowna. Była to starsza, surowa osoba, chorzy nie bardzo ją lubili, ponieważ ciągle mówiła o przepisach i o tym, że należy ich przestrzegać. A kto ma na to ochotę, zwłaszcza gdy wraca do zdrowia?

– Nie śpicie, dziewczynki? – spytała.

– Nie.

– Alicjo, chce z tobą porozmawiać Aleksander Borysowicz.

Alicja zdziwiła się:

– Alik Borysowicz? A czy on...

Doktor wszedł już do sali.

– Jak się czujecie, dziewczynki? – spytał, jak gdyby nie pożegnał się z nimi kilka godzin temu.

„Może już wrócił z kina – pomyślała Julka. – Ale co też się mogło stać? Pokłócił się z Szuroczką?”

– Spodziewam się, że wszystko w porządku – powiedział. – Mam dla Alusi niespodziankę. Wspaniałą niespodziankę! Kazałbym ci zatańczyć, gdyby nie obawa o twoje zdrowie. Zbieraj się do domu!

– Co! (Julka spostrzegła, że Alicja nagle zbladła.) Niemożliwe!

– Możliwe, możliwe! – Alik tak się cieszył, jakby sam za chwilę miał się puścić w płas. – Wszystko dobre, co się dobrze kończy! Przyjechał po ciebie tatuś! Możesz więc zbierać się do domu.

– Mój ojciec nie może przyjechać – powiedziała Alicja.

– Dziecko drogie, nie opieraj się – Alik odwrócił się do Marii Pawłowny i rzucił ostro: – Proszę o spakowanie rzeczy pacjentki i przygotowanie wypisu.

– Jak to, Aleksandrze Borysowiczu? – zdziwiła się Maria Pawłowna. – Właśnie teraz, w nocy?

Nie, stanowczo się nie zgadzam.

– Proszę bez żadnych sprzeciwów! – był to zupełnie inny Alik. Jula nigdy nie przypuszczała, że może mówić takim tonem. – Proszę wykonać moje polecenie.

– Jutro rano – nie ustępowała Maria Pawłowna. – Zgodnie z przepisami. Za zgodą ordynatora. Nie pozwolę na łamanie przepisów. Tym bardziej, że pan już zszedł z dyżuru, a lekarza dyżurnego nie ma.

– Nie moja wina, że lekarz dyżurny gdzieś się zawieruszył. Odpowie za to. Nie możemy na siłę odrywać dziecka od rodziny. Jej ojciec specjalnie przyjechał z innego miasta, jest bardzo przejęty. Posłuchajcie.

Alik umilkł, wszyscy usłyszeli, że ktoś za drzwiami ciężko oddycha, a może i płacze.

– No proszę – mówił Alik Borysowicz. – Chce pani przyprawić o wstrząs i dziecko, i całą rodzinę z powodu idiotycznych przepisów. Proszę iść przygotować dokumenty, podpiszę, gdzie trzeba i basta. Nie stać pani na odrobinę ludzkich uczuć?

– Ale przecież dziecku to może zaszkodzić. Przeszła wstrząs mózgu.

– Było, minęło – odrzekł Alik. – Badałem ją dzisiaj. Nic jej nie będzie.

– Aleksandrze Borysowiczu, ja pana dosłownie nie poznaję – wykrzyknęła Maria Pawłowna. – Cóż to za dziwne zachowanie!

– Proszę iść i poczekać na mnie w swoim pokoju. A jeśli nie wykona pani mojego polecenia, napiszę na panią skargę.

– Cooo?! – Maria Pawłowna zdumiała się do tego stopnia, że omal nie zemdląła. – Pan... na mnie... skargę?

Alik wręcz wypchnął ją na korytarz i powiedział do kogoś tam czekającego:

– Proszę wejść. Córka czeka z niecierpliwością.

Potrąciwszy z impetem Marię Pawłownę, do sali wpakował się opasły, trzęsący się od tłuszczu grubas w ciemnych okularach i nasuniętym na oczy kapeluszu.

Był tak tłusty i tak dziwacznie, jakby dla zamaskowania ubrany, że Jula otworzyła usta ze zdumienia.

– Gdzie moja córeńka? – zapiszczał cieniutkim głosem. – Gdzie mój skarb? – I szeroko rozłożywszy tłuste łapska, ruszył prosto ku Alicji. – Chodźmy, chodźmy do naszego domu, do mamusi i tatusia – trajkotał napierając na Alicję jak parowóz.

– Nie! – wykrzyknęła Alicja. – Niech pan się nie waży zbliżyć do mnie! – Siedziała na łóżku, przyciśnięta plecami do ściany i okryta kołdrą aż pod brodę. – Niech pan się nie waży! Pan nie jest moim ojcem! Widziałam już gdzieś pana, ale moim ojcem pan nie jest!

– Stać! – krzyknęła Julka, która od razu uwierzyła Alicji. – Bo zacznę krzyczeć, a ostrzegam, nie zna pan moich możliwości!

– Chwileczkę – powstrzymał grubasa Alik Borysowicz. – Nie wolno denerwować dzieci. Pańska córka przeszła wstrząs mózgu i szok. Straciła pamięć. Nie poznaje pana i nie ma w tym nic dziwnego. Nie denerwuj się, kochanie. Zaraz wszystko sobie wspólnie przypomnimy i pojedziesz do domu, wszystko będzie dobrze. Ty też przestań krzyczeć, Jula. W sąsiednich salach śpią chore dzieci. Po co je budzić?

– Alicjo, czyżbyś nie pamiętała swego kochanego tatusia? – zaskomlił płaskim głosem grubas. – Zapomniałaś, jak cię nosiłem na rękach? Zapomniałaś, jak lataliśmy razem na...

Przy tych słowach doktor Alik nie wiedzieć czemu chwycił grubasa za rękaw i zasyczał jak żmija.

– O tak! – zawołała Julka. – Trzeba sprawdzić, czy to rzeczywiście jej ojciec. Dokumenty pan ma?

– Mam – odparł grubas. – Wszystkie dokumenty. – Wyjął z kieszeni okropnie szerokich spodni plik jakichś papierków i zamachał nimi przed nosem Julki.

– Moje dziecko, nie wtrącaj się do spraw dorosłych – skarcił Julkę Alik Borysowicz. – Nikt cię nie pyta o zdanie. Ciebie to nie dotyczy.

– Jeszcze jak dotyczy – nie ustępowała Julka. – Mnie dotyczy absolutnie wszystko. Nie macie nawet pojęcia, jak wiele spraw mnie dotyczy.

Znajdowała się w takim stanie, że strach było do niej podejść, zwłaszcza gdy się wiedziało, iż potrafi drapać jak kotka, choć od pierwszej klasy nie użyła ani razu tej niebezpiecznej broni.

– Wstawaj, Alicjo – powiedział Alik. – Pospiesz się. Upewniliśmy się, że ten obywatel jest twoim ojcem. Pojedziesz z nim do domu, tam z pewnością od razu wszystko sobie przypomnisz i wyzdrowiejesz.

Skinął na grubasa, by zabrał córkę, ten zaś wyciągnął ręce do Alicji. Zerwała się na równe nogi i przywarła do ściany. Ręce grubasa niby kleszcze raka zamknęły się w powietrzu.

– Prędeż! – krzyknął Alik. – Zaraz przyjdą!

– To współnicy! – wrzasnęła Julka. – Wspólnicy!

– Jasne – potwierdziła Alicja, wyslizgując się z rąk grubasa i Alika, który zaszedłszy z tyłu łóżka usiłował pomóc fałszywemu ojcu. – Spójrz na jego buty!

– Czyje buty?

– Alika!

Julka, która również stała na łóżku, spojrzała w dół i od razu zrozumiała, o co chodzi – obydwie buty Alika Borysowicza były z jednej nogi. Z prawej.

– Co? Co takiego? – spytał nerwowo Alik, również spoglądając na swoje nogi.

I nagle Julka zobaczyła wręcz fantastyczną sztuczkę – w jej oczach prawy but znajdujący się na lewej nodze poruszył noskiem, wygiął się i przeobraził w normalny lewy but.

– Ojej! – pisnęła.

– Nie zwracaj na to uwagi – rzekł uspokajająco Alik. – To moje zwykłe roztargnienie.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Alicji:

– Julka!

Gdy Julka przypatrywała się butom, grubas chytrze podszedł Alicję i tak ją mocno ucałował, że w ogóle nie mogła się ruszyć.

Machała nogami, waliła pięściami w kluchowaty bok, ale grubas nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Wywrócił szafkę nocną – kwiaty się rozsypały, woda rozlała na podłogę – i puścił się ku drzwiom.

„Wszystko stracone” – pomyślała Julka. I nagle przypomniała sobie piękne dawne czasy, kiedy to na dacy jako wódz czerwonoskórych wiodła swe groźne plemię w śmiałym wypadzie na blade twarze z sąsiedztwa.

Wydała okrzyk bojowy Irokezów i skoczyła jak pantera, wbijając paznokcie w policzek grubasa.

Od tego okrzyku zadzwoniły szyby, a jedna z brzękiem wypadła na zewnątrz. Obudzili się wszyscy pacjenci szpitala. Wróble pospadały z gałęzi, wrony wzbily się pod same chmury, jakiś kierowca zjechał do przydrożnego rowu, myśląc, że chce go wyprzedzić wóz straży pożarnej. Jak się okazało później, nie obudził się tylko lekarz dyżurny – ktoś zrobił mu zastrzyk nasenny, więc spał

w suterenie na kupie kartofli.

Atak Julki był nieoczekiwany i gwałtowny, grubas puścił Alicję, która klapnęła na podłogę, zamachał rękami, usiłując strzepnąć wiszącą na nim Julkę, a gdy mu się to wreszcie udało, rzucił się ku drzwiom z takim impetem, że wypadły z zawiasów, uderzając z hukiem o przeciwległą ścianę korytarza.

Alik Borysowicz wrzasnął wściekle: „Trrprff!” – i pobiegł w ślad za grubasem.

Julka i Alicja siedziały na podłodze potrząsając głowami, by szybciej oprzytomnieć.

– No, załatwiłyśmy ich? – spytała Julka.

– Z pewnością szwy ci się rozeszły – rzekła Alicja. – A w ogóle jesteś prawdziwym przyjacielem.

– Więc to nie był twój ojciec?

– Jaki tam ojciec! To był pirat kosmiczny, zwany Wesołkiem Ypsilon.

– Zwariowałaś, Aluśka?! Jaki pirat kosmiczny?

– Wszystko ci opowiem. Ufam ci teraz na mur. Tylko niech się trochę uspokoi. Słyszysz, już tu biegną.

Wpadła Maria Pawłowna.

– Co się stało? – wykrzyknęła. – Dziewczynki, czemu siedzicie na podłodze? I do tego w wodzie!

Przepisy absolutnie zabraniają!

Dziewczynki wybuchnęły śmiechem i wstały.

Wbiegła druga siostra mająca dyżur piętro wyżej. Któryś z chodzących chorych zajrzał do sali.

W korytarzu ktoś pytał podenerwowanym głosem:

– Gdzie wybuch? Gdzie był wybuch?

– Nic nie rozumiem – powiedziała Maria Pawłowna. – To wszystko moja wina. A gdzie się podział Aleksander Borysowicz? I gdzie twój tatuś, Alicjo?

– Jaki Aleksander Borysowicz? – spytała Alicja. – Jaki tatuś?

– No przecież byli tu przed chwilą.

– Nikogo tu nie było.

Oczy Julki ze zdumienia zrobiły się niemal kwadratowe.

– Jak to... – wtrąciła.

– Nikt tu nie przychodził – powtórzyła Alicja takim tonem, że Julka w lot zrozumiała: trzeba milczeć i wszystkiemu potakiwać.

– Widziałam na własne oczy – zaczęła Maria Pawłowna i urwała w pół słowa. – A kto rozbił okno? Kto krzyczał? Kto wywalił drzwi? Nie róbcie ze mnie idiotki, i tak nic nie rozumiem.

– Nagły poryw wichury – tłumaczyła Alicja. – Chyba trąba powietrzna wybiła szybę, zwała nas ze świstem z łóżek, nawet drzwi z zawiasów wyleciały. Czegóż więc pani nie rozumie?

– Nie, ja naprawdę tracę rozum! Przecież widziałam na własne oczy Aleksandra Borysowicza z tym drugim obywatelem, takim tęgim, okazałym. Posłali mnie po historię choroby Alicji...

– Mario Pawłowna – doradziła Alicja – myślę, że najlepiej będzie, jeśli pani zadzwoni do Alika Borysowicza. Na pewno wrócił już z kina i siedzi w domu. Potwierdzi, że ani nie był w szpitalu, ani nie widział mojego ojca.

– Owszem, zrobię to – oświadczyła groźnie Maria Pawłowna. – I to natychmiast. Nie zostawię tak tej sprawy! Ktoś tu zwariował. Mam nadzieję, że nie ja. Tylko dam wam najpierw suche piżamki i przeniosę do separatki – nie możecie tu spać przy wybitej szybie.

Gdy Maria Pawłowna zamknęła za dziewczynkami drzwi od separatki, gdy już ułożyły się na nowych łózkach, Julka spytała:

– Dlaczego kazałaś jej dzwonić do Alika? Przecież biegnie jeszcze ulicą.

– Nic nie rozumiesz – odparła Alicja. – Alik nie ma z tym nic wspólnego. Cały wieczór spędził z Szuroczką. A teraz pije herbatę. To wcale nie był on. Z początku się nie domyśliłam. To był kompan Wesołka Ypsilon, również pirat kosmiczny. Krys z planety Krokrys. Ścigają mnie. A jeśli mi nie wierzysz, poczekaj, zaraz przyjdzie Maria Pawłowna i powie, że rozmawiała z Alikiem.

– Nie mogłam przecież pomylić kogoś z Alikiem... Poznała go też Maria Pawłowna.

– I ja się z początku nabrałam. A to dlatego, że Krys jest wielkim hipnotyzerem. Tylko zdarzyła mu się wpadka z butami. Pamiętasz?

– Pamiętam – potwierdziła Julka.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Marii Pawłowny i rozległ się głośny sceniczny szept:

– To jednak ja dostałam bzika! Aleksander Borysowicz siedzi w domu i pije herbatę. On... uśmieł się ze mnie!

CO SIĘ ZDARZYŁO

– Oczywiście, masz prawo mi nie wierzyć – powiedziała Alicja, gdy wreszcie w szpitalu zapanowały spokój i cisza. – Sama nie wiem, czy na twoim miejscu bym uwierzyła.

Szew troszkę Juli dokuczał – mimo że jutro miała być wypisana, jeszcze za wcześnie było na udawanie pantery. Ułożyła się wygodnie i przysięgła sobie nie przerywać Alicji. Prawdę mówiąc, Julka wysnuła nową teorię: Alicja jest gościem z Kosmosu, z innej planety. Dlaczego goście z innych planet nie mieliby przylatywać do nas, skoro takie planety istnieją?

– Oprócz ciebie nie mam nikogo, komu mogłabym zaufać – oświadczyła Alicja. – Nie znam tu żadnych dzieci, a nikt z dorosłych mi nie uwierzy. Nawet jeśli przedstawiłabym dowody.

– Normalka – zgodziła się Julka. – Dorośli nie wierzą nawet w rzeczy oczywiste. Przyleciałaś z innej planety?

– Nie. Jestem Moskwiczanką. Urodziłam się tutaj.

– Szkoda. Byłam pewna, że przybyłaś z innej planety.

– Jestem tak jakby z innej planety. Nie urodziłam się jeszcze. Przyjdę na świat za sto lat.

– Co takiego?

– Jestem z przyszłości. Z dwudziestego pierwszego wieku.

– Na tak, zgadza się. Cały czas się zastanawiałam, dlaczego nie wiesz nic o naszej szkole, a po rosyjsku mówisz bez obcego akcentu.

– Nie zdziwiło cię, że jestem z przyszłości?

– Pewnie, że tak. Bardziej niż gdybyś była z Kosmosu. Choć niewspółczesna, jesteś jednak Moskwiczanką. Opowiadaj.

– Mieszkam w Moskwie, chodzę do szkoły. Nic szczególnego...

– A byłaś na Księżycu?

– Byłam. Na Marsie też, i w Głębokim Kosmosie.

– Szczęściara! A selekcja jest ścisła? U nas w klasie jeden chłopak, Boria Messerer, chce zostać kosmonautą, tymczasem powiedzieli mu, że nie nadaje się ze względu na warunki zdrowotne. Teraz codziennie rano odbywa drogę do szkoły biegiem – dwa kilometry. Co prawda stale się spóźnia. Może się zdarzyć, że go wywalą ze szkoły zanim zdąży się zahartować.

– Przerywasz mi. Selekcja wcale nie jest ścisła. Można pojechać w charakterze turysty lub na wycieczkę. Raz poleciałam z ekspedycją naukową. Mogę opowiedzieć, jeśli cię to interesuje.

– Strasznie!

– Specjalizuję się w biologii. Będę pracować ze zwierzętami. To najciekawsza rzecz na świecie. Mój tatuś również jest biologiem, tyle że kosmicznym. A ja chcę zająć się poważnie badaniem rozumu zwierząt. Uważam, że dotychczas zbyt mało zrobiono w tej dziedzinie. Ludzie latają do innych Galaktyk, a ze zwyczajnym kociakiem nie potrafią się dogadać.

– Ja ze swoją kotką mogę się dogadać na każdy temat – stwierdziła Julka. – Wprawdzie to ja gadam przez cały czas, a ona milczy.

– No widzisz, milczy. Nie bez powodu opowiadam ci o biologu. Chodzi o to, że u ojca w Ogrodzie Zoologicznym znajduje się pewien aparat zwany myelofonem. Przechwytuje fale emitowane przez mózg i jeśli nastawić go na czyjąś częstotliwość, można usłyszeć myśli.

– Moje też?

– Czyje chcesz. Ten aparat jest niezwykle rzadki i cenny. Ojciec powierzył mi go na krótko, po zakończeniu eksperymentu miałam zwrócić myelofon do pracowni.

– A czyje myśli odczytywałaś?

– Najpierw delfinów, potem pustorura i innych zwierząt. A potem tak się zdarzyło, że poszłam się pożegnać z Brontim.

– A któż to znowu?

– To mój ukochany brontozaur. Mieszka w Kosmozoo – Kosmicznym Ogrodzie Zoologicznym.

– Brontozaury wyginały wiele milionów lat temu. Czytałam o tym.

– Mogłaś czytać. Ale on został wyhodowany.

– Na nowo?

– Nie przerywaj, Julka! W ten sposób do jutra nie skończę.

– Opowiadasz takie rzeczy, a potem nie pozwalasz mi się dziwić. Tak bywa tylko w powieściach fantastycznych. Mówisz, że będziesz żyć za sto lat!

– Więc poszłam pożegnać się z Brontim, myelofon zaś odłożyłam, żeby go nie zamoczyć. Bronti mieszka w stawie. Popłynęłam sobie na nim. Naraz oglądałam się – a myelofon zniknął. Jakiś chłopak krzyczy: „Łapaj!” – i ucieka.

– To był Kola?

– Czekał. Zanim udało mi się zawrócić Brontiego do brzegu, zanim wyskoczyłam i dobiegłam do bramy, oczywiście dawno nikogo już nie było. Tam, na placu, stoją autobusy. Co prawda ludzi było bardzo mało, zaczęłam więc wypytywać wszystkich po kolei, czy nie widzieli przypadkiem kogoś wybiegającego z Kosmozoo z czarną torbą pod pachą. Jakiś przechodzień powiedział mi, że widział chłopca, który wsiadł do autobusu na „Prospekt Pokoju”, ktoś inny sprostował, że chłopiec, który wbiegł do autobusu, po chwili znów z niego wypadł i wsiadł do innego. W ręku miał czarną torbę. W pięć minut przeleciałam wszystkie przystanki autobusowe. Pojechałam najpierw na Prospekt Pokoju, z kolei na inny przystanek. W pięć minut objechałam pół Moskwy i wróciłam do Ogrodu Zoologicznego. Nikogo nie znalazłam.

– Jak to pół Moskwy w pięć minut? Autobusami?

– Oczywiście. A czymże innym?

– To z jaką szybkością jeżdżą u was autobusy?

– Z żadną. One stoją w miejscu... Ach, nie rozumiesz, jasne. U was nie ma takich autobusów. Później ci wytłumaczę. Wróciłam do Kosmozoo. Okropnie zmartwiona, sama rozumiesz. Co począć? Idę przez Kosmozoo, ogród już zamykają, nikogo nie ma. Myślę sobie: może to wszystko mi się przywidziało, a torbę gdzieś zostawiłam – myśl beznadziejnie głupia, ale chciałoby się w to uwierzyć...

– Wiem, że mną też tak bywało – wtrąciła Julka.

– Idę przez Kosmozoo, rozglądam się na wszystkie strony, nagle patrzę – roboty-sprzątacze stoją przy jednej z ławek i o czymś rozprawiają. W ogóle roboty to naród raczej milkliwy, trudno je

wyprowadzić z równowagi. A tu machają rękami, kłócą się. Pytam, co się stało.

Odpowiadają, że znalazły się w kropce. Nigdy przedtem nie widziały czegoś podobnego. I wskazują ławkę, na której oparciu ktoś wyciął słowa: „Kola, klasa szósta B, szkoła nr 26”. Roboty nie wiedzą, czy mają zabrać ławkę i wymienić ją na nową, czy też tak właśnie ma zostać.

– Z naszej szkoły! – wykrzyknęła Julka.

– Otóż to, jakiś Kola z szóstej B szkoły nr 26 był w Ogrodzie Zoologicznym właśnie tego dnia. W przeciwnym razie roboty znalazłyby jego arcydzieło wcześniej.

– A może to nie on wziął?

– Posłuchaj. Wypytywałam ludzi na przystanku autobusowym, jak wyglądał ten chłopiec, myślałam, że może to ktoś znajomy zrobił mi kawał – wiesz przecież, jakie zagrania miewają chłopaki. Cechuje ich raczej dziwaczne poczucie humoru.

– Lepiej, żeby chłopcy w ogóle nie mieli poczucia humoru – zgodziła się Julka.

– Wszyscy, którzy chłopca widzieli, mówili mi, że był dziwnie ubrany, jak na maskaradę, w kostiumie z dwudziestego wieku. Nie od razu zwróciłam uwagę na te słowa. Dopiero gdy spostrzegłam napis, który mógł wyciąć tylko człowiek o anachronicznej psychice...

– A tacy, niestety, jeszcze się zdarzają – westchnęła Julka.

– ...natychmiast zrozumiałam, że w sprawę zamieszany jest przybysz z przeszłości.

– Ale jakim sposobem mógł do was trafić? Wynalazł wehikuł czasu?

– Dokładnie takim samym sposobem, jak ja się tu zjawiłam.

– To znaczy, że wehikuł istnieje?

– Jasne, a dlaczego miałby nie istnieć?

– Przecież to fantastyka!

– Dla ciebie może i fantastyka, dla mnie najzwyklejsza rzeczywistość. Gdyby twemu dziadkowi pokazano samolot, z pewnością zemdlałby z wrażenia.

– Wcale nie – sprostowała Julka. – Był lotnikiem polarnym. Gdyby tracił przytomność na widok samolotu, któż lądowałby na krach lodowych?

– No to nie samolot, ale na przykład statek kosmiczny.

– Ty nas chyba masz za kompletnych barbarzyńców, Alicjo – obrazila się Jula. – Mój dziadek jest obecnie na emeryturze i prowadzi wykłady z kosmonautyki.

– No dobrze, nie kłóćmy się – rzekła Alicja. – Fakty wskazywały, że do moich czasów trafił przybysz z przeszłości, w dodatku chłopak nie najlepiej wychowany, który wycina scyzorykiem napisy na oparciach ławek. To znaczy wsiadł do wehikułu czasu bez pozwolenia. I wyobrażasz sobie – bez żadnej kontroli spaceruje po naszych czasach! Przecież to okropny skandal!

– Dlaczego?

– Ależ tego nie wolno robić! Nikt nie ma prawa wchodzić do Instytutu Czasu i podróżować tam i z powrotem. Jeszcze zabierze coś ze sobą w przeszłość. I wszystko zakłóci. Albo też dowie się czegoś, czego wam jeszcze wiedzieć nie wolno.

– Nie wolno, nie wolno! Jesteśmy małe dzieci czy co?

– Sama widzisz, że jesteś dzieckiem. Gdyby udostępnić podróżowanie w czasie wszystkim, a zwłaszcza z przeszłości w przyszłość, no to koniec. Wsiadasz do wehikułu czasu i udajesz się w podróż, by dowiedzieć się, kiedy umrzesz. I oto dowiadujesz się, że wtedy a wtedy wypadniesz z dziesiątego piętra. Wyjeżdżasz więc tego roku na wieś, gdzie nie ma tak wysokich budynków, no i wyniknie sytuacja, że niby umarłaś, a w gruncie rzeczy nie umrzesz. A skoro nie umrzesz, to

będziesz żyła. A skoro będziesz żyła, to w przyszłości istnieją dwie Julki Gribkowe. To tak niesamowita komplikacja, że lepiej o tym nie myśleć. Dlatego podróże w czasie są kategorycznie zabronione i w przeszłość mogą udawać się wyłącznie uczeni specjalnie przygotowywani do tego przez wiele, wiele lat. A z przeszłości do przyszłości nie wolno podróżować nikomu, pod żadnym pozorem.

– Teraz rozumiem – powiedziała Julka. – Nawet mnie strach obleciał.

– Czemu?

– A jeśli skorzysta z tego wehikułu jakiś bandyta? Skoczy sobie w przyszłość, ograbi kogoś, wróci – i dalejże, do Soczi, na wczasy. A gdyby padło podejrzenie, że to on jest rabusiem, odpowie spokojnie: nic podobnego, przez cały czas odpoczywałem sobie w Soczi.

– Widzę, że zrozumiałaś. To pocieszające.

Jula nie poczuła się dotknięta tą uwagą. Nie wszystko jednak rozumiała do końca.

– Jakim cudem – spytała – mogło się zdarzyć, że chłopak z szóstej klasy posłużył się wehikułem?

– To właśnie jest dla mnie tajemnicą. Wehikuł stoi w pewnym mieszkaniu, czuwa przy nim specjalny człowiek, który nigdy nie dopuści nikogo obcego.

– I dopuścił?

– Nie było go tam. W ogóle nie było nikogo.

– A gdzie się podział?

– Żebym to ja wiedziała. Lepiej opowiem ci wszystko po kolei. Na czym to stanęłam?

– Jak zobaczyłaś w Zoo napis na oparciu ławki i domyśliłaś się, że musiał to zrobić jakiś chłopak z przeszłości. A może po prostu ktoś zrobił taki kawał?

– Wykluczone. Czyżbyś naprawdę myślała, że za sto lat znajdzie się na Ziemi człowiek, który mógłby pociąć nożem oparcie ławki tylko dlatego, by zostawić na nim swój podpis?

– Mam nadzieję, że nie.

– A ubranie? Poza tym u nas nie ma podziału na klasy. W naszych szkołach są tylko sekcje według zainteresowań.

– Pewnie na twoim miejscu pomyślałabym to samo.

– Stałam obok ławki i zastanawiałam się, co robić dalej. Wszczęć alarm? Przyznać się, że zginął cenny przyrząd? A kto winien? Ja. No i stchórzyłam.

– Stchórzyłaś?

– Tak, jestem okropnym tchórzem. Stchórzyłam i postanowiłam, że pobiegnę do Instytutu Czasu, złapię tam chłopaka, odbiorę myelofon, a później zdecyduję, co dalej.

– Głupia decyzja. Gdybyś zadzwoniła, złapałiby go bez twego udziału.

– Wiem, że to głupia decyzja, ale było mi bardzo wstyd, że się tak zachowałam: jeździłam sobie na brontozaurze, a myelofon zostawiłam na ścieżce. Jak nie przymierzając jakiś niemowlak!

– To u was niemowlaki jeżdżą na brontozaurach?

– Przesadziłam. Niemowlęta są u nas takie jak wszędzie: leżą w kołyskach i machają rączkami.

– A czy u was nie istnieje akceleracja?

– Cóż to za zwierz?

– W naszych gazetach piszą o akceleracji. Podobno kiedyś dzieci były mniejsze i rozwijały się później. Ja mam dwanaście lat, a jestem wyższa od mojej babci,

– Nie wiem, nie słyszałam. Moja babcia jest wyższa ode mnie o głowę.

– Opowiadaj dalej, niedługo już zacznie świtać.

– Sprzykrzyło ci się słuchanie?

– Coś ty, skądże!

– Flipnęłam do Instytutu Czasu, patrzę – zamknięty. Przypomniałam sobie, że to święto. Obiegrałam go wokół w poszukiwaniu jakiegoś zapasowego wejścia, nagle widzę wybite okno. Zrozumiałam wówczas, że intuicja mnie nie zawiodła – on jest tutaj.

– A piraci? Fałszywy Alik i grubas?

– Wtedy jeszcze nie przyszło mi to na myśl. A powinno było, przecież chłopiec nie zdołałby wybić szyby. Została stopiona. Wdrapałam się przez okno i pobiegłam na pierwsze piętro. Wiedziałam, gdzie znajduje się pracownia do badań przeszłości – byłam tam kiedyś z jednym moim znajomym. Wpadam do pracowni i cóż widzę – kabina zajęta, w ruchu, przyrządy wskazują translokację ciała na stację pośrednią „1981” rok. On! Jak tylko translokacja została zakończona – biegiem do kabiny. Dobrze, że znam zasady posługiwania się nią...

– No, że ty znasz, to nic dziwnego, ale skąd Kola wiedział, jak się nią posłużyć?

– Tam jest wszystko napisane. Pewnie nie spieszył się, przeczytał dokładnie. Zresztą najlepiej jego zapytać. Chciałam już rozpocząć własną translokację, a tu drzwi do pracowni otwierają się i ktoś wchodzi. Myślałam, że to badacz czasu z tej pracowni. Co począć? Zatrzymać maszynę, wyjść i tłumaczyć się: chłopiec zabrał myelofon, więc ja, przepraszam, że bez pozwolenia, ale spieszyłam się bardzo... Wyprawiliby mnie do domu, a sami zaczęli się odpowiednio przebierać, przygotowywać... Tymczasem Kola zdążyłby schować aparat i zniknąć. Dlatego też nie czekałam, aż mnie wyciągną z kabiny. Jak wrócę odniósłszy sukces, wtedy mogą mnie sądzić! Julka, czy bardzo mnie potępiasz?

– Nie. Zrobiłabym to samo na twoim miejscu.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz. Tak więc dokonałam własnej translokacji i znalazłam się w twojej współczesności. Wychodzę z kabiny – puchy. Nie ma ani chłopca, ani naszego przedstawiciela – nikogo. Zaglądam do drugiego pokoju – też ani żywej duszy. Bałagan, łóżko nie zaścielone. Nagle wydało mi się, że trzasnęły drzwi wejściowe. Pędzę na podest – nikogo. Dokąd mógł pobiec? Na dół, na ulicę?

– I co, pobiegłaś za nim?

– Tak. Zbiegłam na dół. Nie zdążyłam wyjść z bramy, gdy usłyszałam, że drzwi od tego mieszkania znów się otwierają i ktoś krzyczy z góry: „Dziewczynko, stój!”

– Z Instytutu Czasu – domyśliła się Julka.

– Ja też myślałam, że to badacze. Teraz dopiero wiem, że to byli piraci. Wtedy miałam pustkę w głowie jak nie dmuchnę z bramy, jak nie puszcze się ulicą. Pędzę, nie oglądając się – wiem, że mnie ścigają. Całkiem straciłam kontrolę nad sobą.

– Też bym zgłupiała – wtrąciła Julka.

– Przebiegłam tak ze dwa kwartały – wydało mi się, że to on idzie ulicą. Buch za nim. I wtedy jak nie gruchnę głową w trolejbus – szczęście, że nie wpadłam pod koła.

– Twardą masz głowę.

– Nie wyobrażasz sobie, jak mnie bolało.

– Wyobrażam sobie. Mnie wycinali wyrostek pod znieczuleniem miejscowym. To znacznie gorsze od walenia głową w trolejbusy.

– Jak dla kogo...

– A dlaczego teraz sądzisz, że to oni cię ścigali?

– Dziś, kiedy weszli do naszej sali, nie od razu ich poznałam. Dopiero później zorientowałam się, że na pewno maczali palce w tej sprawie. To oni ukradli torbę, dlatego Kola wołał: „Łapaj!”

– Ale czemu krzyczał?

– Spostrzegł, że porwali torbę, więc zaczął krzyżeć. Piraci najwidoczniej musieli mnie obserwować.

– Po cóż mieliby cię śledzić? Przecież jesteś jeszcze małą dziewczynką.

– Dla jednych tak, a dla innych najgorszym wrogiem. Kiedyś opowiem ci, jak wojowałam z tymi piratami po całej Galaktyce.

– Oj, Alicjo, lubisz czasem koloryzować...

– Jak tu z tobą rozmawiać, skoro nie wierzysz w najprostsze rzeczy!

– A niby dlaczego mam we wszystko wierzyć? Owszem, wierzę, że jesteś z przyszłości, wierzę w to, co mówiłaś o Koli, ale w autobusy, które w pięć minut przejeżdżają z jednego końca Moskwy w drugi, nie ruszając się przy tym z miejsca – daruj, absolutnie nie mogę uwierzyć! Ani też w piratów. Nawet w moich czasach nie ma już piratów. Więc jakim cudem pojawią się za sto lat? Zostaną wyhodowani jak brontozaury, żeby wam nie było nudno?

– Wcale nam nie nudno bez piratów. Przecież to nie są ziemscy piraci, tylko obcy przybysze. Wyobrażasz sobie, ile jest planet w Galaktyce, nie wszystkie przecież są cywilizowane. Bywają rozmaite. I nikt piratów nie hodował – sami się wylęgli, a my musimy z nimi walczyć. Myślisz, że za sto lat będą płynąć mleczne rzeki między brzegami z kisielu, a ludzie będą leżeć pod drzewami czekając, że wiśnie same im wpadną do ust? Jesteśmy wszyscy ogromnie zapracowani – mamy taki huk roboty, że nawet sobie nie wyobrażasz...

– No dobrze, przekonałaś mnie. Choć, jeżeli piraci naprawdę istnieją, to twoi badacze z Instytutu mogliby być trochę czujniejsi. A tak – napuścili nam piratów, mamy dość swoich chuliganów, brakuje nam tylko rozbójników z przyszłości.

– My nikogo nie podrzucamy. Trafili do was przypadkiem, ścigając Kolę. To wszystko przez niego.

– Przecież mówiłaś, że Kola ich gonił...

– Bo widział, jak gwizdnęli moją torbę. Rozumiesz, mimo że niezdyscyplinowany i prymitywny, nie jest przecież złodziejem ani bandytą...

– W naszej klasie nie ma takich.

– No widzisz. Przypuszczam, że udało mu się w jakiś sposób odzyskać torbę. Ludzie na przystanku widzieli go z torbą.

– Więc czemu ci jej nie zwrócił?

– Ponieważ role się zmieniły. Teraz piraci ścigali jego. Żeby się ich pozbyć, wskoczył do drugiego autobusu. Gdzie miał się później ukryć? Widać deptali mu po piętach. Postanowił zatem wrócić do swojej epoki.

– A oni za nim?

– Tak, lecz go nie dogonili. Może zabłądzili w Instytucie, to ogromny budynek. To ja zaprowadziłam ich niechcący do pracowni. Zobaczyli tam wehikuł czasu. Ruszyli w pogoń za mną w nadziei, że teraz zaprowadzę ich prosto do Koli, że go znam. A tymczasem wpadłam pod trolejbus i wszystko się skomplikowało.

– A po co piratom myelofon? – spytała Julka.

– Doprawdy się nie domyślasz? Mają niełatwe życie. Stracili nawet swój ostatni statek. Muszą

się ukrywać, a im potrzebne skarby i przyjemności. I gdy tylko zorientowali się, iż jestem w posiadaniu myelofonu, natychmiast postanowili go ukraść... A ja, ofierma, nietrafek...

– Co takiego?

– No, nietrafek, takie pisklę żyjące na Zmoromie-2. Trudno je karmić, nigdy nie może trafić dziobem w pokarm.

– Wiesz, co trzeba zrobić? Trzeba iść do szkoły i zapytać wszystkich trzech chłopców, który zabrał z przyszłości aparat – oświadczyła Jula.

– Jak mam niby to zrobić, skoro leżę tutaj?

– Trochę cierpliwości, pójdę do szkoły i wypytam za ciebie.

– O nie, nie wolno. I tak już naruszyłam tajemnicę. A to jest wielkie przestępstwo. Jeśli ty zaczniesz zadawać pytania, okaże się, że w dodatku jestem papłą. Nie, muszę to załatwić sama. Ty też niczego byś się ode mnie nie dowiedziała, gdyby nie ta historia z piratami. Rozumiesz, jak bardzo skomplikowała się sytuacja?

– Tak, rozumiem... Ale czego oni chcą od ciebie?

– Myślą, że wiem, gdzie znaleźć Kolę. Wykradliby mnie i zmusili, bym ich do niego zaprowadziła. W ogóle jako zakładniczka stanowią dla nich bezcenny skarb.

– Och, znów przesadzasz z tym skarbem...

– Przestań, Julka. Są sprawy, których nie jesteś w stanie zrozumieć.

Julka nie upierała się. Spytała tylko:

– Wrócą tu? Jak myślisz?

– Bez wątpienia.

– Ale teraz zmądrzałyśmy i tak łatwo im z nami nie pójdzie.

– Muszę przyznać, że skakać umiesz fantastycznie. Wesołkowi Ypsilon zostaną szramy do końca życia.

– Wcale go nie żałuję.

– No co, śpimy?

– Tak, tak... Rano zastanowimy się, co robić.

BUTY DOKTORA ALIKA

Julka była pewna, że nie zaśnie. Myślała, rozmyślała, a potem się obudziła.

Okazało się, że na dworze już biały dzień. Ale gdzie ona się znajduje? Ach, prawda – w separacie. Separatka była nieduża, dwuosobowa. Za oknem widać było wierzchołek drzewa, a na nim wronie gniazda. Jula odwróciła głowę – Alicja nie spała.

– Dzień dobry – odezwała się, widząc, że Julka już nie śpi. – Jak ci się spało? Nie dręczyły cię koszmary?

– Mnie nigdy nic dręczą koszmary.

– I nie śnili ci się piraci kosmiczni, goście z przyszłości ani inne fantastyczne bajdy?

– Nie.

– Ja się już umyłam, uczesałam. Czas zmykać ze szpitala, póki nic się jeszcze nie zdarzyło.

Julka gwałtownie usiadła na łóżku.

– Kiedy oni wrócą?

– Jestem zdumiona, że dotąd jeszcze nie wrócili. Może nie wiedzą, gdzie nas szukać.

– Albo liżą rany.

– Wiesz co, Jula, pomyślałam dziś rano? Że po przebudzeniu na pewno dojdiesz do wniosku, że ci się wszystko przyśniło.

– I co wtedy?

– Nie wyprowadzałabym cię z błędu.

– Nie traćmy słów na próżno. Trzeba działać.

– To mi się podoba. Masz jakiś pomysł?

– Nie umiem myśleć w czasie snu. A niektórzy potrafią. Fima Korolow z naszej klasy nawet zadania rozwiązuje we śnie. Kładzie podręcznik pod poduszkę i rozwiązuje.

– Niepotrzebnie go kładzie pod poduszkę. Podręcznik nie ma tu nic do rzeczy. Mówiłaś, że w klasie jest trzech chłopców o imieniu Kola. Opowiedz mi o nich. Który z nich mógłby to zrobić?

– Zastanawiałam się nad każdym po kolei. To chyba musi być Kola Sadowski.

– Dlaczego?

– Jest lekkomyślny, źle się uczy, lubi blagować i w ogóle bezczelniak.

– Jaki?

– Bezczelniak. No, zuchwalec, rozumiesz?

– A tamci dwaj są poza podejrzeniami?

– Czy można ręczyć za chłopaków?

– Za niektórych można.

– Za naszych ręczyć nie będę. Jest jeszcze Kola Naumow. To sportowiec, hartuje się, zimą sypia na balkonie w śpiworze. Przyjaźni się z Katią Michajłówną, to taka sportowa przyjaźń.

– A trzeci?

– Trzeci to Kola Sulima. Owszem, owszem, ten by pasował. Interesuje się bardzo serio matematyką, jest członkiem towarzystwa naukowego w planetarium. Wiesz, kim chce zostać? Konstrukctorem statków kosmicznych... poza tym świetnie gra w szachy, najlepiej ze wszystkich w klasie. Ale za niego też nie dam głowy.

– Ten Kola Sulima pewnie bardzo chętnie obejrzałby statki kosmiczne przyszłości, jak sądzisz?

– Och! Rzeczywiście! Nie pomyślałam o tym. Nie, nie mogę ręczyć za nikogo. Chcesz, to porozmawiam z nimi.

– Wykluczone! Już ci mówiłam. Nie wiesz o niczym! Idź się umyj. Umywalka jest za przepierzeniem.

Gdy Julka się myła, zajrzała Maria Pawłowna.

– Jak się spało na nowym miejscu? – spytała.

– Dziękuję, dobrze – odparła Alicja. – Czy w naszej sali wstawiono już szybę?

– Jeszcze nie. Nie było szklarza. Gribkowa, pamiętasz o tym, że się dziś wypisujesz?

– Tak, przyjdzie po mnie babcia.

– A kiedy mnie wypiszą? – spytała Alicja.

– Zaraz przyjdzie doktor, on zadecyduje. Ale gdzie ty się podziejesz, dziecko?

Maria Pawłowna umilkła, jak gdyby czekając, że dziewczynki napomkną coś o nocnych przejściach. Milczały jednak jak zakłete. Nawet się nie uśmiechnęły. W końcu nie wytrzymała:

– Bardzo się przestraszyłyście wczoraj wieczorem?

– Czego?

– No, kiedy szyba wypadła.

– Nie, wcale – spokojnie odparła Alicja. – Czasem huragan bywa jeszcze silniejszy. Czytałam kiedyś, że porwał cały dom z dziewczynką i jej pieskiem i przerzucił przez górski grzbiet.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Maria Pawłowna.

– Ja również o tym czytałam – potwierdziła Julka ze szczoteczką do zębów w ustach. – „Szaeou ou”.

Alicja domyśliła się, iż Julka chciała powiedzieć: „Czarodziej ze Szmaragdowego Grodu”.

W tej chwili drzwi otworzyły się na oścież i ukazał się w nich doktor Alik Borysowicz.

– Cześć, pogorzelnicy – zawołał od progu tubalnym głosem.

I przystanął zdumiony, bowiem na jego widok Maria Pawłowna rozłożyła szeroko ramiona i osłoniła nimi Alicję niczym kwoka wysiadująca jajka. Alicja stanęła na łóżku i przytuliła się do ściany, zaś Julka o mały włos nie połknęła szczoteczki do zębów, puszczając z ust bańki z miętowej pasty.

– Co się tak na mnie gapicie jak na ducha ojca Hamleta? – spytał Alik Borysowicz.

Julka wlepiła wzrok w jego buty: na prawej nodze tkwił lewy but, na lewej zaś prawy. To był fałszywy Alik!

– Niech pan się nie waży zbliżać do dziewczynek! – zawołała Maria Pawłowna. – Dość mam nocnych przeżyć. Albo natychmiast wezwę milicję!

Julka wypłuła szczoteczkę do zębów na podłogę i wykrzyknęła szczerząc białe od pasty zęby:

– Buty! Alicjo, spójrz na jego buty!

Alik również popatrzył na swe buty.

– No, mam za swoje – jęknął, przysiadując na piętach. – A ja się cały czas zastanawiam,

dłaczego mi się od rana tak niewygodnie chodzi? Niechże mi damy wybaczą, że się przy nich rozbieram. Widocznie szykuję się na wielkiego człowieka. Roztargnienie już jest, talenty się objawiają.

Alik rozsznurował buty, zrzucił je, postąpił chwilę w samych skarpetkach, potem niezbyt zgrabnie krzyżując nogi wsunął je do butów, tym razem prawidłowo – prawą do prawego, lewą do lewego. Jeszcze raz przykucnął i zaczął je zasznurowywać.

– Mimo wszystko – mówił dalej – moje roztargnienie to nie powód do paniki, jaka ogarnęła całe zacne towarzystwo. Co w moim wyglądzie tak was przeraziło? Czyżby człowiek w butach założonych nie na tę nogę był straszliwszy od smoka?

Alicja siadła z powrotem na łóżku.

– Myj się dalej, Julka – powiedziała spokojnie. – Cała jesteś umazana pastą.

– Ale buty...

– Przecież już je zamienił. Normalnie. Rozumiesz? To jest prawdziwy doktor.

– Prawdziwy? – spytał Alik. – Najprawdziwszy z prawdziwych. Dopiero co ściągnęli ze mnie składki związkowe za trzy miesiące. Gdyby były wątpliwości, wzięliby najwyżej za dwa. Mam rację?

– W ogóle by nie ściągnęli – odparła Alicja. – Jak się panu podobał film?

– I o tym wiecie? Film był nudny, za to reszta wspaniała. Czy to chciałyście wiedzieć?

– Przepraszam, Aleksandrze Borysowiczu – włączyła się Maria Pawłowna. – Proszę, niech pan mi powie, ale tak z ręką na sercu: czy wczoraj późnym wieczorem wrócił pan do szpitala?

– Ależ Mario Pawłowna, pytała mnie już pani o to wczoraj o wpół do dwunastej w nocy!

– Tak... niemniej jednak...

– Co się stało? Przychodzę do pracy, zaglądam do moich dwóch miłych mądralek – sala pusta. Jak gdyby wichurą je wywiało. Szyba rozbita, drzwi wyrwane. Czyżby nocą szalał tu huragan?

– Myślę, że to był szkwał. Albo trąba powietrzna – wyjaśniła Alicja. – Julka tak się wystraszyła, że zaczęła głośno krzyczeć i pospadałyśmy z łóżek. A Maria Pawłowna miała halucynacje.

– Halucynacje? – zdziwił się Alik. Skończył sznurować buty i, już wyprostowany, patrzył z dumą na swoje dzieło.

– Nie jestem niczego pewna – oświadczyła z całą powagą Maria Pawłowna. – Muszę zajrzeć do literatury fachowej na ten temat. Być może na skutek przemęczenia wydało mi się, że przyszedł pan tu wczoraj wieczorem wraz z ojcem tej dziewczynki. I nalegał pan, bym natychmiast przygotowała wypis Alicji.

– I pani się zgodziła?

– Skądże, nie chciałam się zgodzić, ponieważ byłoby to wbrew obowiązującym przepisom. Jednakże... Ale co ja plotę? Musiałam zasnąć, zdrzemnąć się na dyżurze, złamałam przepisy. Wszystko to moja wina, wyłącznie moja, jestem gotowa ponieść wszelkie konsekwencje.

– A gdzie był lekarz dyżurny? – spytał Alik. – Kto miał dyżur?

– Timofiejew. Ale nie było go. Spał w kotłowni. A może to też mi się przyśniło? – Maria Pawłowna załkała głośno i wybiegła z separatki.

Julka zrobiła oko do Alicji. Wszystko poszło po ich myśli. I tak nikt nie uwierzyłby w prawdę, a powstałoby takie zamieszanie, że nie byłoby co marzyć o odzyskaniu aparatu.

– No, Julka – powiedział Alik. – Musisz się pożegnać z Alicją. Będiesz ją odwiedzać?

– A długo tu zostanie?

– Niedługo ją wypiszemy. Bardzo niedługo. Jeszcze jeden mały wysiłek i zakończę moją kronikę. Ale dużo zależy od samej Alicji. Jeśli nie przypomni sobie, gdzie mieszka, to dokąd ją mamy wypisać?...

„Dobrze ci gadać – pomyślała Julka. – Przypomnieć sobie, wsiąść do trolejbusu i – jazda do domu. Owszem, Alicja przypomniała sobie, ale czy to coś zmienia? Może sobie nawet tysiąc razy przypominać, niczego to nie ułatwi.”

– Niech pan ją wypisze do mnie – powiedziała z determinacją.

Alik wyszedł. Salowa przywiozła na wózku śniadanie. W kaszy były grudki, Julka odłożyła łyżkę, zaś Alicja odezwała się:

– Ja w ogóle nie cierpię manny. Z grulkami czy bez. Teraz jednak zjem śniadanie, trzeba nabrać sił.

– Ja już dziś będę jadła w domu. Moja babcia nieźle gotuje i okropnie lubi, żeby ją chwalić.

Alicja z obrzydzeniem dojadła kaszę. Wyraźnie straciła humor. Spojrzała w okno. Siąpił drobny deszcz.

– Będę musiała znaleźć sobie kryjówkę – westchnęła.

– Gdzie?

– W jakimś odpowiednim miejscu. A ty będziesz mi przynosiła jedzenie.

– Przecież jest zimno.

– Jestem zahartowana. Nie boję się przeziębienia.

– Wszystko jedno. Gdzie chcesz się ukryć?

– Gdzieś w lesie.

– A ja będę tracić dwie godziny dziennie na dojazdy pociągiem?

– Ciągle zapominam, jak wy się wolno przenosicie z miejsca na miejsce.

– Przestań już z tym „my” i „wy”. Nie wprowadzaj takich podziałów. Może ja jestem twoją babcią? Choćby cioteczna. I jako babcia oświadczam: nie pozwolę ci siedzieć w lesie, moknąć na deszczu i marznąć.

– Nie chcesz przywozić mi jedzenia – to bez łaski. Sama sobie poradzę. I odnajdę Kółkę bez twojej pomocy.

– Proszę bardzo. Z twoim uporem nie tylko Koli, ale nawet pomnika Jurija Dołgorukiego nie znajdziesz.

– Załatwione. Nie znamy się. O niczym ci nie opowiadałam. Nawet jeśli zaczniesz paplać i tak nikt ci nie uwierzy.

– Nie mam zamiaru paplać. Nie bój się.

No i pokłóciły się na dobre. Nawet gdy Maria Michajłowna, babcia Julki, przyszła do szpitala po swą wnuczkę, Julka z Alicją w ogóle na siebie nie patrzyły.

– Słyszałam, dziewczynki – powiedziała babcia – że się wystraszyłyście w nocy. A u nas nie było żadnego huraganu. Piękna pogoda. Ostatnio klimat zrobił się wprost nieznośny. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby w czerwcu spadł śnieg, a jutro dał się nam we znaki trzydziestostopniowy upał. Twoje rzeczy, Julka, zostały w tamtej sali?

– Tak.

– Zaraz je przyniosę. Ty na razie pobieraj swoje drobiazgi tutaj – szczoteczkę do zębów i tak dalej. A czemu Alicja taka smutna? Przykro ci, że zostaniesz sama?

Alicja nie odpowiedziała.

Babcia przyniosła książki, zeszyty i inne rzeczy Julki, i układając je w walizeczce, zwróciła się do Alicji:

– W lodówce został pasztet i pasta serowa. Nie zapomnij zjeść tego dzisiaj, do jutra może się zepsuć. Dogadałam się z salową, że ci wszystko pokaże. Słyszysz mnie?

– Słyszę – odrzekła Alicja, nie patrząc na babcię.

Maria Michajłowna poczuła się trochę urażona. Skoro ktoś odnosi się do ludzi serdecznie, ma prawo oczekiwać wzajemności. Na tym, jej zdaniem, powinny opierać się stosunki między ludźmi. Tego również uczy Julkę. Z zawodu była inżynierem, nawet oficerem wojsk chemicznych, i ukończyła akademię. Gdy miała już własne dzieci, Nataszę, potem syna, też nie zrezygnowała z pracy. Bardzo pragnęła poświęcić więcej troski wychowaniu dzieci, nigdy jednak nie starczało jej czasu. Za to po przejściu na emeryturę mogła poświęcać tyle uwagi wychowaniu Julki, na ile pozwalało jej ciśnienie. Wprawdzie Julka nie zawsze była posłuszna, bardzo jednak swoją babcię kochała i rzadko dochodziło między nimi do sprzeczek.

– Odwiedzę cię jutro, chyba po obiedzie – powiedziała do Alicji. – Przyniosę pomarańcze. I coś lekkiego do czytania.

– Dziękuję, proszę nie robić sobie kłopotu – odparła Alicja. – Karmią tu dobrze.

– Nie gadaj głupstw, Alicjo. Nie mam zamiaru uprawiać filantropii. Ale dziecku potrzebna jest opieka. Dopóki nie odzyskasz pamięci i nie zabiorą cię rodzice, będziemy cię odwiedzać z Julką i Nataszą. To żaden kłopot. Mam nadzieję, że gdyby coś takiego przydarzyło się Julce, też byś ją odwiedzała.

– Dziękuję – powiedziała Alicja.

„Pewnie ci teraz wstyd – pomyślała Julka. – Wyszłaś na kłamczuchę, a babcia martwi się o ciebie”. Pomyślała to jednak bez złości. Zdawała sobie sprawę, że gdyby się znalazła na miejscu Alicji, też nie wiadomo, co by zrobiła. Możliwe, że zaczęłaby beczeć i uciekła w te pędy do domu.

– Ja też przyjdę – powiedziała. – Musimy jeszcze porozmawiać.

– Przyjdź – zgodziła się Alicja obojętnie, jakby tylko przez uprzejmość.

„Nie wierzy – zrozumiała Julka. – Myśli, że po wyjściu stąd o wszystkim zapomnę.”

Alicja pożegnała się z nimi uściskiem dłoni. Chciała coś powiedzieć i nagle zmieniła zdanie. Nie płakała, ale oczy miała mokre.

„Ojej, co ja robię – gnały myśli po głowie Julki. – Czy można tak porzucić kogoś, kto pokładał w tobie nadzieję?”

– Pożegnałaś się już? – spytała Maria Michajłowna.

– Wróć tu – przyrzekła Julka Alicji. – Słyszysz?

– Do widzenia – odpowiedziała Alicja.

Gdy obie z babcią oddaliły się od separatki na tyle, że nikt ich nie mógł usłyszeć, Julka zatrzymała się, położyła na parapecie teczkę z książkami:

– Poczekaj, babciu.

– Ciężko ci? Daj, poniosę.

– Nie, wcale mi nie ciężko. Po prostu mi wstyd.

– Co się znów stało?

– Wstyd mi za nas obie.

– Nie zrobiłam nic haniebnego.

– Zrobiłaś. A raczej nie zrobiłaś i dlatego zrobiłaś.

– Może przestaniesz mówić zagadkami?

– Dobrze. Zostawiłyśmy Alicję samą.

– Nieprawda, na pewno przyjdę do niej jutro. A dziś ma wpaść do niej po pracy Natasza. O ile tylko nie będzie miała kolokwium. Ty posiedzisz ze dwa dni w domu, a potem też możesz ją odwiedzać sama, kiedy zechcesz. A nawet przyprowadzać ze sobą koleżanki.

– To za mało, babuniu.

– Więc co proponujesz?

– Zabierzmy Alicję.

– Dokąd?

– Do naszego domu.

– Ty chyba kompletnie zwariowałaś, Julka! Nie pomyślałaś, że Alicja jest chora, przeszła wstrząs mózgu i straciła pamięć? Wymaga fachowej opieki lekarskiej... Bierz teczkę, idziemy.

Pożegnały się z Alikiem, Szurą oraz resztą personelu i poszły po wypis. Gdy odbierały rzeczy Julki, otworzyły się drzwi i wbiegła jej mama, Natasza.

– O, jak się cieszę, że was jeszcze zastałam! – wykrzyknęła.

– Nie będziesz miała przykrości, że wyszłaś z pracy? – spytała Maria Michajlowna.

– Nie, zwolniłam się. Pośpieszcie się, taksówka czeka.

Julka była już ubrana.

– Nie masz ochoty iść? – spytała Natasza.

– Postanowiła koniecznie zabrać ze sobą Alicję – wyjaśniła babcia. – Jakbyśmy to my rządziły w szpitalu.

– Dobra myśl – powiedziała Natasza. – Mnie już wcześniej przyszła do głowy. Jak tylko Alicja wydobrzeje, weźmy ją na jakiś czas do siebie.

– Nie mam nic przeciwko temu. Ale przecież nie dziś.

– Więc się zgadzasz? – ucieszyła się Julka.

– Oczywiście – odparła babcia. – Ale teraz chodźmy. Taksówka czeka.

– Mamuńku kochana, mam do ciebie wielką prośbę – przerwała jej Julka.

– No, mów.

– Wstąp jeszcze do Alicji. I oddaj jej kartkę ode mnie.

– Alicja może poczekać do jutra, nic jej się nie stanie – powiedziała babcia.

– Nic nie rozumiesz. To bardzo ważne. Mamo, mogę ci coś szepnąć na ucho?

Babcia wzruszyła ramionami.

– Zaczekam w taksówce. Jaki numer?

– Nie pamiętam. Kierowca taki czarniawy, z wąsami.

Julka odciągnęła Nataszę pod ścianę i wyznała głośnym szeptem:

– Alicja nie może tu zostać! Grozi jej niebezpieczeństwo.

– Julka, znowu fantazjujesz?

– Mamo, musisz mi uwierzyć. Prawie nigdy cię nie okłamuję.

– Moim zdaniem tak być powinno.

– Więc uwierz mi, błagam. Idź teraz do Alicji. Nie zostawiłam jej nawet naszego adresu ani telefonu. Może się zdarzyć, że Alicja będzie zmuszona uciekać stąd. I dokąd ucieknie? Otóż chcę, żeby uciekła do nas. Rozumiesz?

– Rozumiem, że wzajemny szacunek to najważniejszy element w stosunkach pomiędzy rodzicami

a dziećmi. Napisz swój list. Proszę, masz kartkę i pióro. A może poprosimy siostrę, by jej doręczyła?

– O nie, nie. Może to wcale nie będzie siostra!

– Ależ ty masz bujną wyobraźnię!

– Niestety, to nie wyobraźnia. Bardzo ważne również, żebyś to ty zaprosiła Alicję. Co innego, gdy zapraszam ja, a co innego, gdy robi to moja mama.

– W porządku. Zgoda.

– Jesteś cudowna, mammo!

– I na tym zakończymy.

Julka napisała na karteczce wyrwanej z maminego notesu:

„Alicjo! Mój numer telefonu: 145-55-67. Adres: Zaulek Ostrowskiego 16. Ze szpitala trolejbus 15 do przystanku „Dom Naukowca”, mieszkanie 29, w podwórzu. Oczekuję cię w każdej chwili. Do szkoły idę za trzy dni. Na razie wybadam delikatnie dziewczęta, czy któryś Kola nie zachowuje się podejrzanie. Zrobię to bardzo ostrożnie, bądź spokojna. Z moimi staruszkami już wszystko dogadane. Są naprawdę kochane. Twoja Jula. List spal.”

UCIECZKA

Po wyjściu Julki odbyło się konsylium. Alicję badał profesor w asyście innych lekarzy, których poprzednio Alicja nie widziała. Zaglądali jej do oczu, kazali liczyć i zadawali chytne pytania, które zbywała byle czym. Myślała o czymś zupełnie innym: przypatrywała się podejrzliwie lekarzom, a nuż kryje się między nimi pirat Krys? Wiedziała, że piraci nie rezygnują tak łatwo ze swych planów. Można sobie wyobrazić, jaki skarb stanowiłby dla nich aparat odczytujący cudze myśli! Nic by się przed nimi nie ukryło. Okropność! I wszystkiemu byłaby winna Alicja.

Lekarze rozeszli się nie uzgodniwszy orzeczenia.

Pozwolili tylko Alicji wstawać z łóżka.

Na razie została sama w separacie. Przepadł gdzieś ślusarz, nie wstawiono też szyby w jej dawnej sali. Wszyscy chodzący pacjenci, a nawet lekarze urządzali tam wycieczki nie mogąc wyjść z podziwu, że przespali taki huragan!

W separacie było lepiej. Być może piraci nie połapali się jeszcze, dokąd ją przeniesiono? Alicja przeczytała list od Julki kilkakrotnie, ucząc się adresu i telefonu na pamięć. Natasza zostawiła jej pięć dwukopiejówek, aby mogła zadzwonić z automatu przy schodach. Dzięki temu Alicja weszła w posiadanie prawdziwie zabytkowych monet. Żal jej było wydawać – jeden z jej znajomych zbierał monety i całkiem możliwe, że takich nie miał w swoim zbiorze.

Następnie podarła list na drobne strzępki.

Po południu poszła na telewizję. Oglądanie dawnych audycji mogło być pouczające. Skoro już miała zamiar zatrzymać się tu, póki nie odnajdzie Koli, powinna się przyjrzeć, jak się ludzie ubierają, chodzą po ulicach i tak dalej.

Alicja, usiadłszy w holu, oglądała telewizję. Szedł właśnie „Klub przygody i podróży”. Zapatrzyła się na film o Afryce. Była to Afryka jeszcze bez Wielkiego Kanału Saharyjskiego, o suchym klimacie. Wokół, nie odrywając oczu od ekranu, siedzieli inni pacjenci. Wtem usłyszała, że z tyłu ktoś się do niej zbliżył. Odwróciła się szybko i zobaczyła wysokiego chudego chłopca o bladej twarzy. Miał nogę w gipsie, ciężko wspierał się na szczudle.

– Czy mogę tu usiąść? – spytał cicho.

– Proszę bardzo, miejsce jest wolne – odparła.

Chłopiec niezgrabnie osunął się na fotel, szczudło położył obok siebie. Alicji żal się go zrobiło. Wiedziała już, że dawnymi czasy złamanie nogi wymagało przynajmniej miesięcznego pobytu w szpitalu, dopóki kość sama się nie zrośnie. Nie było jeszcze prostych leków powodujących zrośnięcie się kości w ciągu jednego dnia i zablizniających rany w pół godziny.

Chłopiec odwrócił się z trudem, krzywiąc się przy tym boleśnie.

– Boli? – spytała Alicja.

– Chwilami. Nie zwracaj na mnie uwagi. Oglądaj film.

Audycja skończyła się, następna nie była już tak ciekawa. Alicja i chłopiec zaczęli rozmawiać.

– Normalnie mam wilczy apetyt – powiedział chłopiec. – Za jednym posiedzeniem mógłbym opchnąć konia z kopytami. Albo dwadzieścia kotletów. A tu nie mam za grosz apetytu.

– A na co miałbyś apetyt?

– Można pomarzyć na pełny gaz?

– Na jaki gaz?

– To takie powiedzonko. Nie znasz go?

– Nie.

– Zjadłbym teraz truskawek albo banana.

– W której jesteś sali?

– W czwartej. A bo co?

Alicja nic nie odrzekła. Julka zostawiła przecież w lodówce truskawki. Chciała jednak sprawdzić, czy są tam jeszcze, zanim coś obieca.

Podniosła się w chwilę później i poszła zajrzeć do lodówki. Na samym wierzchu stała miseczka z truskawkami.

– Głodna jesteś? – spytała salowa Dusia, widząc, jak szpera w lodówce. – Popsujesz sobie apetyt, niedługo obiad.

– Wezmę tylko truskawki.

Wróciła do holu z miseczką w rękę, chłopca jednak nie zastała. Widocznie też się już znudził.

Poszła więc z truskawkami do czwórki. Sala znajdowała się w końcu korytarza, a dalej, za nią, schody zapasowe prowadzące w dół.

Alicja spostrzegła chłopca nie na sali, lecz właśnie przy schodach. Dawał jej znaki ręką.

– Idę, idę – zawołała. – Zobacz, co znalazłam w lodówce. – Pokazała mu z daleka miseczkę.

Zachowywał się co najmniej dziwnie. Machał cały czas ręką przynaglając ją i w ogóle nie zwracał uwagi na truskawki. Gdy się zbliżyła, odwrócił się nagle w kierunku schodów i krzyknął:

– Tutaj, prędzej!

„Coś się musiało stać” – pomyślała Alicja, przyspieszając kroku. Zapomniała o truskawkach. Niemal biegiem minęła salę numer cztery. Drzwi do niej były lekko uchylone i Alicja mimo woli zerknęła do środka.

Oślupiała.

Chłopiec ze szczudłem właśnie siadał na łóżku.

Spojrzała przed siebie.

Drugi chłopiec przywoływał ją gestem ręki stojąc już na schodach.

Powinna, rzecz jasna, czym prędzej zawrócić i pobiec do salowej, tam włos by jej z głowy nie spadł, ale szkoda jej było truskawek – no cóż, i tak się zdarza!

Dała nura w uchylone drzwi i podbiegła prosto do łóżka, które zajmował chłopiec.

– Masz – powiedziała szybko stawiając miseczkę na prześcieradle. – Miałeś chęć na truskawki.

– Och, nie może być! – wykrzyknął chłopiec. – Dokąd idziesz?

Alicja nie słyszała. Była już przy drzwiach. Wyjrzała na zewnątrz. Na korytarzu pusto. Drugi, fałszywy chłopiec ze szczudłem zniknął.

Prędzej!

Puściła się pędem przez korytarz, nie pomyślawszy, że wrogowie zdążyli już odciąć jej drogę do sali. Zza węgła wyciągnęły się tłuste łapska...

Z powrotem!

Schodów pilnował chłopiec ze szczudłem. Uśmiechał się uśmiechem Krysa i podniósłszy szczudło, wycelował w Alicję. Rzuciła się na podłogę – wiedziała, że szczudło mogło być nabite gazem usypiającym.

Nie myliła się. Szczudło wystrzeliło ze świstem.

Pocisk z gazem przeleciał przez korytarz i trafił w wybiegającego zza węgła Wesołka Ypsilon. Grubas ze straszliwym łoskotem runął jak martwy na podłogę.

– Fkrszp! – wykrzyknął w desperacji Krys, rzucając się do swego kompana. – Jak ja cię teraz wywlokę! – syczał dalej w języku kosmicznym, znanym tu jedynie Alicji.

Wesołek Ypsilon chrapał głośno, jego potworny brzuch trząsł się, nogi podrygiwały, jak gdyby biegł we śnie.

Alicja nie traciła czasu.

Gdy pirat łamał sobie głowę, co począc z nieprzytomnym Wesołkiem Ypsilon, prześliznęła się obok niego, zbiegła nie oglądając się na parter, przemknęła przez jakiś wąski korytarz o mało nie przewracając wózka z obiadami, który salowa pchała w kierunku windy towarowej, i wpadła jak wichur do kuchni.

– Dokąd to? – zawołał kucharz w wysokim białym czepku.

Alicja ujrzała przed sobą drzwi wiodące do magazynu, klucząc przebiegła obok skrzynek i worków z kaszą i znalazła się w szpitalnym ogrodzie.

Ogród był duży, rosły w nim stare lipy i dęby. Liście nie zdążyły się jeszcze rozwinąć, ale pączki były już nabrzmiałe. Głośno krakały wrony. Dzień był słoneczny, ciepły i Alicji zrobiło się gorąco, mimo że była tylko w piżamie i kapciach.

Widziała ten ogród z okna separatki, toteż orientowała się, że do bramy daleko i niebezpiecznie jest biec w szpitalnej piżamie, natychmiast ją złapią. Pomknęła więc na przełaj do murowanego ogrodzenia.

Nie miała pojęcia, czy ktoś ją goni, czy nie. Wystraszyła dwie małe rekonwalescentki spacerujące wolno po mokrej jeszcze ścieżce. Dziewczynki wykrzyknęły chórem: „Och!”, Alicja zaś rzuciła w biegu:

– Nikomu ani słowa!

Dziewczynki uskoczyły w bok, droga do ogrodzenia była wolna.

Mur był stary, wysoki, ale o wystające gdzieś tam cegły dało się oprzeć stopę. W ciągu paru sekund wdrapała się na górę, zeskoczyła z wysokości dwóch metrów i znalazła się w cichym zaułku...

Nikt jej nie zauważył. Po tamtej stronie też panowała cisza.

Alicja ruszyła pod murem, kierując się w lewo, byle od bramy szpitalnej.

TURYŚCI ORAZ INNI WYBAWCY

Szpital, w którym leżały obie dziewczynki, był rejonowy. Dlatego też do domu Julki było stąd niedaleko. Gdyby nie to, że był to szpital rejonowy, wątpliwe, czy mógłby zaistnieć taki zbieg okoliczności, by Jula i Kola uczyli się w tej samej szkole.

Piechotą bocznymi uliczkami idzie się ze szpitala do domu Julki najwyżej piętnaście minut, natomiast gdy ktoś chce jechać trolejbusem, musi wyjść na ludny Prospekt Kalinina, dojść do placu Arbackiego, skręcić na Bulwar i tam wsiąść do trolejbusu. O tym wszystkim Alicja nie wiedziała.

Dotarła do małej cerkiewki na rogu Prospektu i przystanąła. Teraz trzeba wybrać kogoś, kto wszystko jej wyjaśni bez zadawania zbędnych pytań.

Zapomniała na śmierć o swoim stroju. Choć świeciło słońce i było ciepło, ludzie jeszcze nie dowierzali aurze, ubrani byli w płaszcze, niektórzy nawet w jesionki.

Żeby tak znaleźć kogoś młodego. Im młodszy, tym lepiej. Broń Boże nie podchodzić do żadnej babci lub dorosłej kobiety. Dziecko w piżamie działa na takie osoby niczym czerwona płachta na byka.

Niektórzy przechodnie oglądali się za Alicją, kręcili ze zdziwieniem głowami nad jej ubiorem, nikt jednak na razie jej nie zaczepiał. Wtem spostrzegła dwóch młodych mężczyzn w szerokich spodniach, z długimi włosami opadającymi aż na ramiona. Byli nędznie ubrani, na spodniach i koszulach mieli mnóstwo niedbale ponaszywanych łat.

„Tacy z pewnością nie będą zadawać pytań” – pomyślała Alicja.

– Przepraszam – zaczęła, podbiegając do nich. – Gdzie jest przystanek trolejbusu numer piętnaście?

– O co chodzi temu dziecku? – zwrócił się po angielsku jeden z młodych ludzi do swego towarzysza. Alicja, rzecz jasna, po angielsku mówiła tak jak po niemiecku, po niemiecku – jak po francusku, a po francusku – jak po rosyjsku, ponieważ w przyszłości znajomość języków obcych była od dzieciństwa wszczepiana za pomocą specjalnych zastrzyków, by nie tracić czasu na wkuwanie.

– Gdzie zatrzymuje się trolejbus numer piętnaście? – powtórzyła pytanie Alicja, tym razem po angielsku.

– O! – wymówił jeden z młodych ludzi. – Jak miło usłyszeć mowę ojczystą. Też jesteś z Anglii?

– Nie, jestem Rosjanką.

– Masz świetny londyński akcent! Czyżbyś się w Moskwie nauczyła tak dobrze mówić?

– Oczywiście – odparła Alicja. – U nas mnóstwo osób zna angielski.

Dwóch chłopców, usłyszawszy rozmowę, zatrzymało się opodal. Na oko mieli ze dwanaście lub trzynaście lat.

– Odbiło jej czy co? – zdziwił się jeden patrząc na Alicję.

– Cicho – pociągnął go drugi. – To turyści, hippies.

– Ona też?

– No pewnie.

– Nigdy bym nie pomyślał, że u nich teraz moda na chodzenie w piżamach.

Alicję okropnie rozśmieszyły te słowa:

– Jaki tam ze mnie hippie! Po prostu zabłądziłam.

Turyści angielscy nie odchodzili:

– Zaraz znajdziemy trasę twojego trolejbusu. Mamy plan Moskwy. – I zaczęli rozkładać plan.

Tymczasem wokół nich gromadzili się ludzie. Na ruchliwej ulicy zawsze się znajdują ciekawscy, więc i tu przybywało coraz więcej osób chcących zobaczyć, co się stało.

No i oczywiście, musiała się znaleźć jakaś babcia, która zawołała:

– Spójrzcie tylko, jak to dziecko jest ubrane! Z pewnością nabawi się zapalenia płuc! Gdzie mieszkasz, dziewczynko? Może jesteś chora?

Alicja próbowała się wymknąć, ale jak się tu przedrzeć przez taki tłum.

– Ładna historia! – szepnęła do jednego z chłopców. – Co ja teraz zrobię? Za chwilę odprowadzą mnie z powrotem.

– Mówże po ludzku! – odezwał się wysoki przygarbiony okularnik, typowy prymus-kujon. – Dokąd cię odprowadzą?

– Dziewczynko – nalegała babcia – przyznaj się, co się stało?

– Chcesz uciec? – spytał drugi chłopiec niewysokiego wzrostu, niższy od Alicji, grubawy, w błyszczącej kurtce z poprzipinanymi znaczkami. Miał rumiane okrągłe policzki i Alicja nazwała go w myśli Pomidorem.

– Jeszcze nie rozumiecie? Muszę znaleźć trolejbus piętnastkę.

– Milicja! – krzyknęła babcia. – Gdzie jest milicja?

– Zaraz cię wybawimy z opresji – szepnął Pomidor. Odwrócił się do turystów angielskich, którzy mrugali oczami, kompletnie nic nie pojmując. – Mister – mówił dalej już po angielsku, może niezbyt świetnie, ale zrozumiale. – Trzeba ratować dziewczynkę. Ta staruszka to jest zła macocha. Chce ją skrzywdzić. Rozumie pan?

– Oh yes! – odparli Anglicy, spoglądając ze strachem na babcię, która chciała ustrzec dziewczynkę przed przeziębieniem.

– Powiemy, że ona jest z wami. Jasne? A wy mówcie po angielsku. I idźcie! Jasne?

– Oh yes! – odpowiedzieli Anglicy. Na szczęście okazali się ludźmi pojętymi, wzięli Alicję między siebie i odezwali się po angielsku: – Przepraszamy, ale bardzo nam się śpieszy.

Chłopcy osłaniali tyły, Pomidor wyjaśnił gapiom:

– Proszę nie przeszkadzać. To zespół filmowy. „Niebieski ptak”. W kostiumach. Właśnie nas kręca z góry, z kopuły cerkwi.

– Gdzie? – spytała babcia. – Niemożliwe, by filmowano praktycznie gołe dziecko.

– Niech pani spojrzy w górę! – przerwał jej Pomidor. – Nie widzi pani, że sam reżyser Smirnow siedzi na dachu?

Wszyscy podnieśli głowy, chcąc zobaczyć znakomitego reżysera. Anglicy chwycili Alicję pod rękę i wynieśli z tłumu.

I tak cała piątka doszła szczęśliwie do rogu.

– Dziękuję – skłonił się przed Anglikami grubasek. – Bardzo nam panowie pomogli.

– A co groziło dziewczynce?

– Nie domyśliście się? Uciekła z domu wariatów.

– Ach! – jęknęli Anglicy i odsunęli się od Alicji.

– Proszę mu nie wierzyć – powiedziała Alicja. – Jestem najzupełniej normalna.

– O proszę, sami widzicie! – pokiwał głową gruby chłopiec. – Zaprzecza. Oni wszyscy zaprzeczają.

– Odwieziecie ją z powrotem?

– Wykluczone – odrzekł Pomidor. – Zawsze ukrywamy dziewczynki zbiegłe z domu wariatów.

Przecież ją tam wpakowała zła macocha.

Anglicy wybuchnęli śmiechem pojmując wreszcie, że to żart, i na pożegnanie ofiarowali im po paczce gumy do żucia, zaś Pomidor zrewanżował się dwoma znaczkami.

Cała trójka dotarła w końcu do przystanku trolejbusowego. Pomidor paplał bez przerwy. Był ogromnie zadowolony, iż udało mu się uratować Alicję.

– No i jak? – pytał. – Można na mnie polegać?

W cieniu wysokich domów panował chłód. Alicja dostała gęsiej skórki.

– Można – odrzekła z uśmiechem.

Bardziej podobał jej się drugi przygarbiony chłopiec w okularach. Cały czas zachowywał milczenie, widać przywykł słuchać Pomidora. Teraz jednak, spostrzegłszy, że Alicji zrobiło się zimno, zdjął i podał jej swoją kurtkę.

– O nie, dziękuję – pokręciła głową. – Zmarzniesz. Zostałeś w samej koszuli.

– Nie jest mi zimno.

– Weź tę kurtkę – rzekł rozkazująco Pomidor. – To doskonałe zamaskowanie. Odpadną wszystkie nasze problemy. Że też wcześniej mi to nie przyszło do głowy.

Alicja posłusznie włożyła kurtkę.

– Dałbym ci moją – tłumaczył się Pomidor – żeby nie te wrażliwe migdałki. Z miejsca się przeziębiam. Ale my właściwie jeszcze się nie znamy. Mam na imię Jefim. Fima Korolow. A to mój przyjaciel Kola Sulima.

– Bardzo mi miło. Alicja.

– Dziwne imię! Jak cię przezywają w szkole?

– Wcale mnie nie przezywają.

– No, nie bujaj. Przecież aż się prosi! Alicja – diablina czy Alicja – milicja.

– A może Alicja-delicja? – uśmiechnął się Kola Sulima.

Nadjechał trolejbus. Gdy już wsiedli, Alicja obejrzała się sprawdzając, czy nie ma przypadkiem wśród pasażerów zamaskowanego Krysa.

– Obawiasz się pogoni? – spytał Fima.

– Troszeczkę – odparła.

Stali przy tylnym oknie, obok nich było pusto. Alicja wygrzebała z kieszonki trzy dwukopiejkówki, które dała jej Natasza. Wiedziała, że w trolejbusach i autobusach płaci się za przejazd, zapomniała jednak spytać Julkę ile, a także jak się to robi. Na szczęście przyszli jej z pomocą chłopcy. Fima spostrzegłszy drobne w jej ręce, powiedział szybko:

– Coś ty, milionerka? Jedziesz do końca?

– Nie, do Zaułka Ostrowskiego. Mam wysiąść przed domem Naukowca.

– Głupie trzy przystanki. Nie warto. Pieniądze ci się przydadzą.

– Może jednak lepiej zapłacić? – spytał cicho Kola Sulima. – A jak wsiądą kontrolerzy?

– Jak wsiądą, to wieziemy uciekinię z domu wariatów. Za takie się nie płaci.

– Mimo wszystko zapłacę – powiedziała Alicja – Skoro należy się opłata, to nieładnie oszukiwać.

– Lepiej daj mnie te pieniądze – rzekł Fima. – Już ja będę wiedział, na co je wydać.

Podczas gdy Fima rozprawiał w tym stylu, Kola Sulima wyjął drobne z kieszeni, wsunął do kasownika i oderwał trzy bilety.

– Wiesz, gardzę tobą, jesteś tchórzliwy jak zając – skrzywił się Fima.

– A gardź sobie – wzruszył ramionami Kola. – Udajesz fason przed Alicją. Gdybyś jechał sam, z pewnością byś zapłacił.

– W pojedynkę szedłbym piechotą. Muszę zrzucić wagę. Wiesz, Alicjo, jestem na diecie. Rano zjadam jabłko, a w ciągu dnia wypijam szklankę kefiru.

– I to wszystko? – spytała Alicja.

– A wieczorem zjada podwójny obiad – dodał złośliwie Kola.

– Proszę, weź pieniądze – Alicja wyciągnęła rękę. – Przecież zapłaciłeś za mnie. Ile jestem winna?

– Oho! – pokręcił głową Jefim. – Teraz jestem już stuprocentowo pewny, iż uratowana przez nas nieznajoma rzeczywiście skądś uciekła. Nie wie, ile kosztuje bilet! Może pani po raz pierwszy w mieście?

– Przestań się czepiać, Fima – przerwał mu Kola. – Jeśli zechce, sama wszystko opowie.

– Dziękuję – powiedziała Alicja.

Pomyślała, że Kola wcale tak Fimie nie ulega, jak to jej się wydało z początku.

– Musisz wysiąść na następnym przystanku – poinformował ją Fima.

– A wy?

– Jeszcze jeden dalej. Ale posłuchaj, to nieuczciwe – pomagaliśmy ci, a ty nam nic o sobie nie powiedziałaś.

– Czy naprawdę jesteście ciekawi, dlaczego uciekłam?

– Nawet jeszcze nie wiemy, czy uciekłaś.

– Miałam wypadek, zawieźli mnie do szpitala. Leżałam w jednej sali z przyjaciółką. Kilka dni temu ją wypisano i zostałam sama. Umówiliśmy się, że przyjadę do niej po wyjściu ze szpitala. Nie mogłam się doczekać, kiedy mnie wypiszą.

– Uprzykrzyło ci się?

– Jeszcze jak! Więc uciekłam. Nie mieszkam w Moskwie, dlatego na razie zatrzymam się u przyjaciółki.

– Ja też raz leżałam w szpitalu – powiedział Fima. – Usuwali mi trzeci migdał. Nie wyobrażasz sobie, jak się nudziłem.

Trolejbus zatrzymał się.

– Wsiadasz – przypomniał Fima.

Alicja podskoczyła do drzwi, zapominając, że ma na sobie cudzą kurtkę. Zorientowała się już w drzwiach, chciała ją zdjąć, ale Kola rzekł:

– Wsiadaj, bo się drzwi zamkną. Odprowadzę cię.

Zeskoczyli na chodnik, a za nimi Fima, który omal nie utknął między zasuwanymi się drzwiami.

– Ładnie to, przyjaciele, zostawiać mnie samego? – spytał ze złością.

– Zapomniałam oddać kurtkę – tłumaczyła się Alicja – i Kola musiał wyskoczyć.

– Daleko masz do przyjaciółki? – spytał Kola.

– Chyba nie. Zaulek Ostrowskiego szesnaście.

– Chodźmy – powiedział Fima – znam ten dom.

Fima nie potrafił iść normalnie jak wszyscy inni ludzie. Wybiegał naprzód, to znów zostawał w tyle albo pojawiał się z boku. W dodatku przez cały czas usta mu się nie zamykały i Alicja zaczęła już żałować, że zdążył wyskoczyć z trolejbusu.

– Uczysz się w angielskiej szkole? A jaki miałaś wypadek? A długo leżałaś w szpitalu? A ja w tamtym roku o mało nie utonąłem.

I tak dalej, i tak dalej...

Alicja początkowo starała się odpowiadać na pytania, nie udało jej się jednak wtrącić ani słowa, umilkła więc, gdyż Fima pochłonięty własnymi myślami czasem nawet sam za nią odpowiadał.

Alicja wymieniła spojrzenia z Kola, który uśmiechnął się dyskretnie.

Szli cichym zielonym zaułkiem. Miała szczęście, że ją chłopcy odprowadzili. Nie wiadomo, czy trafiłaby bez nich.

– Oto i dom, którego szukasz – powiedział Kola.

Dom był czteropiętrowy, solidny, cofnięty od ulicy. Przed nim znajdował się nieduży ogród, w którym rosły kasztany. Siedziały tam babcie z wózekkami dziecinnymi.

– Dziękuję wam – powiedziała Alicja.

– Na razie będziesz tu mieszkać?

– Tak.

– A do szkoły pójdziesz?

– Nie wiem.

– Może odprowadzić cię pod drzwi?

– Dziękuję, sama znajdę. Zabierz kurtkę, Kola.

Pożegnawszy się z chłopcami, Alicja pobiegła w stronę wejścia.

Nie słyszała, jak Kola rzucił za nią:

– W tym domu mieszka Julka Gribkowa z naszej klasy.

– Aha! – potwierdził Fima. – Oczywiście. I właśnie dopiero wczoraj wróciła ze szpitala!

BĘDZIEMY SIĘ RAZEM UCZYĆ

Drzwi otworzyła Maria Michajłowna.

– Co się stało? – wykrzyknęła. – Coś w szpitalu? Jak ty wyglądasz?

– Dzień dobry – powiedziała Alicja. – Przepraszam, że przyszedłam bez zaproszenia.

– Wchodźże. Jesteś pewna, że nic się w szpitalu nie wydarzyło?

– Kto to przyszedł? – rozległ się z pokoju głos Julki. – Czy to Miła?

– Chcesz powiedzieć – spytała Maria Michajłowna – że w takim stanie szłaś ulicami? I nikt cię nie zatrzymał? Natychmiast marsz do wanny, rozgrzejesz a ja tymczasem zrobię herbatę.

Julka stanęła w progu i ujrawszy Alicję, wykrzyknęła:

– Oczom nie wierzę! Uciekłaś?

– Uciekłam.

– Chodź do mnie, opowiesz wszystko.

– Julia, nie widzisz, w jakim ona jest stanie? – rozgniewała się babcia. – Przecież jest prawie goła. Dopóki się nie wykąpie i nie przebierze, nie męcz jej rozmówkami.

– Przyniosę moje ubranie. Jesteśmy prawie jednego wzrostu.

– Chodź ze mną, Alicjo – powiedziała babcia.

Alicja obawiała się, iż rodzina Gribkowów wpadnie w popłoch, gdy zjawi się tak bez zaproszenia. Zadzwońią do szpitala, by przyjechali zabrać uciekinierkę.

Po upływie pół godziny Alicja w sukience Julki siedziała przy stole i piła gorącą herbatę. Musiała posłusznie pod baczny okiem Marii Michajłowny połknąć profilaktycznie tabletkę aspiryny.

Dopiero wówczas odbyła się poważna rozmowa.

– Nie wiem, co postanowi Natasza, kiedy wróci z pracy – powiedziała Maria Michajłowna – i co by powiedział Wołodia, gdyby nie przebywał obecnie z ekspedycją na Tajmyrze. Uważam jednak, że powinnam zadzwonić do szpitala i uspokoić ich, że Alicja jest żywa, zdrowa i nic jej się nie stało.

– Oj, babciu, nie rób tego! – zawołała Julka. – Przecież ją zabiorą!

– Co za brak odpowiedzialności! – zdenerwowała się babcia. – Czy nie rozumiesz, że oni tam w szpitalu potracili głowy? Zniknęła pacjentka cierpiąca na zanik pamięci, przepadła jak kamień w wodę. Nie, natychmiast dzwonię do szpitala.

– Jeśli zabiorą Alicję, to jadę razem z nią – oświadczyła Julka. – Nie zostawię jej samej.

– Nikt nie zamierza oddawać Alicji do szpitala – uspokoiła ją babcia. – Jeśli potrafiła uciec i odnaleźć nas, to znaczy, że jest zdrowa.

– Ale oni zażądają...

– Niech tylko spróbują zażądać – groźnie powiedziała babcia i poszła do drugiego pokoju po

okulary.

– Nie bój się, Alicjo – powiedziała Julka. – Ona cię wybroni.

– Nie boję się.

– Znaleźli cię piraci?

– Tak. Myślałam, że poczekam do jutra, ale się zjawili.

– Znowu w postaci Alika i tatusia?

– Nie, jeden zamienił się w chorego chłopca o kuli.

– A to łotr!

Z drugiego pokoju dobiegały odgłosy rozmowy telefonicznej. Dziewczynki umilkły, zamieniły się w słuch.

– Gwarantujemy... obiecujemy... proszę nie żywić najmniejszych wątpliwości... jutro wszystko załatwię formalnie... na leczenie ambulatoryjne...

Wróciwszy do dziewczynek, babcia zdjęła okulary, schowała je do futerału i spytała normalnym głosem:

– Alicjo, nalać ci jeszcze herbaty?

– Babciu! – nie wytrzymała Julka. – Dlaczego nic nie mówisz? Pozwolili?

– A dlaczego mieliby nie pozwolić?

– Och, babuniu, jesteś wspaniała! – wykrzyknęła radośnie Julka.

– Zamiast piszczeć, lepiej byś przyrzekła zachowywać się grzecznie, przynajmniej w czasie pobytu Alicji u nas.

– Przyrzekam!

– Alicji o to nie proszę, bo jest od ciebie dużo poważniejsza. I właśnie zgodzili się pozostawić ją tutaj, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że będzie chodziła do szpitala na badania kontrolne oraz zastosuje się ściśle do zaleceń.

– Ale nie dziś – zaprotestowała Julka – dziś będzie tylko odpoczywać.

– Wcale na to nie nalegam. Dziś sama jej nigdzie nie puszcę – powiedziała babcia. Nalała sobie herbaty, uśmiechnęła się i dodała: – Byli tacy szczęśliwi, że Alicja się odnalazła, że zgodziliby się na wszystko. A jednak postąpiłaś bardzo lekkomyślnie, Alicjo. Mogłaś zostawić choć karteczkę. A najlepiej – poczekać do jutra.

– Och, babciu – przerwała Julka – gdybyś to mogła pojąć, nigdy byś tak nie mówiła!

Alicja kopnęła ją pod stołem, a babcia, lekko urażona, powiedziała:

– Oczywiście, ja nigdy niczego nie rozumiem, kompletnie zdziecinniałam. A propos, Julka, odrobiłaś lekcje? Jesteś chora, ale nie na wakacjach.

– Odrobię, odrobię.

– Alicji daj do poczytania jakąś książkę. A może prześpisz się trochę, Alicjo?

– Nie, nie jestem zmęczona.

Kiedy wreszcie zostały same, Julka powiedziała:

– Teraz opowiedz dokładnie, jak ci się udało zwiać, a przede wszystkim, jakim cudem dotarłaś do nas w samej piżamie. Przecież to się w głowie nie mieści – przejechać przez nieznaną miasto w samej piżamie!

– Pomogli mi chłopcy – wyjaśniła Alicja. – Odprowadzili pod sam dom. Nawet kurtkę pożyczili.

Usiadły na tapczanie w pokoju Julki, pod obrazem przedstawiającym Mount Everest. I Alicja

opowiedziała o ucieczce.

– Trzeba wymyślić, kim będziesz – zadumała się Julka, gdy Alicja skończyła swoją opowieść. – Może przedstawię cię jako moją siostrę cioteczną z dalekiego miasta?... Nie, powiemy, że twoi rodzice wyjechali do pracy za granicę i dlatego przez pewien czas będziesz mieszkać u nas. Pasuje?

– Wszystko mi jedno.

– Pojutrze idę do szkoły. Możesz przyjść po mnie, pokażę ci wszystkich kolegów.

– A nie możesz ich zaprosić do domu?

– Kogo? Chłopaków? Przecież to wszystko głupole. Kto by ich zapraszał?

– Dlaczego głupole? – zdziwiła się Alicja.

– Taki wiek – powiedziała Julka. – Zdumiewająco opóźnieni w rozwoju.

– Nigdy bym nie przypuszczała. U nas bywają całkiem dorzeczni chłopcy.

– No chyba! Przecież minie sto lat! Musi być jakiś postęp. Z pewnością zmadrzeją.

– Jula! – zawołała babcia z kuchni. – Bierz się za lekcje! Daj odpocząć Alicji.

– Zaraz, babciu.

– Pomogę ci – powiedziała Alicja.

– Obawiam się, że tylko namieszasz. Macie inny program.

– Daj podręcznik.

Przysunęła jej książkę. Alicja zaczęła ją przeglądać. Julka wyjęła zeszyt i pióro, lecz tamta już nie odwracała kartek.

– No i co? – spytała Julka. – Przerabialiście to w dwudziestym pierwszym wieku?

– Myślałam o czym innym – odparła Alicja, odkładając podręcznik. – To za mało spotykać cię po lekcjach. Lepiej będzie, jak przyjdę do klasy.

– Po co?

– Żeby zapytać każdego z nich z osobna.

– A jeśli się nie przyznają?

– Wówczas będę zmuszona zostać w klasie.

– Przecież pierwszy nauczyciel spyta cię: „Co tu robisz, dziewczynko?” I na tym skończy się twoja wyprawa.

Nieraz tak bywa, że człowiek myśli, łamie sobie głowę, a wszystkie problemy rozwiązują się same.

Wieczorem Natasza zadzwoniła do Alika Borysowicza, długo z nim rozmawiała, a potem oznajmiła:

– Dziewczynki, odbyliśmy z Alikiem Borysowiczami naradę wojenną. I wiecie, co postanowiliśmy?

– Oddać Alicję z powrotem do szpitala – powiedziała Julka.

Był to oczywiście żart, ale w każdym żarcie mieści się część prawdy. Chociaż ufała mamie, trzeba pamiętać, że dorośli niekiedy robią głupstwa z najszlachetniejszych pobudek.

– Niezupełnie tak. Postanowiliśmy spróbować nowej metody leczenia.

– Jakiej?

– Posłać Alicję do szkoły. Rok szkolny biegnie, po co ma tracić czas?

– A przebywanie wśród dzieci – dodała Maria Michajłowna – może stać się doskonałym bodźcem na drodze do wyzdrowienia.

– No właśnie – powiedziała Natasza. – Pozostaje tylko ustalić, w której klasie była Alicja, zanim

trafiła do szpitala.

– W szóstej! – zgodnym chórem wykrzyknęły Alicja i Julka.

– Skąd ta nagła pewność?

– Odkryłyśmy to dzisiaj – wyjaśniła Alicja. – Przeglądałam podręczniki Julki i wszystko sobie przypomniałam.

– To prawda – potwierdziła Julka – chodziła do szóstej klasy.

– To świetnie, że sobie przypomniałaś. Wstąpię jutro do szkoły i porozmawiam z dyrektorem.

A jeśli zajdzie potrzeba, zadzwonią do niego ze szpitala. I mam nadzieję, że chwilowo Alicja znajdzie się w twojej klasie, Julko. Zadowolone?

– Hurra! – wykrzyknęła Julka. – Nie wyobrażasz sobie, mamo, jak nas urządza taki wariant!

– Czy to też tajemnica? – spytała Natasza.

– Jeszcze jaka!

– Mam nadzieję, że niczego nie podpalicie ani nie wysadzicie w powietrze. Równouprawienie kobiet sięga w dzisiejszych czasach aż za daleko – powiedziała Maria Michajłowna.

Późnym wieczorem, gdy dziewczynki już się położyły słyszały, jak w sąsiednim pokoju Natasza rozmawia cicho z babcią.

– Szkoda, że w odpowiednim czasie nie zdecydowałaś się na drugie dziecko – mówiła Maria Michajłowna. – Popatrz, jak Julkę ciągnie do Alicji. Brakuje jej siostry.

– Ja też się cieszę, że dziewczynki się zaprzyjaźniły – odpowiedziała Natasza, – Alicja to dobra dziewczynka i...

– I taki tragiczny los ją spotkał – dokończyła babcia.

Wtem coś mignęło za oknem, Alicja niespokojnie uniosła głowę i wlepiała wzrok w szybę.

– Nie bój się – szepnęła Julka. – To gołębie. Mieszkamy przecież na czwartym piętrze. Oni nie dostaną się tutaj.

Alicja lepiej знаła piratów kosmicznych i nie miała cienia wątpliwości, że gdyby znali miejsce jej pobytu, potrafiliby się dostać i na dziesiąte piętro.

– Zgubili twój ślad – pocieszała ją Julka.

– Mam nadzieję.

– Bombowo to mama wymyśliła. Jeśli będziesz miała trudności, pomogę ci, nie martw się.

– Nie martwię się – odparła Alicja. – Najważniejsze to odnaleźć myelofon i hajda z powrotem.

A jeśli nawet oberwę jakąś dwóję, to i tak się nie będzie liczyć – przecież się jeszcze nie urodziłam.

– Szkoda. Chciałabym, żebyś została już na zawsze.

NIGDY JEJ NIE WIDZIAŁEM

Tego ranka w szóstej B nikomu nie chciało się uczyć, a wszystkiemu winna była wspaniała wiosenna pogoda. Na klombach przed budynkiem szkolnym pojawiła się już młoda zielona trawka, asfalt wysechł i maluchy zdążyły go już całkiem zamazać „klasami”, pączki pękały, tchnąc świeżością i świetnym nastrojem.

Fima Korolow złapał dwie boże krówki i urządził na parapecie okiennym wyścigi o nagrodę gazetki ściennej „Nasza klasa”. Jedna biedronka miała żółte kropeczki na czarnym tle, zaś druga – czarne na czerwonym. Co chwilę usiłowały rozpostrzeć skrzydełka i odlecieć, lecz Fima przyciskał je ołówkiem, ponieważ zgodnie z regulaminem wyścigów biedronki powinny były biegać.

Towarzystwo, podzielone na żółtych i czerwonych kibiców, okropnie hałasowało. Kiedy zjawily się Julka z Alicją, zauważyły je wyłącznie Katia Michajłowa i Miła Rutkiewicz. Miła, klasowa prymuska, przepowiadała po raz nie wiem który zadaną do domu czytanke angielską, zaś Katia Michajłowa, przyszła tenisistka, czytała książkę o Pucharze Davisa.

- Poznajcie się – powiedziała Julka – to moja przyjaciółka Alicja, leżałyśmy razem w szpitalu.
- Bardzo mi miło – powiedziała Rutkiewicz.
- Katia Michajłowa, która w dodatku była gospodynią klasy, spytała Alicję:
- Będiesz się u nas uczyć czy też przyszłaś tak sobie?
- Na razie trochę się pouczę.
- A wpisano cię do dziennika?
- Nie wiem.
- A jak się nazywasz?
- Alicja Sielezniewa.
- Sielezniewa – pytała dalej Katia – jaki sport będziesz uprawiać?
- Nie wiem – znów odparła Alicja.
- Daj jej spokój – przerwała Miła Rutkiewicz. – Wyszła dopiero ze szpitala. Ty byś od razu ubrała ją jeszcze w pracę społeczną.
- Nic nie rozumiesz – oświadczyła Katia. – Nie obchodzi cię honor klasy. Sama też go nie bronisz.
- Bronię go ucząc się dobrze – zaprotestowała Miła.
- Zawsze się o to kłóć – wyjaśniła Alicji Julka.
- Umiesz grać w siatkówkę? – spytała Katia.
- Grałam trochę będąc dzieckiem.
- Hej, chłopaki! – rozległ się nagle dziki wrzask Bori Messerera, który obejrzawszy się przypadkowo, spostrzegł dziewczynki. – Wróciła Julka Gribkowa bez nader istotnych części ciała.
- Dowcipniś od siedmiu boleści – odgryzła się Julka.

– To z zazdrości – podsumowała Miła Rutkiewicz, odrzucając do tyłu gruby czarny warkocz.

Katia Michajłowa podejrzewała, że Miłka nie uprawia sportu w obawie, by nie zaplątać się we własnych włosach.

Wszyscy natychmiast zapomnieli o bożych krówkach i ciasno otoczyli Julkę.

– A to co za numer? – spytał Borys Messerer, przyglądając się Alicji. – Panienska przyjechała ze Szwecji w ramach wymiany kulturalnej?

– To Alicja Sielezniewa – powiedziała Julka. – Moja przyjaciółka, a nawet kuzynka. Na razie będzie się u nas uczyć.

– Heeej! – wrzasnął Borys. – Słyszycie? Alicja będzie naszym gościem.

Fima Korolow schował swoje biedronki do pudełka od zapalek, wyprostował się, poznał Alicję i powiedział spokojnie:

– Cześć, Alicjo. Stęskniłem się co nieco za tobą.

– Dzień dobry, Fima.

– To wy się znacie? – Oczy Julki Gribkowej o mało nie wylazły z orbit.

Zaskoczenie było ogólne.

– W pewnym stopniu jestem jej wybawcą – wyjaśnił Fima.

Alicja spochmurniała, chcąc dać mu do zrozumienia by milczał, lecz on nie zwrócił na to uwagi.

– Pomogłem jej uciec w samej tylko piżamie z domu wariatów. Przez ogrodzenie. Goniło nas ośmiu sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa oraz jeden profesor.

– Och! – powiedziała z niesmakiem i odwróciła się od niego.

– Pleciuga! – dodała Julka.

– Wcale nie żartuję – zachnął się Fimka. – Kola Sulima może potwierdzić. Byli tam oprócz tego Anglicy... A oto i Sulima. Sulima, poznajesz Alicję?

Sulima stał w drzwiach.

– Cześć! – Podeszedł do swojej ławki, położył teczkę i powiedział: – Dzień dobry, Alicjo. Dzień dobry, Julko. Tak wczoraj przypuszczałem, że idziesz do Gribkowej.

– Sulima – wtrącił się Fimka. – Poświadcz, że Alicja nawiała z domu wariatów.

– Ani myślę – odparł Kola.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Alicja.

– Za co? Powiedziałem tylko to, co uważałem za konieczne, dlatego więc masz mi dziękować. Cieszę się, że będziesz się z nami uczyć.

Fima tak się zirytował zdradą przyjaciela, że jego rumiane policzki pokraśniały jeszcze bardziej. Wzór prawości, Katia Michajłowa, dobiła go z krete sem:

– Jesteś podły, Jefim! Dawno to już zauważyłam.

Julka nachyliła się do Alicji i szepnęła jej do ucha:

– To znaczy, że jednego Kolę już znasz?

– Sama o tym nie wiedziałam – odparła Alicja i usiadła na wolnym miejscu obok Kati Michajłowej.

– Ciebie na pewno nie będą pytać – powiedziała Katia. – Nie masz nawet podręcznika.

Oczy wszystkich były wlepione w Alicję. Zawsze robi się ciekawiej, gdy w klasie pojawia się ktoś nowy, a w dodatku to dziwne oświadczenie Fimy Korolowa, co prawda pleciugi i blagiera, nie do tego jednak stopnia, aby bez powodu powiedzieć o nowej, że uciekła z domu wariatów.

Rozległ się dzwonek i do klasy weszła Ała Siergiejewna, nauczycielka angielskiego, która

pełniła jednocześnie funkcję wychowawczyni. Położyła dziennik na stole i obwieściła:

– Od dziś mamy w klasie nową uczennicę, Alicję Sielezniewą. Alicjo, pokaż się.

Alicja wstała.

– Mam nadzieję, że już się poznaliście?

– Fima Korolow poznał ją nawet przedwczoraj – wyrwał się Boria Messerer. –

W dramatycznych okolicznościach.

– Wyjaśnienie tych spraw zostawmy na później, kiedy będzie czas wolny, teraz przejdźmy do lekcji.

Do domu zadany był bardzo długi tekst o Londynie, zawierający masę nowych słów. Ała Siergiejewna od razu wyrwała Fimę Korolowa. A Fima głowę miał zaprzątniętą czymś zupełnie innym, zaczął czytać, ale utknął już przy drugim zdaniu, oklapnął i wierząc się niespokojnie czekał na czyjaś podpowiedź. Nikt mu jednak nie przyszedł z pomocą. Miła Rutkiewicz nie podpowiadała z zasady, Julka była na niego wściekła, a inni, którzy mogliby podpowiedzieć, nie włączyli się jeszcze do lekcji – gapili się w okno, za którym fruwały szpaki, otwierali książki, zerkali na Alicję, rozmyślali o swoich sprawach...

– No i co, Korolow? – spytała Ała Siergiejewna anielskim głosem. – Niezbyt się orientujesz w geografii Londynu?

Powiedziała to, rzecz jasna, po angielsku i Korolow, który całą uwagę skoncentrował na tym, by usłyszeć podpowiedź, kompletnie nie zrozumiał i odpowiedział: „tak”. W ogóle był wyznawcą poglądu, że z nauczycielami trzeba się we wszystkim zgadzać.

– Kto pomoże Korolowowi? – spytała Ała Siergiejewna.

Oczywiście podniosła rękę Miła Rutkiewicz, która zawsze wszystko wiedziała. Należała do prymusów, o których się mówi, że już od pierwszej klasy są nastawieni na złoty medal. I nauczycielom nawet nie wypadało stawiać jej czwórki. Wywoływali ją do odpowiedzi rzadziej niż innych – po co, skoro i tak wszystko wie. Czasem zachowywali ją na deser – trafia się na przykład jakieś trudne zadanie albo też wzór, nikt nie umie rozwiązać, wówczas można powiedzieć: „Rutkiewicz”, i Rutkiewicz jest na zawołanie. A jeśli już ona nie zna odpowiedzi, nie warto pytać nikogo więcej. Teraz też Rutkiewicz podniosła rękę, ale Ała nie chciała jej wywołać, tylko rzuciła pytanie:

– No, może ktoś jeszcze?

Alicja tymczasem czytała tekst bez słownika, po prostu dla własnej przyjemności, choć – jak dobrze wiadomo – nikt na świecie tekstów podręcznikowych w tym celu nie czytuje.

– Sadowski – wyrwała następną ofiarę Ała Siergiejewna – jesteś dzisiaj dziwnie zamyślony. Może opowiesz nam o Londynie?

– Nie – mruknął, podnosząc się z ławki wysoki ciemnorudy chłopak o bladej piegowatej twarzy.

Był on ani gruby, ani szczupły, ale raczej pulchnawy. Oczy miał niebieskie w oprawie gęstych rudych rzęs. Mówił wolno i z namaszczeniem – odnosiło się wrażenie, iż zwierza jakąś tajemnicę nawet wtedy, gdy odpowiadał z zadanej lekcji.

– Nie – powtórzył grobowym głosem. – Nie potrafię odpowiedzieć. To absolutnie wykluczone.

– Postaraj się wyrazić swoją myśl po angielsku – poprosiła Ała, doskonale obeznana ze wszystkimi jego sztuczkami.

– To on? – spytała Julka siedząca za Katią.

Alicja, nie odwracając się, pokręciła przecząco głową. To chyba nie mógł być taki rudzielec.

Gdyby to on wybrał się w przyszłość, zarówno piraci, jak i Alicja, odnaleźliby go w trymigi.

- Nie dam rady po angielsku – jeszcze bardziej ponuro obwieścił Sadowski. – Nie wyspałem się.
- Dlaczego?
- Spędziłem noc w komisariacie milicji – odrzekł. – Zaaresztowano mnie i dobrze mi tak.
- A co narozrabiałeś?
- Zrobiłem to jak zwykle dla dobra innych. Ale nikt tego nie rozumiał.
- Mów konkretniej – rzekła nauczycielka marszcząc brwi.
- Żał mi się zrobiło parok spacerujących nocą po Sokolnikach. Nie mają na czym posiedzieć.

Wszystkie ławki stoją na naszym bulwarze.

– Bardzo ci się to chwali. Siadaj.

– Zaraz, tylko opowiem do końca, inaczej mnie pani źle zrozumie. Tak jak milicja. Postanowiłem poświęcić noc dla dobra innych. Nosiłem ławki z Bulwaru Gogola do pobliskich łasków. Zdążyłem przenieść dziewięćdziesiąt trzy. I kiedy w ramach usprawniania pracy chciałem wziąć dwie ławki naraz, zatrzymał mnie na placu Smoleńskim milicjant i zaprowadził na posterunek. Resztę nocy spędziłem przenosząc ławki z powrotem na bulwar. To ogromnie wyczerpujące. Każda ławka waży około stu dwudziestu kilogramów.

Ała cierpliwie wysłuchiwała całego opowiadania, po czym rzekła:

– Posłuchaj, Sadowski. Jeśli tę wzruszającą historię opowiesz mi jeszcze raz, choćby w skrócie, po angielsku, jesteś uratowany. Jeśli nie – oberwiesz dwóję. Zastanów się.

Sadowski myślał przez całą minutę. Następnie westchnął i usiadł.

– Rezygnujesz? – spytała nauczycielka, szukając w dzienniku jego nazwiska.

– Zapomniałem, jak po angielsku ławka... I jeszcze paru innych słów.

Ktoś, kto nie znał Koli Sadowskiego, mógłby, widząc go po raz pierwszy, pomyśleć, że jest łgarzem. Nic podobnego. Po prostu miał niezwykłą wyobraźnię. Unosiła go w fantastyczne dale, tak że sam już nie wiedział, gdzie się kończy rzeczywistość, a zaczyna fantazja. Wyobrażenia stawiała go często w idiotycznym położeniu, a czasami wpędzała w nieprzyjemności. Uczył się przeciętnie, choć stać go było na więcej. Niekiedy wydawało mu się, iż wszystkie lekcje odrobił już na tydzień naprzód, choć w rzeczywistości nic takiego nigdy mu się nie zdarzyło.

Nie, podsumowała Alicja, on nie mógł być w przyszłości. I to nie tylko z powodu płomiennorudych włosów. Z pewnością doszedłby do wniosku, że to wszystko mu się przyśniło i na lewo i prawo o wszystkim by rozpowiadał.

Na swą kolejną ofiarę Ała Siergiejewna upatrzyła Katię Michajłową. Katia uczyła się dobrze, tym razem jednak myśli jej zaprzętał Puchar Davisa, odpowiadała więc ospale, byle zbyć, a gdy nauczycielka przerwała jej w końcu i zapytała, co to jest londyński Tower, Katia odpowiedziała:

– Tower – to wieża.

– Jaka wieża? – spytała Ała Siergiejewna.

Katia wzruszyła nieznacznie ramionami. Czy to nie wszystko jedno, jaka wieża?

– Kto uzupełni?

– Tower to twierdza – odparła Alicja, nie wstając z miejsca.

Powiedziała to po angielsku, wprawiając wszystkich w zdumienie, nikt bowiem nie spodziewał się, że nowa będzie odpowiadać.

– Wstań, gdy odpowiadasz – powiedziała nauczycielka.

– Słucham? – nie zrozumiała Alicja.

– Czy u was w szkole nie wstaje się do odpowiedzi?

– Nie.

W klasie rozległy się śmiechki. Ała, udając, że nie słyszy, powtórzyła:

– Niemniej jednak wstań.

Alicja wstała i zaczęła opowiadać po angielsku o twierdzy Tower, w której niegdyś mieszkali angielscy królowie, i o rzece Tamizie, która przepływa u stóp twierdzy.

– Ojej – wyszeptała z podziwem Julka do swej sąsiadki, Kati Michajłowej – ona mówi po angielsku lepiej od Ały!

– Bardzo dobrze – pochwaliła Alicję nauczycielka, gdy ta skończyła mówić. – Sielezniewa może być dla was przykładem. Alicjo, czy uczyłaś się języka angielskiego poza szkołą?

– Tak – potwierdziła Alicja. – Języków uczyłam się, zanim poszłam do szkoły.

– Znasz jeszcze inne?

– Nie jestem zbyt zdolna – odparła skromnie Alicja. – Znam tylko osiem języków.

– Jakie mianowicie?

W klasie panowała grobowa cisza. Sens rozmowy jasny był dla wszystkich, nawet dla najbardziej zapóźnionych.

– Niemiecki, fiński, czeski, francuski, hindu, chiński, japoński i... i jeszcze jeden.

– A to ci dopiero! – jęknął Fima Korolow. – Rzeknij coś po japońsku.

Zapanował niesamowity rwetes, wszyscy na wyścigi zaczęli prosić Alicję... tylko jedna Miła Rutkiewicz była niezadowolona, jako że traciła pozycję pierwszej uczennicy, a to zawsze bywa nieprzyjemne.

– Siadaj, Sielezniewa – powiedziała nauczycielka jakby nigdy nic.

– Proszę ją sprawdzić, proszę sprawdzić! – wołał Kola Sadowski.

– Sadowski, ciebie już dzisiaj wysłuchaliśmy – rzekła uszczypliwie Ała. – Teraz pozwól mówić innym.

Wezwwała do odpowiedzi Miłę Rutkiewicz, tymczasem zaś do Alicji przyszły dwa liściki.

Jeden był od Bori Messerera.

Napisał w nim: „Czy była pani w Anglii, madame?”

Drugi – od Larysy Trojepolskiej, która nie miała zdolności do języków, za to miała ogromne błękitne oczy. Nauczyciele i rodzice pocieszali się, że z tak pięknymi oczami Larysa i bez wykształcenia da sobie radę w życiu.

„Alicjo – napisała – bardzo bym chciała poznać cię bliżej i zaprzyjaźnić się z tobą. Mogłybyśmy wspólnie uczyć się różnych przedmiotów. Odpowiedz mi na przerwie. Larysa”.

W czasie pauzy Boria Messerer podszedł pierwszy do Alicji.

– Tę kartkę o Londynie to ja pisałem.

Boria Messerer był nieduży, kędzierzawy, natarczywy. Chciał zostać malarzem i zabawiał się rysowaniem karykatur wszystkich po kolei, co prawda niezbyt podobnych do oryginału.

– I co z tego? – spytała Alicja. Nie miała czasu czcze pogaduszki.

– Naprawdę byłaś w Londynie?

– Oczywiście, że byłam.

– Tak też myślałem. Oto rysunek dla ciebie.

Karykatura przedstawiała uskrzydloną Alicję ponad wieżami. Całkiem niepodobną.

– To ty w Londynie.

– Dziękuję – rzekła krótko Alicja.

Podeszła Larysa, zatrzepotała rękami półmetrowej długości i odezwała się nieśmiało:

– Nie masz nic przeciwko naszej przyjaźni?

Odepchnął ją z kolei Fima Korolow.

– Alicjo – powiedział, uzurpując sobie prawa starego przyjaciela – co robisz po szkole?

Wybieramy się do kina...

– Wcale nie mam ochoty iść z tobą do kina.

– Nie obrażaj się, żartowałem przecież.

Alicja dostrzegła wreszcie Julkę.

– Gdzie się podziewałaś? – spytała.

– Jestem z ciebie niezadowolona – powiedziała Julka, odciągając ją na bok.

– Dlaczego?

– Dekonspirujesz się. Po kiego licha wyskoczyłaś z tymi językami? Teraz cała szkoła będzie o tym huczeć.

– Nie, Julko – zaprotestowała Alicja – nie masz racji. Uważam, że jeśli można nie kłamać, to lepiej tego nie robić. Tak się już zakłamałam, że przeskoczyłam normę na co najmniej trzy lata naprzód.

– Jak uważasz. No, wyniuchałaś coś?

– Do tej pory poznałam dwóch. Sulimę i Sadowskiego.

– I co o nich myślisz?

– Myślę, że to nie Sulima. Jest bardzo skromny i w ogóle, czy wyobrażasz go sobie ścigającego piratów?

– Też myślę, że to nie on – powiedziała Julka. – Za to Sadowski – to jest ananas! Ten może narozrabiać, że ho ho!

– Ale jest rudy. Pokaż mi Naumowa.

– Proszę bardzo, właśnie idzie. Zawołać go?

– Zawołaj. Tak czy owak już mnie widział.

– Naumow! – zawołała Julka. – Chodź tu.

Naumow był przeciętnym chłopakiem, o nieco zadartym nosie, średniego wzrostu, szczupły, ale dość mocnej budowy ciała. Alicja patrzyła mu prosto w oczy.

– Czego chcecie? – spytał.

– Chciałam cię poznać z moją przyjaciółką. Nie spotkałeś jej wcześniej? – spytała Julka.

Kola Naumow wzruszył ramionami.

– A gdzie miałbym spotkać? Więcej pytań nie ma?

– Nie ma.

– Za to ja mam sprawę – powiedział Kola. – Katia Michajłowa mówiła, że dziś jest mecz siatkówki. Nie zapomnijcie, dobra?

Gdy odszedł, Julka spytała:

– No co, to on? Jak sądzisz?

– Może i on – odparła Alicja. – Ale widzisz sama, nie chce się przyznać, że mnie zna.

– Na następnej pauzie – powiedziała Julka – spytasz pozostałych. Szkoda tracić czas.

Tak też Alicja postąpiła.

Między drugą a trzecią lekcją podeszła do Koli Sulimy i spytała:

– Kola, czy przypadkiem nie spotkaliśmy się już kiedyś? Twoja twarz wydaje mi się znajoma.

Kola założył palcem odpowiednią stronę podręcznika dla początkujących szachistów, popatrzył bacznie na Alicję i odrzekł:

– Mylisz się. Po raz pierwszy widzieliśmy się przedwczoraj. Mam doskonałą pamięć wzrokową.

Rozmowa z Kolą Sadowskim była całkiem dziwna. Sam podszedł do dziewcząt zaraz po trzeciej lekcji i wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w nasadę nosa Alicji, spytał:

– Wiesz co myślę?

– Co?

– Myślę, że przyjechałaś do nas z przyszłości. Masz wehikuł czasu przerobiony z roweru.

Julka jęknęła i powiedziała prędko:

– Alicja nie ma roweru.

– Mam na myśli trzykołowy – wyjaśnił Sadowski. – Przecież dałaś mi się przejechać na nim przedwczoraj.

– Gdzie? – pytała dalej Julka.

Miała się na baczności. Chociaż z Sadowskiego nieprzeciętny blagier, tym razem jego pomysł był bardzo bliski prawdy.

– Jak to gdzie? – Kola popatrzył na Julkę, jak gdyby jej nie poznawał, i wyjaśnił: – Na Wyspach Kurylskich. Gdzieżby? No dobra, nie mam czasu. Mogą mnie pytać na następnej lekcji, a ja nie wiem nawet, jaka to lekcja.

Odszedł. Julka schwyciła Alicję za rękaw.

– Co robić? – wyszeptała.

– Po prostu nic. Następnym razem powie, że przyleciałam z Księżyca. Teraz nic już nie rozumiem.

Rozległ się dzwonek, rozpoczynała się lekcja geografii.

Podeszła Katia i przypomniała Julce:

– Gribkova, pamiętaj, że dziś gramy z siódmą A.

– Dziś jeszcze nie mogę – pokręciła głową Julka. – Szew mi się rozejdzie.

– No, ładny gips! Nie wyobrażam sobie, co zrobimy.

– Tak czy siak przegramy – odparła Julka. – Zwłaszcza drużyna dziewczęca.

GRACZ REZERWOWY

Mecz odbywał się w sali gimnastycznej, bowiem na dworze było jeszcze za chłodno.

Kiedy wpadli do sali, trwało tam jeszcze spotkanie między szóstą A a siódmą B. Nauczyciel wuefu, Edward, zabronił im hałasować. Z miejsca zwrócił uwagę na Alicję.

– A to kto? – zapytał. – Wareg?* [Waregowie – lud pochodzenia skandynawskiego, który w IX wieku organizował najazdy na Ruś.]

– Dlaczego Wareg? – zdziwiła się Julka. – To moja siostra cioteczna. Chodzi teraz do naszej klasy.

– Cofam moje słowa. Wzrost masz dobry. Jak się nazywasz?

– Sielezniewa.

– Będiesz uprawiała sport?

– Będę.

– A co lubisz najbardziej?

– Jestem pęcherzystką – odparła Alicja i ugryzła język, ale wpadka!

– Cóż to za dowcipy? – spytał surowo Edward.

Był człowiekiem ufnym i naiwnym, łatwo go było nabić w butelkę, a że o tym wiedział, odnosił się podejrzliwie do wszystkich żartów, kpin i wymysłów. Tym łatwiej było z niego zakpić. Kiedyś był zapaśnikiem wagi ciężkiej, potem, gdy rzucił sport, roztył się, wyłysiał i w niczym nie przypominał sportowca. Wszyscy jednak wiedzieli, że jest silny jak tur.

– Przejęczyłam się. Przepraszam bardzo – tłumaczyła się Alicja. – Chciałam powiedzieć spadochroniarką.

– Jasne, lubisz sobie pożartować – powiedział Edward i natychmiast stracił dla niej zainteresowanie. Lepiej się z taką nie zadawać.

Ale Fima Korolow, który przebierał się już do gry, podsłuchał tę rozmowę.

– Nie bujasz o tych spadochronach? – zapytał.

– Nie.

– Pozwalają takim smarkaczom?

– U nas pozwalają.

– Ciągłe powtarzasz: u nas, u nas! Gdzie u was? Na Księżycu?

– Na Księżycu również – odrzekła Alicja.

Podszedł Kola Naumow, który był kapitanem drużyny chłopców.

– Ciężko nam będzie – zwrócił się do Julki.

– Czemu? – spytała Alicja.

– Spójrz na tego tam. – Wskazał palcem chłopaka z siódmej A, mierzącego ze dwa metry.

– Nie człowiek, ale sama akceleracja – powiedziała Julka.

Alicja popatrzyła Koli w oczy i spytała:

– Jak myślisz, w przyszłości wszyscy będą tacy wysocy?

– Co ty możesz wiedzieć o przyszłości? – zdziwił się Kola. – A może na odwrót, ludzie znów zaczną maleć.

– Chciałbyś to zobaczyć?

– I tu mam roboty po czubek głowy – odpowiedział Kola.

Edward wyjął gwizdek, śmiesznie mały w porównaniu z jego łapskiem, i zagwizdał przeraźliwie.

– Rozgrzewka! Zaczynają dziewczęta.

– Szkoda, że mi jeszcze nie wolno – zasmuciła się Julka.

– Przecież to nie ostatni mecz.

Pierwsza serwowała Katia Michajłowa. Serw miała udany, przeciwniczkom nie udało się odebrać piłki. Następną jednak odebrały i kiedy piłka wróciła na boisko szóstoklasistek, Larysa Trojepolska ślicznie przepuściła ją między palcami, po czym ze zdziwieniem spojrzała na swoje ręce, jakby nie mogąc uwierzyć w taką ich zdradę.

Dalej gra toczyła się już całkiem niefortunnie dla szóstej B. Tak naprawdę to umiały grać wyłącznie Katia i Lena Dombazowa, zaś Larysa tylko przeszkadzała. Pierwszy set przegrały pięć do piętnastu. Siódmoklasiści chichotali i natrzęsali się z nich głośno, szóstoklasiści odgryzali się, ale nie za bardzo – w gruncie rzeczy wszystko było jasne. W przerwie Katia zrobiła Larysie okropną awanturę.

– Lepiej, żeby cię nie było w zespole! Sama nie grasz, tylko innym przeszkadzasz. Odebrałabym z łatwością ostatnią piłkę. Mówię ci – odejdz, a ty?

– Co ja? Przecież odeszłam – powiedziała Larysa. Oczy napełniły się błękitnymi łzami.

Nawet Edwardowi zrobiło się jej żal.

– Mistrzów tutaj nie ma – wtrącił się. – Różnica między Larysą a tobą, Michajłowa, bynajmniej nie jest taka zasadnicza.

Tu jednak Larysa uznała, że już najwyższy czas, by się śmiertelnie obrazić

– Proszę bardzo – oświadczyła – nie będę przeszkadzać. Grajcie, ile wam się podoba.

– Przestańcie, dziewczyny – wkroczył Kola Naumow. – Przecież nie możecie grać w piątkę.

– Długo jeszcze? – spytała dziewczyna z siódmej A, będąca kapitanem ich drużyny.

A tamten długi, ofiara akceleracji, do którego przychodził już trener prawdziwej drużyny koszykówki, dodał:

– Spotkanie zakończyło się po pierwszej rundzie z wyraźną przewagą.

– Nie – powiedziała Larysa – stanowczo odmawiam. – Noga mnie boli.

– Ty stanowczo odmawiasz – oburzyła się Katia Michajłowa – a klasa niech przegrywa?!

– No to albo ty, albo ja.

Siódmoklasiści ryczeli ze śmiechu, omal nie turlali się po podłodze.

– Zagramy bez niej – zdecydowała Katia. – To nic strasznego. A z nią pogadamy później.

– W piątkę nie można – powiedział Edward. – Wobec tego wycofuję drużynę z zawodów.

Julka popatrzyła na Alicję i spytała cicho:

– Przyjrzałaś się? Może spróbujesz, co?

Alicja wstała.

– Dobrze – odparła. – Tylko nie jestem w formie.

– Zaraz wszystko załatwimy – ucieszyła się Katia Michajłowa. – Edwardzie Piotrowiczu, mamy rezerwową. Tylko się przebierze, dobrze?

– Nie będziemy czekać! – krzyknęła siódmoklasistka.

– Tylko chwileczkę – odrzekła Alicja i pobiegła z Katią do szatni.

Gdy Alicja wyszła na boisko, wszyscy zauważyli, że jest wspaniale opalona i bardzo zgrabna.

– Gdzie byłeś na plaży? – zawołał Sadowski. – Na Wenus?

– Nawiewajcie, rywale! – zawył przeraźliwie siódmoklasista-ofiara akceleracji. – Poddajcie się, póki nie jest za późno! Mistrz świata na boisku!

– Stanę na podaniu – powiedziała Katia, która na razie nie ufała Alicji. – Ty bliżej siatki. I staraj się grać obiema rękami naraz.

– Dobrze – kiwnęła głową Alicja.

– Zaczynajcie! – podał komendę Edward.

Serwowały siódmoklasistki. Piłkę przyjęła Katia, uderzenie jednak było bardzo silne i Katia wybiła ją daleko poza boisko. Jeden – zero.

Drugi serw przyjęła prawidłowo i piłka wystrzeliła jak świeca w górę. Lena Dombazowa chciała przerzucić ją na drugą stronę, lecz Alicja krzyknęła:

– Wystaw mi!

Lena ostrożnie podstawiła ręce i piłka znów frunęła w górę. Alicja podskoczyła tak wysoko, jak gdyby w kapciach miała sprężyny, uniosła rękę, ledwie dotykając rozcapierzonymi palcami piłki, która niczym pocisk wystrzelony z armaty wbiła się pod kątem ostrym w boisko przeciwniczek i uderzyła rykoszetem w przeciwległą ścianę.

– Brawo! – wykrzyknęła Katia.

Szóstkłasiści zaczęli bić brawo, choć byli przekonani, że to przypadek.

Serwowała Lena. Niestety raczej średnio. Piłka poleciała wysoko i siódmoklasistki odbiły ją z łatwością. Tym razem jednak Alicja nie czekała, aż ktoś jej piłkę wystawi, podskoczyła i ścięła ją tak, że piłka niemal pionowo rąbnęła w podłogę.

– Nieuczciwie! – ryknęli siódmokłasiści. – Przeszła na naszą stronę.

– Spokój! – przekrzyczał wszystkich Edward. – Ja widzę lepiej. Piłka zaliczona.

Kiedy Alicja wbiła im jeszcze pięć takich piłek i stało się jasne, że siódmoklasistki sobie z nią nie poradzą, zażądały time-out od sędziego i oświadczyły:

– Przecież ona nie jest z ich klasy. Nigdy przedtem jej nie widziałyśmy.

– Chcecie, to wam pokażemy dziennik klasowy? – spytała Katia Michajłowa.

– Ona jest nasza! Nasza! Nasza! – krzyknęli chłopcy. – Sie-lez-nie-wa! Zuch-ja-kich-ma-ło!

Trzeba więc było grę kontynuować, a kiedy szóstkłasiстки wygrały tego seta, potem następnego, decydującego, długi siódmoklasista odezwał się do swoich, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:

– To przebrany chłopak. Mówię wam. Widziałem ją, mieszka na Arbacie.

Alicję otoczyli koledzy i koniecznie chcieli podrzucać w górę, ona jednak rzekła:

– Nie róbcie tego, jestem całkiem mokra, dawno nie grałam.

– Chodzisz do szkoły sportowej? – spytał Fima. – Czy też wszyscy u was tak grają?

– Większość – odparła Alicja.

– Łamię sobie głowę – powiedział Fima Korolow – co też to za miasto...

Alicja nie odpowiedziała i poszła z dziewczętami pod prysznic. Kiedy wróciły, chłopcy właśnie przegrywali mecz.

– Edwardzie Piotrowiczu – spytał Kola Naumow, gdy wynik przedstawiał się dwanaście-pięć dla siódmoklasistów. – Czy ten sam gracz może grać w dwóch drużynach?

Siódmoklasiści zagwizdali, zarechotali, wyrażając najwyższą pogardę, zaś Edward Piotrowicz odpowiedział krótko:

– Wstydź się, mężczyzno!

– Co ma do tego mężczyzno? – powiedział Fima Korolow, który w stroju gimnastycznym wydawał się jeszcze okrąglejszy i bardziej podobny do pomidora niż w ubraniu. – U nas w klasie jest całkowite równouprawnienie.

Mimo to Edward nie pozwolił Alicji wyjść ponownie na boisko i chłopcy przegrali. W sumie spotkanie zakończyło się remisem, ponieważ jednak dziewczęta wygrały 2 : 1, a chłopcy przegrali 0:2, do finału i tak weszli siódmoklasiści.

Gdy już się zbierały do domu, czekając tylko na chłopców, Katia spytała:

– Sielezniewa, czemu się wcześniej nie przyznałaś? Grałabyś od samego początku zamiast tych ciepłych klusek i wszystko potoczyłoby się inaczej.

– A te ciepłe kluski to kto? – spytała słodziutkim głosem Larysa. – Może dokładniej określisz?

– Ani mi się śni. Powiedziałam to, co słyszałaś.

Katia jest osobą bezpośrednią i lepiej się z nią nie wdawać w spory. Toteż Larysa dała już spokój, pomyślała tylko, że jakoś nie bardzo jej się podoba ta nadgorliwa Alicja.

A Edward Piotrowicz spytał:

– Uprawiałaś może lekkoatletykę?

– Niespecjalnie – odparła Alicja. – Po prostu w szkole, z kolegami.

– Rozumiem. Jutro po lekcjach czekam na ciebie na stadionie. Nasza szkoła bierze udział w zawodach regionalnych. Nie zawiedziesz?

– Nie zawiedzie – odpowiedziała za Alicję Katia.

Ze szkoły Alicja i Julka wracały spacerem, Julka wspominała epizody z meczu siatkówki. Nie była już zła na Alicję, że zbyt się afiszuje ze swoimi zdolnościami rodem z przyszłości – przeciwnie, uważała, że Alicja słusznie postąpiła, pomagając swojej klasie wygrać z tymi zadufanymi siódmoklasistkami.

– Teraz wolałabym, żebyś jak najdłużej nie znalazła tego swojego Koli – oświadczyła. – Dla naszej klasy jesteś po prostu cenną zdobyczą. Może się nie spieszymy, co? Tym bardziej, że żaden się nie przyznaje.

– Nie gadaj głupstw! Przecież to nie zabawa.

– No, więc co robimy, Sherlocku Holmesie?

Były już prawie przed domem. Nagle Alicja chwyciła Julkę za rękę i szepnęła:

– Prędszej! – Wepchnęła ją na klatkę schodową i przylgnęła do ściany.

– Co się stało?

– Nie wychylaj się!

Po chodniku człapały ciężkie kroki. Przez szybę w drzwiach zobaczyły Wesołka Ypsilon. Grubas spieszył się, rozglądał, niemal biegł.

– Widział nas – szepnęła Alicja. – Ale teraz stracił z oczu.

Przed frontowym wejściem kroki ucichły.

– Prędszej, tędy! – szarpnęła Alicję Julka. – Ta klatka ma tylne wyjście na podwórko.

Przebiegły na skos podwórko do bramy i znalazły się w drugim zaułku. Dla nabrania tchu

przystanął mając pewność, że zupełnie zmyliły ślad.

– No i co powiesz na to? – spytała Alicja.

– Podejrzewasz, że wysłedzili nas przed szkołą?

– Mam nadzieję, że nie. Ale wysłedzą, jeżeli nie dziś, to jutro. Zapominasz, że mamy do czynienia z dorosłymi bandytami.

– Tak – westchnęła Julka – zapominam. Jakoś nie zetknęłam się dotychczas...

– Powiedziałabym temu przekłętemu Koli, żeby lepiej oddał myelofon, bo się do niego dobiorą do niego piraci... ale on i tak by nie uwierzył – zastanawiała się Alicja.

– Pewno nie – zgodziła się Julka. – A nużby jednak uwierzył?

TO BANDYTA Z PRZYSZŁOŚCI

Boria Messerer tak się przykleił do Koli i Fimy Korolowa, że nie było wyjścia – musieli powiedzieć, że idą odrabiać lekcje. Bori nienawistna była sama myśl o tym, że można dobrowolnie zasiać do lekcji. Toteż zmył się natychmiast.

– Posiedźmy na bulwarze – zaproponował Kola.

– Chcesz pogadać? – spytał domyślnie Fima.

– Mhm.

Usiedli na ławce. Kola rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Co się tak łamiesz?

– Gdybyś ty wiedział... – I Kola zamilkł.

Fima nie mógł długo usiedzieć w milczeniu. Zwłaszcza, że głowę miał zaprzątniętą wydarzeniami dzisiejszego dnia.

– Jak ci się podoba Alicja? Fajny kumpel, nie? – spytał.

– No właśnie – odparł Kola.

– O co chodzi?

– Ona mnie szuka – wyjaśnił Kola.

– Co takiego?

– Szuka mnie.

– Po kiego licha, skoro jesteś widoczny jak na talerzu?

– Wpadłem w takie tarapaty, że nikt by nie uwierzył.

– No, gadaj wreszcie, coś narozrabiał?

– Zdarzyła mi się okropna historia.

– Oj, bo się zaraz rozplaczę – powiedział Fima. – Patrząc na ciebie przykro. Ale co ma do tego Alicja? Przecież dopiero przedwczoraj pojawiła się w naszych stronach.

– Nie, pojawiła się wcześniej. Leżała najpierw w szpitalu razem z Gribkową i wszystkich tam udało jej się okpić. Uwierzyli, że jest zwykłą dziewczynką.

– A jest niezwykła?

– Czyżbyś nie był dzisiaj w szkole? Nie słyszałeś, jak zasuwała po angielsku o Londynie, nie dotarło do ciebie, że zna japoński?

– No, z tym japońskim to zełgała.

– Ja jej wierzę.

– To znaczy, że jest geniuszem językowym – nie dawał się przekonać Fima. – Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– A na meczu siatkówki byłeś? Widziałeś kiedy, żeby dziewczyny tak grały w siatkę?

– W prawdziwych drużynach grają jeszcze lepiej.

– No to w prawdziwych, a ona jest w szkolnej. Specjalnie przyjechała, żeby mnie odnaleźć.

– I dlaczego nie znalazła do tej pory?

– Ona nie wie, że ja – to ja. Nie widziała mnie z bliska.

– A na co jej jesteś potrzebny?

– Bo ona nie jest nasza!

– Jak to nie nasza? Mówi po rosyjsku jak ty i ja.

– I co z tego? Nie to miałem na myśli...

– Czeka! – Fima aż wskoczył na ławkę. – Przyleciała z innej planety? Że też się od razu nie domyśliłem! Jasne, to zwiadowca z innej planety. Specjalnie go przebrali za dziewczynę i umieścili w zwykłej szkole. Odkryje wszystkie nasze tajemnice, a potem zacznie się inwazja na Ziemię.

– Ach te twoje fantazje! Ona nie jest żadnym obcym przybyszem, jest najzwyczajniejsza.

– To po licha ta cała nerwowa?

– Bo Alicja jest z przyszłości.

– Skąd?

– Z przyszłości. Ona żyje za sto lat.

– Słowo honoru?

– Dlaczego miałbym kłamać. Widziałem ją tam na własne oczy.

– Gdzie?

– W przeszłości, a gdzieżby indziej?

– Sfiksować można! – jęknął Fima. Spocił się z przejęcia, choć wcale nie było gorąco. – A jakim cudem się tam znalazłeś?

– Są sprawy, o których nie mogę mówić. Nie oznacza to wcale, że ci nie ufam. Po prostu tak narozrabiałem, że niebezpiecznie byłoby cię w to mieszać.

– Ja się nie boję – nadał się Fima. – Jakoś sobie poradzę. Lepiej martw się o siebie.

– I martwię się. Ale słuchasz dalej?

– Pewnie, że słucham.

– No więc, znalazłem się w przyszłości... Czeka!

– Co się stało?

Kola błyskawicznie zsunął się bokiem z ławki i ukrył się za nią. Fima przechylił się za oparcie i spytał:

– Całkiem ci odbiło?

– Nie patrz na mnie! Siedz, jakbyś był sam. Jestem zgubiony!

Dramatyczny ton Koli przekonał Fimę, że to nie żarty. Wyjął więc książkę z teczki, otworzył ją i spytał, starając się nie poruszać wargami i nie odwracać głowy:

– Kto to?

W odpowiedzi zza ławki dobiegł szept:

– Widzisz grubasa idącego alejką?

Aleją rzeczywiście szedł grubas objętości trzech normalnych ludzi, w ciemnych okularach i długim płaszczu sięgającym prawie do ziemi. Mimo swojej tuszy szedł szybko, kręcąc głową na wszystkie strony, jak gdyby kogoś wypatrywał. Zrównawszy się z Fimą, przyjrzał mu się uważnie, Koli jednak nie zauważył.

Gdy już ich minął, o mało wszystko nie przepadło. Kola nagle kichnął ogłuszająco, aż przestraszony Fima podskoczył na ławce.

Grubas zatrzymał się i odwrócił.

Fima zaczął wycierać dłonią nos, stwarzając pozory, że to on kichał.

– Przepraszam – rzekł do grubasa.

Grubas westchnął i poszedł dalej.

Wreszcie Kola odważył się wyleźć spod ławki.

– O mało nie wpadliśmy – jęknął.

– Mógłbyś mi podziękować. Ty kichałeś, a ja za ciebie udawałem katar. Kim jest ten człowiek?

– Chodźmy prędzej. Tu gdzieś może być drugi... A ja go nie pamiętam, jest mały, niepozorny.

Przeskoczyli przez barierę bulwaru i wbiegli do bramy jakiegoś domu.

– Powiedz wreszcie, kim oni są. A może to też tajemnica?

– Nie, nie tajemnica. Ale jestem zgubiony. Myślałem, że tylko Alicja na mnie poluje, a okazało się, że oni również.

– Jacy oni?

– Jak to jacy? Bandyty z przyszłości. A może w ogóle z innej planety.

– Fakt – przyznał Fima. – Wyczułem w jego ruchach coś nie z tej ziemi.

– Akurat. Gdybym ci nie powiedział, niczego byś się nie domyślił.

– Dokąd teraz pobiegniemy? Dużo ich ugania się za tobą?

– Nie wiem. Być może ktoś jeszcze. Ale tamtych nie widziałem.

– I co im się tak w tobie nie podoba? Fizjonomia?

– Cicho!

– Już wiem – paplał dalej Fima. – Wykradłeś stamtąd sekret wiecznej młodości. I teraz oni chcą...

Kola ostrożnie wysunął nos z bramy.

– Chyba droga wolna.

– I co dalej?

– Chodźmy do mnie. Pokażę ci coś. Inaczej mi nie uwierzysz.

– Dlaczego? – spytał Fima. – Na pewno uwierzę. I że latałeś wczoraj we śnie na Marsa, uwierzę, i że twoja babcia mieszka na Hawajach – też uwierzę.

Kola nic nie odpowiedział. Przechodnim podwórkiem wydostali się na Siwcew Wrażek, przy czym Kola nieustannie rozglądał się na wszystkie strony.

Fima popatrywał nań ironicznie. Cóż mu bowiem zostało oprócz ironii? Z jednej strony chciałoby się wierzyć, a z drugiej – spróbuj, człowieku, wierzyć, gdy ktoś ci opowiada, że był w przyszłości, podróżował wehikułem czasu, a teraz szuka ratunku przed ludźmi stamtąd. Na dokładkę dziewczynka z ich klasy okazuje się również przebranyim człowiekiem z przyszłości.

Weszli na pierwsze piętro, Kola otworzył drzwi.

– Nie ma nikogo. Moi staruszkowie są w pracy. Włącz.

– Najpierw zajrzyj do lodówki – powiedział Fima – Może tam coś znajdziesz. Jestem okropnie głodny. Przecież miałem iść do domu, a tam obiad już na mnie czeka.

– Stanowczo nie jesteś romantykiem – stwierdził Kola, poszedł jednak do kuchni.

Na stole leżała karteczka ze wskazówkami zostawionymi przez mamę Koli – co podgrzać, a co ugotować.

– Kiedy jestem głodny, romantyzm we mnie umiera – powiedział Fima. – I w ogóle uważam, że nie spotyka się głodnych romantyków.

– Nie masz pojęcia o życiu – podsumował go Kola. – Romantycy z reguły bywają głodni. A ty mógłbyś opchnąć konia z kopytami... Będziesz jadł zimną zupę?

– Lepiej zacznijmy od kotletów. A ty opowiadaj.

OPOWIADANIE I DOWODY RZECZOWE

W czasie gdy Kola opowiadał o swojej podróży w przyszłość, Fima niepostrzeżenie wsunął wszystkie kotlety – zarówno przeznaczone dla Koli, jak i dla jego rodziców. Kola nie zauważył jednak spustoszenia poczynionego przez kolegę, był tak pochłonięty swymi wspomnieniami, że Fima mógłby zjeść nawet lodówkę wraz z jej zawartością.

Człowiek zawsze pragnie podzielić się z kimś tajemnicą. Im bardziej jest zdumiewająca, im głębsza, tym silniejsze jest owo pragnienie. Doskonale zdaje sobie sprawę, że powinien milczeć jak grób – milczenie jest dlań jedynym ratunkiem – tymczasem nosi w sobie tajemnicę niczym bombę z opóźnionym zapalnikiem, dopóki nie wybuchnie. Gdyby Alicja nie przyszła do szkoły, być może Kola nie puściłby pary z ust. Ale najpierw Alicja, potem grubas-bandyta – to zbyt wiele na jednego człowieka. Bez powiernika ani rusz.

Fima słuchał jak zaczarowany. Z przejęcia pochłonał wszystkie kotlety. Jadł nie zdając sobie sprawy, co robi. Tylko od czasu do czasu wykrzykiwał:

„No!” lub: „Coś ty!”, albo jeszcze: „Głupol!”

– Wtedy wybiegłem z jego mieszkania – zakończył Kola swoje opowiadanie. – Wpadłem do domu, ukryłem wszystko i myślałem – udało się. Wierzysz mi?

– Wierzę – odparł Fima, odgryzając naraz połowę bułki paryskiej. Jego rumiane policzki błyszcząły jak lakierowane. – Nie potrafiłbyś wymyślić czegoś takiego. Nawet ja bym nie potrafił.

– Jeśli zdradzisz tajemnicę!

– Ani mi to w głowie. W dodatku wątpię, czy znalazłby się ktoś tak łatwowierny, jak ja.

– No i co o tym powiesz?

– Co powiem? Dlaczego od razu, następnego dnia, nie zwróciłeś tego aparatu? Wszedłbyś do kabiny, wyszedł za sto lat, położył na stoliku razem z karteczką: „Przepraszam za kłopoty”. I tyle cię widzieli.

– Nie mogłem – wyjaśnił Kola. – Mama zabrała klucz. Okazuje się, że dzwoniła do szpitala dowiedzieć się o zdrowie sąsiada, a on ją prosił, by nikomu poza jego przyjacielem, nawet mnie, klucza nie dawała. Widocznie przypomniał sobie, że wehikuł czasu stoi otworem. No i matka schowała gdzieś klucz. Pewnie nosi przy sobie.

– Mógłbyś poszukać go w nocy.

– Szukałem. Nic z tego.

Umilkli.

Po chwili Fima zapytał:

– A gdzie masz ten aparat?

– Mogę ci pokazać nie tylko aparat. Mam również inne dowody.

– No to na co czekasz? Pokazuj!

Kola wyjął z szuflady biurka pudełko po papierosach. Spoczywały w nim trofea przywiezione z przyszłości.

– Najpierw to. – Wyciągnął złotą gwiazdkę. – Wiesz, co to takiego?

– Gwiazdka.

– Prezent od kosmonauty Żeglugi Wielkiej, kapitana Połoskowa. Każda gwiazdka na rękawie oznacza kolejną gwiazdną ekspedycję. Kapujesz?

– Aha.

– A teraz to. Trochę wyschło, ale można rozpoznać.

– Skórka z banana.

– Jesteś genialny, Fima. To rzeczywiście skórka z banana. Ale nie z teraźniejszego. Pochodzi z pracowni młodych biologów na Bulwarze Gogola.

– One tam rosną pod gołym niebem?

– Będą rosły. I mały będą harcować wśród gałęzi.

– A banana zjadłeś?

– Banana musiałem zjeść na drugi dzień, żeby nie zgnił.

– No właśnie. Gdybym to ja zawędrował w przyszłość, poczęstowałbym przyjaciela bodaj bananem.

– To nie ze skąpstwa, bałem się zdradzić tajemnicę.

– Zawsze tak bywa – powiedział Fima. – Jak przyjaciel niepotrzebny, to się o nim nie pamięta.

A w biedzie – gdzie jesteś, przyjacielu?! Spiesz na pomoc!

– No dobrze już, dobrze. Pokazywać dalej?

– Pokazuj.

– Trzymaj. Poznajesz?

– Obarzanek. Czerstwy.

– To obarzanek hodowlany, szybko dojrzewający. Wyhodował go Arkasza.

– Można ugryźć kawałek?

– Zaczekaj. Wsunąłeś już całą bułkę. A to, jak mylisz, co to takiego?

– Kamień.

– Zwyczajny kamień?

– Skąd mam wiedzieć? Powiem, że zwyczajny, a ty mi zasuniesz, że to marsjański diament.

– Prawie zgadłeś. Wielka śpiewaczka, Milena Mitina, nawiasem mówiąc, moja krajanka z Konotopu, przywiozła go z występów gościnnych w Galaktyce i dała mi na pamiątkę.

– Czekaj no, Kola, to ty jesteś z Konotopu?

– Nie, ona jest z Konotopu.

– Dlaczego więc ma być twoją krajanką?

– Dlatego że tam, w przyszłości, byłem z Konotopu.

– I wierzyli ci?

– Nie zawsze.

– No dobra. Co jeszcze przywiozłeś?

– To mało? Oto zasuszony listek z szybko rosnącego drzewa obarzanekowego...

– Oczywiście, wierzę ci, ale co mi pokazałeś? Złotą gwiazdkę z naramiennika wojskowego,

skórkę z banana, obarzanek, wyschnięty listek i kamień. Jeśli ktoś będzie miał wątpliwości, raz-dwa ci udowodni, że wcale nie byłeś w przyszłości, lecz po prostu wszystko wymyśliłeś.

– Ale przecież... – Kola popatrzył na swoje skarby obcym okiem i rzeczywiście zrodziło się w nim zwątpienie. – Ale przecież ty wierzysz...

– Uwierzę – twardo powiedział Fima – jeśli mi jeszcze coś pokażesz.

– Dobrze, ale przysięgnij na wszystkie świętości, że nikomu nie powiesz.

– Też mi romantyk! Tak mówią tylko w książkach dla dzieci.

– Dobrze, daj mi słowo.

– Dałem już.

Kola westchnął i wlaź pod biurko, gdzie stała skrzynka pełna narzędzi, kawałków drutu, zepsutych wyłączników i innych drogocennych przedmiotów. Na pudełko po butach. W nim – pod warstwą drobiazgów – czarna torba na długim pasku.

– Masz, obejrzyj, tylko ostrożnie.

Fima obejrzał, zważył torbę w rękach.

– A jak to działa? – zapytał.

– Zwyczajnie. – Kola przewiesił torbę przez ramię i na wpół ją otworzywszy, wyjął cieniutki przewód ze słuchaweczką na końcu, którą włożył do ucha. – Możemy przystąpić do pracy – oznajmił.

– Skąd wiesz, jak to działa?

– Ich urządzenia są dość proste, z minimalną ilością detali. Widziałem Alicję podczas pracy, a i w domu próbowałem trochę.

– No i o czym teraz myślę? – spytał Fima, starając się nie myśleć o niczym.

– Nie muszę na ciebie nastrajać – uśmiechnął się Kola. – Myślisz, jak by tu samemu spróbować.

– Ale ja chcę dokładnie.

– Dokładnie zaraz się dowiemy.

Kola otworzył torbę, zaczął powoli obracać kółeczkiem, nastrajać.

– Aha... zjadłbyś coś? Przecież spałaszowałaś wszystkie kotlety!

– Twój aparat kłamie! – oburzył się Fima. – Wcale nie myślałem o jedzeniu.

– Więc myślały za ciebie twoje szare komórki.

– One też nie myślały...

– Dziwne...

– Nawet bardzo dziwne.

– Zaraz! Gdzie kot?

Kola obejrzał się. Fima także. Kot siedział w rogu pokoju, oblizywał się i wytrzeszczał chmurne żółte ślepia.

– Wybacz, Fima – sumitował się Kola. – To moja wina. Fale się nałożyły, zatrzymałem się na częstotliwości fal kota, a on ma tylko jedno na myśli: żarcie, choć rano zmlócił pełną miskę dorsza. Poza tym żadnych innych pragnień.

– Daj mi spróbować – niecierpliwił się Fima – skoro ta maszynka jest taka prosta.

– Za chwilę.

Kola znów pokręcił kółeczkiem.

– Proszę – ucieszył się. – Mogę powtórzyć twoje myśli słowo w słowo. Słyszać lepiej niż przez telefon. I nie licz w myślach, nie zbijesz mnie z tropu. „Trzydzieści siedem, trzydzieści osiem... trzydzieści dziewięć... Czyżby on rzeczywiście mógł odczytywać cudze myśli?” Powtarzam to

wszystko za tobą. „Można by to wykorzystać na lekcjach... Rutkiewicz pisze klasówkę, a ja ściągam nie zaglądając”.

– Dosyć! – zawołał Fima. – Wierzę ci, odgadłeś wszystko! Daj teraz mnie!

Kola ostrożnie przewiesił torbę na ramię Fimy. Oddał mu słuchawkę i stanął przy oknie, jak gdyby go to nie dotyczyło.

– Kręć kółeczkiem. Jeśli usłyszysz coś o jedzeniu, to kot Markiz. Kręć dalej, aparat jest ogromnie czuły, zasięg około dwudziestu metrów. Zapewne każdy mózg ma inną częstotliwość fal...

Fimka pokręcił kółeczkiem, zamarł i długo słuchał, zamknąwszy oczy. Potem wyjął słuchawkę, położył torbę na stole i przyznał się:

– Mimo wszystko myślałem, że bujasz. A ty ani słowa...

– Trudno uwierzyć, prawda?

Fima usiadł na kanapie, skrzyżował ręce na brzuchu.

– Chyba za dużo kotletów zjadłem – westchnął. – Nie mam wcale ochoty na obiad, a babcia zaraz zacznie: „Czemu nie mamy apetytu? Co dolega naszemu chłopczykowi?” Rozpuściła mnie jak dziadowski bicz.

– Gadajże na temat! – oburzył się Kola. – Jak możesz myśleć teraz o kotletach!

– Co tu gadać? Źle stoją twoje sprawy. Masz rację.

– Dlaczego źle?

– Włącz się na moje myśli, posłuchaj, a zrozumiesz. Na co tracić słowa?

– Chyba nie zapomniałeś jeszcze języka rosyjskiego?

– No, cóż mam ci powiedzieć? Narozrabiałeś, że nie daj Bóg.

– Wiem.

– Wyplątać się musisz sam.

– Przecież jesteś moim przyjacielem!

– Jestem. Inaczej bym się nie martwił. Nie będzie dla ciebie litości.

– Jesteś tego pewien?

– Absolutnie. Przekroczyłeś pierwsze przykazanie podróżników w czasie: naruszyłeś tajemnicę Czasu.

– Ależ nie wiedziałem nawet, że trafię do przyszłości.

– Twojemu sąsiadowi też nie zazdroścę.

– Posłuchaj, oni nie są tacy okrutni. Przecież żyją tam do tej pory współcześni nam ludzie.

– Ty dzieciaku! Co oni mają tu do gadania? Myślę, że cię potajemnie tam przetransportują, a następnie zlikwidują. Żeby zrównoważyć.

– Co zrównoważyć?

– Szkodę wyrządzoną przez ciebie. Czytałem takie opowiadanie amerykańskie. Człowiek trafił do przeszłości, rozdeptał motyla – i w Ameryce wybrano nie tego prezydenta. Wszystko jest ze sobą wzajemnie powiązane.

– Tego się właśnie obawiałem – powiedział Kola.

– Czytałem też opowiadanie, jak pewien człowiek tworzył wciąż nowe fantastyczne projekty, przyszli po niego z kontrwywiadu przyszłości i zabrali.

– Nie dokonałem żadnego wynalazku.

– Dokonałeś kradzieży.

– A może powinienem się przyznać? Myślałem już, by podejść do Alicji i powiedzieć:

zawiniłem, ale chciałem jak najlepiej. Przecież nie ukradłem, po prostu odebrałem bandytom.

– Kto ci uwierzy? Faktem jest, że zabrałeś aparat. I niestety, nie będzie dla ciebie litości.

– No, to co mam począć, Fimka? Może powiedzieć rodzicom?

– Coś ty, całkiem już zbzikowałeś! Zaprowadzą cię do psychiatry i będą mieli po temu pełne prawo. Za dużo się nasz chłopiec uczył i klepki mu się pomieszały.

– Masz rację.

– Jedyne wyjście to milczeć. Nawet jeśli cię przyprą do muru – milcz. A ten aparat lepiej wrzucić do rzeki Moskwy.

– Nie, tego nie zrobię. Chcesz, dam ci na przechowanie?

– Żeby mnie zlikwidowali zamiast ciebie?

Milczeli przez dobrych pięć minut.

– Eureka! – wrzasnął Fima. – Jest wyjście.

– Jakie?

– Kiedy wraca twój sąsiad?

– Pewnie za tydzień albo dziesięć dni. Mama go odwiedzała.

– No i świetnie. Jak tylko wróci, pójdziesz go odwiedzić. Aparat weźmiesz ze sobą.

– I co? Boję się przyznać.

– Wcale się nie przyznawaj. Powiedz, że chciałbyś wymierzyć fregatę. W trakcie mierzenia połóż ostrożniutko aparat pod stołem. I wyjdź. Jasne?

– Znajdzie i domyśli się, że to ja.

– A gdzie dowody? Mógł zapomnieć któryś z jego agentów.

– A jeśli...

– Żadnych „jeśli”! Najważniejsze, nie zapomnij wytrzeć odcisków palców. Nie zapomnisz?

– Nie.

– Załatwione?

– Dobrze by... Ale nie powiesz nikomu?

– Żeby zostać twoim współnikiem w dokonaniu przestępstwa stulecia? Nigdy! Jeszcze mi się chce żyć... A w ogóle idę do domu. Nie pietraj się, słyszysz? Jakoś to będzie.

– Zaczekaj! Może weźmiemy go na dwór, posłuchamy, o czym ludzie myślą...

– Nie bardzo mi się chce, czekają na mnie z obiadem. A na dworze mogą się czaić twoje grubasy i rzezimieszki. – Fima włożył wiatrówkę. – Nie podchodź do drzwi, lepiej niech nas razem nie widzą...

Kiedy drzwi były już otwarte, wrócił nagle i spytał szeptem:

– Ale dlaczego Alicja znalazła się w naszej klasie? Przecież nie widziała cię z bliska.

– Podpisałem się na ławce, nie pamiętasz?

– Idiota!

– Owszem, idiota, wtedy jednak nie przypuszczałem, że sprawy tak się potoczą...

– W przyszłości zawsze trzeba myśleć. Napisałeś swoje nazwisko?

– Tylko imię. Aha, i klasę.

– Twoje szczęście, że w klasie mamy trzech chłopaków o tym imieniu – skombinował Fima. – Skierujemy śledztwo na fałszywy tor. Jutro przedstawię ci szczegóły.

I Fima zniknął.

NAPOLEON NA ZAMÓWIENIE

Piraci niekoniecznie muszą uganiać po oceanach i Kosmosie z kindzalami, pistoletami, bronią laserową. Można ich spotkać wszędzie. Czasem maluch w żłobku już okazuje się piratem – usiłuje zabrać drugiemu dziecku zabawkę. Czasem bywa tak, że pirat nie popadł w życiu w kolizję z prawem, nikogo nie ograbił ani nie zabił, a w samej rzeczy – tu ukradł myśl, tam zamordował słowo, gdzie indziej zadusił uczucie i w sumie szkody narobił więcej niż cały bryg z piracką banderą.

Co zaś dotyczy Wesołka Ypsilon i Krysa, to byli oni najbardziej typowymi przedstawicielami pirackiego plemienia, łączyli w sobie cechy zwykłych piratów i piratów utajonych. Jeśli mieli okazję, stawali się grabieżcami, mordercami i złodziejami. Jeśli się ich przyłapało, wykręcali się za pomocą plotki, intrygi, oszustwa i oszczerstwa.

Fama głosi, że pojmano ich kiedyś na mglistej planecie Retispera i zaprowadzono tam do naczelnego lekarza-psychiatry. Czy da się ich wyleczyć? Lekarz badał ich przez trzy miesiące, nie sypiał po nocach, stracił na wadze osiem kilogramów i w końcu postawił diagnozę: „Całkowita atrofia sumienia”. Co oznacza: nie ma w nich ani odrobiny czegoś, co bodajby przypominało sumienie, nie znane im są takie pojęcia jak wstyd, skrucha czy litość. Nawet sobie nawzajem też nigdy nie okazywali współczucia.

Naczelnemu psychiatrze z planety Retispera zadano pytanie:

– Co teraz z nimi począć? Jak leczyć? Przecież nie ma chorób nieuleczalnych.

– Na naszej planecie pokonaliśmy już wszystkie choroby – odrzekł lekarz. – Ale na to niezwykle rzadkie schorzenie nie mamy lekarstwa. Przypadek beznadziejny. Będziemy nad tym pracować, szukać leków, środków...

W czasie gdy toczyły się te rozmowy, piraci ogłuszyli strażę, o mało nie pozbawili życia naczelnego psychiatrę i zwiali. Tak więc problem leczenia ludzi z całkowitą atrofią sumienia pozostał otwarty.

I oto teraz tacy ludzie przypadkiem znaleźli się w Moskwie. Może to i lepiej, że byli po uszy zajęci poszukiwaniem myelofonu i nie mieli czasu na inne intrygi i łajdactwa. Choć nawet mimochodem zdążyli narozrabiać co niemiara.

Można by szczegółowo opowiedzieć, jak piraci, zobaczywszy Alicję, przeniknęli jej śladem do naszych czasów, jak ją stracili z oczu na ulicy, odnaleźli już w szpitalu, jak starali się przedostać do szpitala i zmusić ją do wydania Koli.

Można by opowiedzieć, jak obserwowali szpital, kazali cieniutkiemu, prawie niewidocznemu zaskrońcowi walapaskiemu podsłuchiwać rozmowy lekarzy i pielęgniarek, jak przygotowywali uprowadzenie Alicji z pomocą pseudo-Alika, którego postać przybrał Krys. I jak jeszcze raz zgubili ślad Alicji i dalej jej poszukiwali, wciąż zacieśniając krąg.

Można by opowiedzieć również o innych sprawach: jak żyli przez ten czas w Moskwie, jak

znaleźli zamknięty na cztery spusty dom, opuszczony przez mieszkańców z powodu rozbiórki, jak urządzili tam sobie legowisko. I o tym, jak zahipnotyzowali kasjerkę w domu towarowym i w ten sposób zdobyli dla siebie ubrania, i jeszcze jak kradli różne towary. Ale czy warto tracić czas dla takich nikczemników?

Kontynuując naszą opowieść, trzeba tylko wspomnieć, jakim sposobem piraci znaleźli sobie pracę.

Siedzieli kiedyś na skwerze, zmęczeni długim chodzeniem.

– Kończą się pieniądze – oznajmił Wesolek Ypsilon.

– Mogę ci ich natrzaskać, ile tylko zechcesz – odrzekł na to Krys. – Będą całkiem jak prawdziwe.

– Nie, twoje pieniądze są niebezpieczne. Wystarczy obejść pięć kroków i znikają.

– No to ograbmy kogoś.

– Nie, to też niebezpieczne. Za bardzo się rzucam w oczy. Zaraz by mnie złapali. Ty zamienisz się w kogokolwiek i dasz nogę, a mnie złapią.

– Nie martw się, ciebie też uratuję.

– Aha, już lecę ci wierzyć – odparł Wesolek Ypsilon. – Jeśli wpadniemy w tarapaty, sprzedasz mnie z miejsca.

– Tak jak ty mnie. Patrz, co to takiego?

Przed skwer zajechał wielki furgon z napisem „Ekipa filmowa”. Furgon zahamował, wyskoczyli zeń młodzi ludzie, w mig wyładowali reflektory, przeciągnęli kable. Podjechały inne samochody.

Mimo jasnego, słonecznego dnia wycelowano reflektory w okna stojącego frontem do skweru zabytkowego pałacyku.

Nadjechał autokar wypełniony dragonami i huzarami w czakach.

Żwawy mężczyzna w ogromnych okularach zawołał przez megafon:

– Gdzie Napoleon? Pytam, gdzie jest Napoleon?

– Został w bufecie – odparła dumna piękność w sukni do ziemi. – Pewnie spóźnił się na autobus.

– Ładna historia! – wykrzyknął mężczyzna w okularach. – Jakże mam kręcić bez Napoleona?

– Jedzie, jedzie – zawołali zgromadzeni.

Podjechała taksówka. Wysiadł z niej Napoleon. Prawdę mówiąc, piraci nie mający żadnego wykształcenia, w dodatku urodzeni na innej planecie, sądzili, iż „napoleon” to jakaś funkcja.

– Iwanie Siemionowiczu! – darł się człowiek w okularach. – Pan mnie zarzyna tępym nożem!

Krys nadstawił uszu. Był kolekcjonerem. Kolekcjonował sposoby torturowania.

– Skądże znowu! – odparł Napoleon, zerwał z głowy trójgraniasty kapelusz stosowany i usiadł na bębnie. – Mam potworną migrenę.

– Niemożliwe! Przecież pan jest już na miejscu! – Mężczyzna w okularach był wściekły, stropiony, nie tracił jednak nadziei.

– Bynajmniej – odparł Napoleon. – Uprzedziłem pana tylko i jadę do polikliniki.

Z tymi słowami Napoleon wszedł do taksówki. Jego ostry profil za szybą samochodu był nieprzejednany.

– Koniec – wymówił z rezygnacją mężczyzna w okularach, odprowadzając wzrokiem samochód.

– Cały dzień stracony! – Wzniósł ręce ku niebu i wykrzyknął: – Pół królestwa za Napoleona!

– Niech się pan nie denerwuje, Nitkin – powiedziała dama w długiej sukni. – Szkoda zdrowia.

On nie jest wart pańskiego małego palca.

I nagle z krzaków wyszedł Napoleon nie różniący się niczym od tego, który przed chwilą

odjechał.

– Ile jest warte pańskie pół królestwa? – spytał głosem Iwana Siemionowicza.

– A to co? – zdumiał się Nitkin. – Jak tak można? Przecież odjechałeś przed chwilą! Czy to żart?

Jeśli żart, to w złym guście.

– Jestem drugim Napoleonem – wyjaśnił Krys. – Dawajcie pół królestwa.

Usiadł na bębnie, ponieważ był przekonany, że jest to zwyczaj wszystkich „napoleonów”, zaś wokół niego zebrała się ekipa filmowa usiłująca choćby cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć.

Wtem z krzaków wynurzył się Wesołek Ypsilon.

– Mogę zaświadczyć – powiedział. – Mój pomocnik potrafi skopiować, kogo tylko zechce. To wielki talent.

– Nie wierzę! – wrzeszczał histerycznie Nitkin. – Nie wierzę! Udowodnij, że nie jesteś Iwanem Siemionowiczem, który właśnie zostawił nas na pastwę losu.

– Momencik – powiedział Krys.

Przesunął dłonią przed swoją twarzą i nagle stał się samym reżyserem Nitkinem.

– Przekonywające – rzekł reżyser. – Co za przeistoczenie! Gdzie ja już widziałem tę antypatyczną twarz?

– Przecież to pan, Nitkin – podpowiedziała anielskim głosem dama w długiej sukni.

Rozległy się chichoty. Reżyser zawołał ostro:

– Wszyscy na miejsca, zaczynamy zdjęcia!

– Nie – przerwał mu Wesołek Ypsilon – najpierw pomówimy o pieniądzach. Ile zapłacicie?

– Zgodnie z obowiązującymi stawkami – odparł reżyser. – Jak za sceny masowe.

– Dużo to jest? – spytał Krys.

– No, jak by to powiedzieć...

– Wobec tego zapłacicie mi tyle, ile brał wasz dawny Napoleon.

– Ależ to niemożliwe... On jest zasłużonym artystą...

– Ach, niemożliwe? – spytał Krys.

– Czekaście! Zapłacę. Oddam panu całą moją pensję. Sztuka ważniejsza.

– I mnie – dodał Wesołek Ypsilon.

– A panu niby za co? – zdziwił się reżyser.

– Mój pomocnik nie pracuje w pojedynkę.

– Czy to prawda? – spytał reżyser.

– On żartuje – uspokoił go Krys. – Wspaniale daję sobie radę bez niego. Poszuka sobie innej pracy. Może u was coś się znajdzie?

– No cóż... – Reżyser przyjrzał się Wesołkowi Ypsilon. – Jak tam u pana z krzepą?

– Mam krzepę – skromnie odrzekł Wesołek Ypsilon. – Lewą ręką kładę trzy sklisy.

Nitkin, rzecz jasna, nie wiedział, co to takiego sklisy, ale kiwnął potakująco głową. Reżyser powinien wszystko wiedzieć.

– Będzie pan ustawiał dekoracje.

– I otrzymywał tyle samo, co Napoleon – dodał Wesołek.

– Wykluczone! – oburzył się Krys. – Nie jest tego wart.

– Ach tak! – powiedział Wesołek. – W takim razie odchodzę. I jeśli sam coś znajdę, nie myśl, że się z tobą podzielę.

– Panowie artyści – powiedział Nitkin – wszystko się załatwi. Uspokójcie się!

Od tego dnia piraci rozpoczęli pracę w ekipie filmowej. Krys zastępował po kolei wszystkich chorujących aktorów, czasem pokazywano mu po prostu fotografię, on zaś odtwarzał kogo należało. Reżyser oddawał mu całą swoją pensję, sam zaciągając pożyczki u asystentów. Tymczasem piraci jadali śniadania i kolacje w restauracjach, pili koniak, jeździli taksówkami, więc brakowało im wiecznie pieniędzy i w końcu zaczęli kraść cenną aparaturę filmową. Dwa razy przyłapano ich na gorącym uczynku, darowano im jednak, ponieważ Krys był wielkim dublerem – mógł odtwarzać Napoleona, generałów, żołnierzy, światowe damy, starych mnichów, dzieci, konie, a nawet wiernego Gastona, ukochanego psa marszałka Murata.

Krysowi schlebiało, że obnoszą się z nim jak kura z jajkiem, zwracają się doń per „Krys Krokrysowicz” i zapraszają do udziału w następnym filmie Nitkina „Kościej Nieśmiertelny”. Przemysliwał nawet, czy nie pozostać w branży filmowej. Ale Wesolek, który pracował fizycznie i nie był z tej pracy zadowolony, nie pozwalał Krysowi serio interesować się sztuką i po zdjęciach ciągnął go na poszukiwanie Alicji i Koli.

Z każdym dniem piraci zacieśniali krąg wokół swych ofiar. Ze swoim doświadczeniem w polowaniu na ludzi powinni byli lada dzień ich dopaść.

DZIWNA DZIEWCZYNKA

Wieczorem Julka podeszła po coś do okna i naraz wykrzyknęła:

– A to dopiero!

– Co tam takiego zobaczyłaś? – spytała Alicja.

– Nie uwierzysz! Spójrz!

Alicja nie podeszła do okna. Spytała jeszcze raz:

– Powiedz lepiej, co tam widzisz.

– Ależ nie bój się, to nie piraci – roześmiała się Julka. – Tam, na dole, stoi Napoleon Bonaparte w kapeluszu. Pod samą latarnią. Dostrzegł mnie i macha ręką. Ale ubaw!

Mimo wszystko Alicja nie podeszła do okna. Postawiła na stole filiżankę i spytała:

– Czyżby widok Napoleona spacerującego po ulicy był u was czymś normalnym?

– A po co piraci mieliby się tak dziwnie przebierać? – pytaniem na pytanie odparła Julka.

– Czytałam, że kiedyś dawno temu myśliwi w Afryce ubierali się w błazeńskie stroje, zaś ciekawe strusie biegły do nich ze wszystkich stron, by przyrzuć się dziwnemu stworowi. Wtedy myśliwi strzelali do nich z łuków.

Julka odeszła od okna.

– Rzeczywiście, dlaczego ktoś miałby się przebierać za Napoleona i sterczeć pod moim oknem?

– Powiem ci, dlaczego. Co ja zrobiłabym na miejscu piratów? Zaczęłabym sprawdzać powiązania Alicji. Przypomniabym sobie, że leżała na jednej sali z pewną dziewczynką, która zachowała się bardzo odważnie, gdy zjawili się piraci. Być może Alicja opowiedziała jej o wszystkim. A skoro tak, to może potem uciekła do niej. Jak uważasz, rozumuję logicznie?

– Wiesz co, zadzwonię do Alika Borysowicza.

– Po co? Twoja mama rozmawiała z nim już dzisiaj przez telefon.

– Spytam, czy nikt nie dowiadywał się o mój adres.

– To niczego nie zmieni – powiedziała Alicja. – Jeśli cię wysłędzili, to w najbliższym czasie możesz oczekiwać gości. Po co ja cię wplątałam w tę historię!

– Kogo wplątałaś i w jaką historię? – spytała Natasza, wchodząc do pokoju. – Macie jakieś sekrety, w które nie chcecie mnie wtajemniczyć.

– Ależ nie, coś ty, mamo! – wykrzyknęła Julka. – Nie mamy żadnych sekretów.

– Jeśli nie, to daj nam herbaty – powiedziała Natasza – i poproś babcie.

Gdy już piły herbatę, Natasza przypomniała sobie nagle:

– Rozmawiałam dziś z waszym Alikiem Borysowiczem. Powiedział, że jakiś chłopiec przychodził do szpitala i pytał o adres Julki. Kiedy zdążyłaś sprawić sobie wielbiciela?

– Nie mam żadnych wielbicieli! – oburzyła się Julka.

Alicja kopnęła ją pod stołem.

– Oj! – zrozumiała w lot Julka. – A jak on wyglądał?

– Nie zainteresowałam się tym.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Julka chciała pobiec otworzyć, lecz Alicja ją powstrzymała.

– No, co z wami? – spytała Natasza. – Otwórzcie, dziewczynki.

– Mamo – poprosiła Julka – otwórz, proszę, i jeśli to Napoleon, powiedz, że nie ma mnie w domu.

– Kto? – spytała babcia. – Napoleon? W takim razie sama otworzę drzwi. Całe życie marzyłam o spotkaniu z Napoleonem.

– Mamo – powtórzyła Julka. – Otwórz sama.

– Proszę pani – powiedziała Alicja – nie ma nas w domu.

– W ogóle tu nie mieszkamy – dodała Julka. – Rozumiesz, mamo?

Dzwonek wciąż dzwonił.

– Dobrze – westchnęła Natasza – spróbuję się w tym połapać.

– Dziewczynki, nie rozumiem tego zamieszania... – zaczęła Maria Michajłowna.

– Ciiicho!

Słysząc było, jak Natasza otwiera drzwi. Potem jej głos:

– Ty do kogo?

– Do Alusi – odparł cienki dziewczęcy głosik.

– Jakiej Alusi?

„Brawo, Natasza” – pochwaliła ją w duchu Alicja.

– Jestem ze szkoły – ciągnął dziewczęcy głosik. – Nauczycielka kazała mi pójść do Julki i Alicji.

– Po co?

– Obiecały pomóc mi przygotować się do egzaminu.

Głos dziewczynki był tak cieniutki, jak gdyby za chwilę miała się rozplakać.

– Do jakiego egzaminu? – spytała Natasza.

– Do jakiego, do jakiego? – Głos zmienił się, zabrzmiała w nim złość. – Do najważniejszego.

– A w której jesteś klasie, dziecko?

– Nie powiem.

– Obawiam się, że takie małe dziewczynki nie zdają egzaminów, raczej bawią się lalkami.

Przysłano cię w niewłaściwe miejsce.

– Czy mieszka tu Alicja? Nie odpowiedziała mi pani.

– To on – szepnęła Julka.

Alicja skinęła potakująco głową.

– Dziwna dziewczynka – odezwała się babcia – pójdę zobaczyć.

– Do widzenia – powiedziała Natasza.

– Zobaczymy się jeszcze – warknęła dziewczynka. – Tylko że mnie nie poznasz.

Trzasnęły drzwi.

Babcia z Nataszą wróciły do pokoju.

– Dziwna dziewczynka – pokręciła głową Natasza. – Kto i po co mógł ją tu przysłać?

Julka milczała. Alicja usiadła z powrotem przy stole i przysunęła do siebie filiżankę.

– Może ktoś miałby ochotę szczerze ze mną porozmawiać? – spytała Natasza.

Dziewczynki milczały.

– No dobrze, nie sądźcie tylko, że mam słabą pamięć.

– Opowiemy ci wszyściuteńko, mamusiu. Słowo honoru – obiecała Julka.

– Byle nie za późno – westchnęła Natasza.

Późnym wieczorem, gdy dziewczynki kładły się już spać, Julka przysłała na tapczan do Alicji i spytała szeptem:

– Może jej wszystko opowiedzieć? Ona zrozumie, to równa babka.

– Zastanów się – odparła Alicja. – Natasza jest bardzo dobra, ale jest przede wszystkim matką. Powinna nas obie bronić. Wyobrażasz sobie, jak będzie się trapić? Przecież zwariuje z niepokoju.

– I babcia też – smutno dodała Julka.

– Teraz musimy być podwójnie ostrożne – powiedziała Alicja. – Jutro lub pojutrze dotrą do szkoły.

– A my jeszcze niczego się nie dowiedziałyśmy.

SPYTAJ SADOWSKIEGO

Nazajutrz Alicja znów się zdradziła na lekcji matematyki.

Było to tak.

Kola Sadowski męczył się przy odpowiedzi, zabazgrał już połowę tablicy i ani rusz nie mógł wyplątać się z równania. Co prawda, nie było one proste, a za oknem świeciło słońce i nikt w klasie z wyjątkiem Miły Rutkiewicz nie miał raczej nastroju do nauki. W końcu matematyczce znudziła się szarpanina z Sadowskim, spytała więc, kto mu pomoże. Oczywiście, Miła podniosła rękę, podeszła do tablicy i odrzuciwszy na plecy swój przepiękny warkocz, starła to wszystko, co napisał Sadowski, po czym pewnie wyprowadziła rozwiązanie: x równa się 1,25.

I wówczas Alicja nie wstając z miejsca – w żaden sposób nie mogła się tego nauczyć – powiedziała:

– Iks równa się jedności.

Miłka spłoszowała, warkocz zatrzęsł jej się na plecach z oburzenia. Spojrzała na matematyczkę Nelę, która skinęła jej głową i powiedziała:

– Sielezniewa podała wynik nieprawidłowy. Siadaj, Rutkiewicz. Rozwiązałaś równanie bardzo dobrze.

– To nie gra w siatkówkę – dorzucił złośliwie Fima Korolow.

I gdy triumfująca Rutkiewicz wracała na swoje miejsce, a Nela odwróciła się do tablicy, by napisać przykłady zadane do domu, Alicja znów powtórzyła głośno:

– Iks równa się jedności. Mogę udowodnić.

– Udowodnić? – zdziwiła się Nela, unosząc cieniutkie brwi.

Młodziutką Nelę z fryzurą afro, w długiej sukience, o sylwetce jakby wyciętej z żurnala, uwielbiały wszystkie dziewczęta w klasie.

– Oczywiście – odparła Alicja. – Czy mogę?

– No cóż, proszę, chodź do tablicy.

Julka szepnęła:

– Alicjo, znowu?

Ale ona opędziła się od przyjaciółki jak od uprzykrzonej muchy.

Nie starła rozwiązania Miły, lecz po wolnej stronie tablicy zaczęła szybko wyprowadzać swoje rozwiązanie. I zdarzyło się to, czego Julka się obawiała. Alicja stawiała przedziwne znaczki i symbole, jakich nie przerabia się chyba nawet w dziesiątej klasie. Cała klasa wstrzymała oddech, tylko Miła spoglądała w okno, jak gdyby jej to kompletnie nie dotyczyło.

Nela patrzyła na tablicę, przechyliwszy ładną ufryzowaną główkę. Klasa czekała, co będzie dalej. Gdyby nauczycielka była starsza, bardziej doświadczona, pewnie kazałaby Alicji wracać na miejsce, jako że w szóstej klasie nie wykłada się wyższej matematyki. Nela jednak była młoda

i zupełnie zapomniała, gdzie się znajduje. Wykrzyknęła:

– Nie! Tutaj pokręciłaś!

Wyrwała kredę z ręki Alicji, przekreśliła ostatnią linijkę i zaczęła pisać po swojemu, również znaczkami.

– Jak to? – zdziwiła się Alicja. – Czyżby?

Z boku przypominało to mecz tenisowy. Przeciwniczki odbijały piłeczkę nie zwracając uwagi na widownię. Obie były do tego stopnia pochłonięte pojedynkiem, że nie usłyszały dzwonka, w ogóle nikt w klasie go nie usłyszał. Nagle drzwi się otworzyły, zajrzał jakiś uczeń z sąsiedniej klasy.

– Hej, nie słyszeliście? Przerwa.

Przeciwniczki odłożyły kredę i odeszły od tablicy.

– A jednak nie masz racji – powiedziała Nela.

– Proszę to udowodnić – odparła Alicja.

Miła Rutkiewicz, składając książki, zauważyła głośno, by wszyscy usłyszeli:

– I po co niektóre osoby tak się chwają swym wykształceniem, skoro tego nie ma w programie!

Wszyscy otoczyli Alicję i Nelę, a Katia Michajłowa spytała:

– Uczyłaś się w szkole matematycznej?

– Nie – odrzekła Alicja.

– Świetnie się orientujesz – pochwaliła ją Nela. – Jeśli chcesz, zostań po lekcjach, spróbujemy wspólnie rozgryźć to zadanie.

– Przepraszam bardzo, ale dziś po lekcjach jestem zajęta.

– Powinnaś wziąć udział w olimpiadzie matematycznej.

– Wątpliwe – wycedziła Miła Rutkiewicz, podchodząc bliżej. – Tam trzeba rozwiązywać zadania normalnie, bez wykrętów.

W korytarzu Julka napadła na Alicję:

– I po co zwracasz na siebie uwagę? Chcesz zasłynąć jako geniusz matematyczny?

– Ależ ta odpowiedź była naprawdę nieprawidłowa. Jak mogłam milczeć? A w ogóle to bardzo ciekawy przypadek...

– Dobraś sobie, za sto lat nawet dzieci potrafią rozwiązywać takie numery. Gdybym ja znalazła się w puszkimowskim liceum, też byłabym tam cudownym dzieckiem.

– Nie znalazłabyś się, bo nie przyjmowano tam dziewcząt – odparła Alicja. – Lepiej spójrz, jaki list ktoś mi wsunął do zeszytu.

– Kto?

– Nie widziałam.

Julka przeczytała: „Spytaj Sadowskiego, czemu będzie się równać x za sto lat. Życzliwy.”

– Och! – wykrzyknęła Julka. – To on?

– Nie wiem. Znasz ten charakter pisma?

– Charakter znajomy. Pomyślę i na pewno sobie przypomnę. Wiesz, podejrzewałam od początku, że to Sadowski. To typowy awanturnik. Powiedział nawet komuś, że był u ciebie. Zaraz mu urządzimy przesłuchanie.

– Poczekaj. A może ktoś celowo napisał o nim?

– Czemu miałby to robić celowo?

– Żeby odsunąć podejrzenia od siebie. Wyobraź sobie, że ktoś się przestraszył.

– Kto?

– Sulima. Albo Naumow.

– I chcieliby zwalić winę na Sadowskiego? Słuchaj, Aluśka, mówiłam ci już, że w naszej klasie nie ma takich krętaczy, żeby ukraść myelofon, a potem jeszcze zwałać winę na kogoś innego. Sama mówiłaś, że Kola go nie ukraść, tylko chciał odebrać piratom.

– Mówiłam.

– A ja mimo wszystko myślę, że któryś z chłopaków przejrzał tajemnicę Sadowskiego i chce ci pomóc.

– Gdyby chciał, to przyszedłby do mnie i powiedział.

– A jeśli się boi?

– Kogo się boi? Sadowskiego?

– Nie wiem, ale można się tego wszystkiego dowiedzieć bez tej twojej delikatności. Sadowski, chodź no tu!

Kola, jakby celowo, kręcił się w pobliżu.

– Można cię o coś spytać?

– Pytaj, tylko dwóje nie postaw.

– Julka, nie rób tego – powiedziała Alicja. – Zepsujesz wszystko.

– Aż tak poważnie? – spytał Sadowski. – Wobec tego nie dam ci spokoju, póki nie dowiem się, o co chodzi.

– Kola nie wzięłaś pewnego cennego przedmiotu – spytała wprost Julka.

– Ja?

– Tak. I nie zwróciłaś.

– Jakiego przedmiotu? – spytał Sadowski. – Może wcale tego nie zauważyłem?

– Zauważyłaś, zauważyłaś, nie udawaj.

– Powiedz wreszcie, co to za przedmiot? O co mnie podejrzewasz?

– A więc nie wzięłaś?

– Wzięłam, ja wszystko biorę i nigdy nie oddaję. Właśnie dziś rano zwędziłem sto rubli w banknotach jednorublowych pewnej staruszce, żeby okleić nimi drzwi w łazience.

– Kola, natychmiast przestań pajacować! – oburzyła się Julka. – Pytam cię poważnie.

– Jeśli mam odpowiadać poważnie, to powinienem się na ciebie obrazić. Oskarżyłaś mnie o kradzież cennych przedmiotów i do tej pory nie usłyszałem nawet przepraszam. Nie masz zamiaru zrobić tego teraz?

Alicja była zdumiona zmianą w głosie Koli. Ładne mi ciepłe kluchy i blagier! Dopiero co rude ospałe straszycło, a teraz w oczach tyle gniewu, jakby lada chwila miał rąbnąć Julkę pięścią w głowę.

– Obie cię bardzo przepraszamy – wtrąciła szybko. – To był taki test, zapomnij o tym.

– Jaki test?

– Na poczucie humoru – odparła Alicja. – Nie zaliczyłeś go.

– Po raz pierwszy w życiu – powiedział Sadowski.

Trudno wyczuć, uwierzył czy nie.

– Głupia jesteś, Julka – powiedziała Alicja, gdy Kola się oddalił. – Prosiłam cię przecież, żebyś się nie wtrącała.

– To już nie tylko twoja sprawa. To sprawa wspólna. Całej klasy. Czyżbyś tego nie rozumiała?

– Rozumiem jedno: któraś z naszych chłopaków ukrywa myelofon. Postępuje bardzo źle

i tchórzliwie. W dodatku grozi mu straszne niebezpieczeństwo.

Ostatnią lekcją była geografia. Nauczycielka mówiła o klimacie i ludności Indii. Kończyła właśnie omawiać faunę, gdy Fima Korolow wyskoczył:

– A Sielezniewa była w Londynie.

– No i co z tego? – zdziwiła się nauczycielka. – Przecież dziś mówimy o Indiach.

– A może była też w Indiach – nie dawał za wygraną Fima.

„Czego on się przyczepił? – pomyślała Alicja. – Tego tylko brakowało”.

– Sielezniewa – spytała nauczycielka – rzeczywiście byłeś w Indiach?

„Teraz się przyzna” – pomyślała Julka.

Alicja odpowiedziała wstając:

– Owszem byłam.

– To bardzo ciekawe – nauczycielka nasłuchiwała się już wiele o nowej niezwyklej uczennicy. –

Podziel się z nami swymi wrażeniami.

– Byłam tam niedługo.

– Wszystko jedno. Przecież coś widziałaś?

– Widziałam.

– Jakie miasta zwiedziłaś?

– Delhi, Madras i Ghandibad.

– Nie słyszałam o tym trzecim mieście – zauważyła nauczycielka.

– Zostało tak nazwane na cześć Indiry Ghandi – wyjaśniła Alicja. – Lądowaliśmy tam w drodze

do Australii.

– Dziwne – pokręciła głową nauczycielka.

– Do Australii – jęknął Messerer. – Zwariować można!

„Jasne – uświadomiła sobie Julka – tego miasta jeszcze nie ma. Ktoś ciągnie Alicję za język!” I tu

jeszcze raz wtrącił się Fima Korolow. Jakimś dziwnie zjadliwym tonem wycedził:

– Niech powie, w którym roku tam była.

Alicja błyskawicznie odwróciła się do niego.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– To, co słyszałaś.

– Dzieci, ciszej – przerwała im nauczycielka. – Siadaj, Alicjo.

Jakby nigdy nie kontynuowała opowiadanie o Indiach, prawie nikt jednak nie słuchał. Wszyscy szeptali i patrzyli na Alicję. Ona zaś napisała kartkę do Fimy Korolowa:

„Co miałeś na myśli? Alicja”.

Po chwili otrzymała odpowiedź:

„Wiesz dobrze”.

Alicja nachyliła się do Julki i poleciała jej szeptem:

– Nie spuszcza go z oka.

– Sama wiem – odpowiedziała Julka.

Po lekcjach Alicja od razu skierowała kroki do Fimy, on jednak przeskoczył przez ławkę i uciekł na korytarz.

Julka dopędziła Alicję w korytarzu i wyszeptała, patrząc na nią tragicznym wzrokiem:

– A jeśli nie Kola tam był?

– Jak to?

– A jeśli tam był Fima Korolow? On jest chytry jak lis. Stać go na podpisanie się cudzym imieniem.

– Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Wydaje mi się, że oba dzisiejsze listy są napisane przez tę samą osobę.

– To on! Może pobiegniemy za nim? Przyprzemy go do muru!

– Zaczekaj. Mimo wszystko uważam, że tę kartkę o Sadowskim napisał po to, by mnie zbić z tropu.

– Tak czy owak z pewnością wie, u kogo jest myelofon – powiedziała Julka. – Głowę dam sobie uciąć.

– Masz rację – zgodziła się Alicja. – A z kim się przyjaźni najbardziej? Z Sulimą?

– Chyba tak. Chociaż on się przyjaźni ze wszystkimi. A potem się kłóci.

– A gdzie jest Sulima?

– Poszedł grać w szachy. W auli odbywa się turniej, przyjechał arcymistrz.

– Biegnijmy tam!

SUPERGIRLA!

W auli ustawiono rzędem stoły i rozłożono na nich trzydzieści szachownic.

Arcymistrz był chudy, ogorzały, wyglądał jak wesoły rozbójnik. Alicja wspięła się na czubki palców, wypatrując Sulimy.

Boria Messerer przepchnął się do niej i powiedział:

– Wiem, jak cię nazwać.

Katia Michajłowa spytała:

– No jak?

– Alicja gra najlepiej w siatkówkę. W matmie jest świetna. Była w Londynie, latała do Australii, mówi po angielsku nawet lepiej ode mnie. Ona jest superman.

– Co za bzdura! – rozzłościła się Alicja. – Patrzę na ciebie, Messerer, i zastanawiam się, jaki ty jesteś lekkomyślny.

– Myśl mniej, bo od tego się łysieje – powiedział Kola Sadowski.

– Superman to mężczyzna – wtrąciła Katia Michajłowna.

– To znaczy, że ona jest supergirl – poprawił Kola Sadowski.

– Nie supergirl, a supergirla – wniósł nową poprawkę Messerer. – Trzeba znać zasady języka rosyjskiego.

Fimy Korolowa nie było widać.

Alicja spostrzegła Sulimę i usiłowała się przepchnąć bliżej niego.

Nagle obejrzała się, zobaczyła Julkę.

– Przypomniałam sobie!

– Co sobie przypominałaś? – spytała Julka.

Alicja zbliżyła wargi do jej ucha i szepnęła:

– To najstraszniejsza ze wszystkich tajemnic, jakie mogę ci powierzyć. U nas w domu znajduje się książka pod tytułem: „Twórczość Borysa Messerera”.

– Przypadkowy zbieg nazwisk – machnęła ręką Julka. – Nic z niego nie będzie, jest okropnie niepoważny.

– Siadajcie, rycerze szachownicy – powiedział Edward Piotrowicz.

Zaczęto ustawiać krzesła i się sadowić. Z dziewcząt grały tylko Miła Rutkiewicz i jedna ósmoklasistka.

– No, wszyscy gotowi? – spytał Edward Piotrowicz.

– A gdzie Timoszkin? – spytał ktoś.

Miejsce obok Koli Sulimy było puste.

– Timoszkin chory.

– No cóż, zaczniemy bez niego.

– Alicjo – spytał Boria Messerer – a może i w szachy umiesz grać? Jak z tym jest u supergirlów?

– U supergirls – poprawiła go Julka.

– Edwardzie Piotrowiczu – odezwał się głośno Boria. – Sielezniewa chce grać zamiast Timoszkina.

– Sielezniewa? – spytał Edward. – Tak, tak, oczywiście. Siadaj. Byle prędko. – I wskazał jej puste krzesło obok Koli Sulimy.

– No, dziewczynko – uśmiechnął się arcymistrz – nie wstydz się.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Alicję. Ona zaś usiadła szybko obok Sulimy.

– Cześć, kolego – rzekł Kola z uśmiechem. – Jak będzie kiepsko, postaram ci się pomóc.

– Dzięki – odparła Alicja. – Lepiej jednak zagram samodzielnie.

Arcymistrz szedł wzdłuż rzędu krzeseł, szybkimi gestami przedstawiając o dwa pola królewski pionek. Niektórzy odpowiadali od razu, inni namyślali się dłużej. Kiedy arcymistrz po raz drugi ruszył tą samą drogą, okazało się, że wszyscy poza Miłą Rutkiewicz wykonali rewanżowy ruch. Arcymistrz, zerkając przelotnie na szachownice, odpowiadał na posunięcia przeciwników. Po czwartym ruchu odszedł od stołów, zamienił kilka słów z Edwardem, zapalił papierosa i nikt nie zwrócił mu uwagi. Kibice stali za plecami najmocniejszych graczy i przyglądali się rozgrywce. Takich graczy było sześciu. Sulima miał co najmniej dwudziestu kibiców.

Przy piątym ruchu zdarzyło się nieszczęście na drugiej szachownicy. Jeden z piątoklasistów dostał dziecinno mata i arcymistrz mruknął: „przepraszam”, jakby niechcący nastąpił mu na nogę. Piątoklasista, czerwony jak burak, cichuteńko wysunął się zza stołu.

Miła Rutkiewicz poddała się, gdy przy stołach pozostało najwyżej dziesięć osób – przegapiła wieżę, ponieważ była bardzo zdenerwowana i bała się coś przegapić.

Sulima namyślał się długo i arcymistrz już dwa razy przeszedł obok niego nie wykonując kolejnego ruchu, ponieważ na szachownicy Koli nie zaszły żadne zmiany. Nagle Alicja, która przez cały czas zerknęła na sąsiednią szachownicę, podpowiedziała szeptem:

– Koniem na F-6. – I odwróciła się.

– Aha! – potaknął Kola Naumow, który uważnie śledził wszystkie posunięcia Sulimy. – Spójrz, właśnie na F-6. A jeśli on wieżę, to ty dalej.

– Nie podpowiadajcie! – rozzłościł się Sulima. – Teraz już nie zrobię takiego ruchu.

– No co, młodzieńcze? – spytał arcymistrz. – Jesteś gotów?

Kola milczał.

– Chciał przejść koniem na F-6 – wtrącił Boria – ale się waha.

Arcymistrz uśmiechnął się.

– No cóż, to mądre posunięcie. Spróbuj. Mogą z tego wyniknąć interesujące komplikacje.

Kola posłusznie przesunął konia.

Arcymistrz zamyślił się. Nie pojechał jednak naprzód wieżę, jak to za niego zdecydował Naumow, lecz cofnął króla.

Teraz już prawie wszyscy kibice stłoczyli się za plecami Koli tak się na niego pchając, że w końcu musiał interweniować Edward Piotrowicz.

– Proszę nie przeszkadzać! Wywróćcie stół!

Wszyscy byli tak przejęci rozgrywką Koli, że nikt oprócz Julki nie zwrócił uwagi na arcymistrza, który długo stał przed szachownicą Alicji, po czym westchnął i rzekł w zamyśleniu do siebie:

– Nie, tej ofiary nie przyjmę.

Zrobił ruch do przodu pionkiem i ruszył w stronę szachownicy, znajdującej się na końcu stołu. Cofnął się jednak w pół drogi, jeszcze raz rzucił okiem na szachownicę Alicji i pokiwał głową.

Alicja odpowiedziała na jego posunięcie i zaczęła się przyglądać, co zamierza zrobić Kola z pomocą doradców zgodnie zbijających go z tropu, choć Edward stale zwracał im uwagę, by nie podpowiadali.

– Hetmanem, hetmanem – szeptali, syczeli, mówili głośno, a nawet wykrzykiwali za jego plecami.

– Laufrem! – domagali się inni.

Mało brakowało, a doszłoby do bijatyki.

Kola, zupełnie zdezorientowany, spojrzał na Alicję. Nie patrzyła na jego szachownicę. Poruszyła tylko wargami:

– Pionkiem na H-4.

I kiedy arcymistrz podszedł do niego, Kola przesunął pionek na H-4.

Arcymistrz ucieszył się.

– Świetnie! – powiedział. – Właśnie tego ruchu się obawiałem.

Ale widać z powodu tej obawy już wcześniej obmyślił odpowiedź.

– Szach – oznajmił.

– Och! – jęknął tłum kibiców.

Kola złapał się za głowę.

– Mówilem przecież – zawołał Boria Messerer. – Uprzedzałem!

Tymczasem arcymistrz wrócił do Alicji i zastała tam sytuacja bynajmniej go nie zachwycała.

– Taak – wycedził – pasjonująca historia.

Julka pociągnęła za rękaw Kola Naumowa.

– Spójrz tylko! – szepnęła.

– Co? – Kola nie chciał nawet popatrzeć.

– No spójrzże!

Arcymistrz przeszedł w drugi koniec stołu i dał mata okularnikowi z dziesiątej klasy. Pozostało mu już tylko dwoje przeciwników. Edward Piotrowicz stanął naprzeciw Alicji, ocenił sytuację, pokręcił głową i rzekł do Julki konspiracyjnym szeptem:

– Powinna koniecznie zostać w naszej szkole. Jeśli jesteś patriotką, Gribkowa, to musisz tego dopiąć.

Julka dopiero teraz zrozumiała, że Alicja może wygrać z samym arcymistrzem.

– I ja o tym marzę – odparła.

Alicja zaś wpatrywała się w szachownicę Koli Sulimy i ani rusz nie mogła wymyślić sposobu pokonania arcymistrza. Wyglądało na to, że arcymistrz narzuci Koli wymianę hetmanów, a potem doprowadzi do wiecznego szacha. Partia będzie nierozegrana.

– Poddać się? – spytał Kola Alicję.

– Zwariowałaś?!

Zbliżył się do nich arcymistrz.

– No i co wymyśliłaś? – spytał Sulimę.

– Mogę się zastanowić jeszcze chwilę?

– Proszę bardzo.

Arcymistrz wrócił do Alicji.

– Tak – odezwał się, widząc jej posunięcie. – Cóż, dziękuję. To naučka za moją zarozumiałość.

Poddaję się. – Wyciągnął do Alicji rękę.

– To ja dziękuję – powiedziała. – Na pańskim miejscu z trzydziestu partii przegrałabym dziesięć.

Przecież to ciężka praca – pamiętać tyle pozycji naraz.

– Nie, nie masz racji. Pamiętałem tylko trzy lub cztery. Reszta nie budziła żadnych obaw.

Oboje odwrócili się do Koli Sulimy.

Zastanawiał się jeszcze.

Oprócz Julki i Edwarda Piotrowicza nikt nie zauważył, że arcymistrz przegrał z Alicją. Wszyscy patrzyli na szachownicę Koli.

Kola trzykrotnie sięgał po swego króla, ale wciąż nie mógł się zdecydować, gdzie go postawić, choć nie miało to już znaczenia.

Arcymistrz posunął naprzód hetmana.

– Szach.

– I twój hetman na widelcu – powiedziała Miła Rutkiewicz, chociaż i tak było to jasne dla wszystkich.

Kola spojrział w rozpaczy na sąsiednie krzesło, niestety, Alicji tam już nie było.

– Połknij królową – powiedział Naumow, który był słabym graczem i wszystkie figury nazywał po amatorsku.

– Nie „połknij królową”, tylko „bierz hetmana” – poprawiła go Miłka.

Kola w całkowitej ciszy postawił swego hetmana na miejscu hetmana arcymistrza, który z kolei dał mu wiecznego szacha wieżą i koniem. Powtórzyli ruchy trzykrotnie.

– Remis! – obwieścił Edward Piotrowicz.

– Remis! – triumfalnie wykrzyknęli kibice. – Remis! Hurraa!

Sulima zremisował z arcymistrzem!

– Proszę o chwilę uwagi! – przekrzyczał ich Edward Piotrowicz. – Pozwólcie, że podziękuję w waszym imieniu Włodzimierzowi Arkadiewiczowi, który nie żałując swego czasu, przyjechał do nas i rozegrał tę symultanę.

Wszyscy zaklaskali w dłonie.

– Ogólny wynik – ciągnął Edward Piotrowicz – dwadzieścia osiem i pół do jeden i pół dla arcymistrza.

Rozległ się jęk zachwyty.

– A kto jeszcze zremisował? – spytała Miła Rutkiewicz. – To chyba pomyłka.

– Nie ma żadnej pomyłki – oznajmił arcymistrz. – Dziękuję wam również, dzieciaki. Niektórzy z moich dzisiejszych przeciwników walczyli wspaniale. Myślę nawet, że gdyby mój ostatni przeciwnik był bardziej zdecydowany i mniej słuchał swoich kibiców, mógłby ze mną wygrać tak jak tamta dziewczuszka...

– Jaka dziewczuszka? – spytała Miła Rutkiewicz.

Arcymistrz poszukał wzrokiem Alicji.

– Przecież to Alicja Sielezniewa! – nie wytrzymała Julka. – Ona wygrała z arcymistrzem!

– Gdzie Alicja? Jaka Alicja?

Uczniowie z innych klas nie znali jeszcze Alicji, podniósł się rwetes, wśród którego zdecydowanie wybijał się głos Bori Messerera:

– A nie mówiłem wam, że to supergirla?! Moje odkrycie! Ja pierwszy ją tak nazwałem!

PRZEZ OGRODZENIE I Z POWROTEM

- Konspirator to z ciebie żaden – oświadczyła Julka Gribkowa, kiedy udało im się wymknąć cichaczem ze szkoły.
- Wiem – powiedziała Alicja.
- „Wiem, wiem” – pokora Alicji jeszcze bardziej rozjątrzała Julkę. – Przyjechałaś tu na pokazy czy też szukasz myelofonu?
- Bardzo trudno jest oszukiwać ludzi – tłumaczyła się Alicja. – Jeśli się cokolwiek zaczyna robić...
- Jeszcze pół biedy, jak gadałaś po angielsku. To potrafią też niektórzy z nas. Dopuszczam też grę w siatkówkę. W końcu zastąpiłaś mnie i pomogłaś klasie. Ale ten cały numer z matematyką.
- Wciągnęło mnie. Wynikł bardzo ciekawy problem.
- Siedziałam i trzęsłam się ze strachu, że cię zdemaskują. A ty myślałaś tylko o problemie. Skończona egoistka! A jak narozrabiałaś z szachami? Kto cię prosił, żebyś wygrała z arcymistrzem? Myślisz, że u nas nawet dziesiątoklasiści często wygrywają z arcymistrzem?
- U nas też nieczęsto. Gdyby rozgrywał ze mną pojedynczą partię, nigdy bym nie wygrała.
- Skromnisia, myślałby kto! Zaraz zemdleję ze wzruszenia!
- W zaułku zastukały ciężkie kroki.
- Alicjo! – Julka obejrzała się i złapała Alicję za rękaw. – Wpadłyśmy!
- Dwóch mężczyzn biegło za nimi – wysoki grubas i obok niego mały chudzielec. Machali rękami i coś krzyczeli.
- Prędzej!
- Julka z Alicją pędziły co sił w nogach. A tu, jak na złość, ani bramy, ani otwartego frontowego wejścia, ani nawet zakrętu. Nie ma mowy, żeby się ukryć.
- Biegnij zygzakami! – krzyknęła Alicja. – Będą strzelać pociskami usypiającymi.
- Stójcie! – dolatywały głosy z tyłu. – Stójcie! Zatrzymać je!
- Jakiś mężczyzna, niosący w jednej ręce teczkę, a w drugiej torbę, usłyszał krzyk i zdecydował, że lepiej pomagać goniącym. Rozłożył szeroko ręce – teczka oraz torba zagrodziły drogę – Alicja i Julka odskoczyły pod ściany, aby ominąć tę niespodziewaną przeszkodę. Mężczyzna zawrócił i pobiegł za nimi.
- Wtem Julka skrzyła nogę i upadła na jezdnię.
- Alicja usłyszała jej krzyk i przystanęła.
- Uciekaj! – krzyknęła Julka. – Mnie nic nie zrobią! Zatrzymam ich!
- Alicja nie posłuchała. Wróciła do siedzącej na asfalcie przyjaciółki i usiłowała ją podnieść.
- No, prędzej – powtarzała. – Już niedaleko.
- Nie dam rady. Biegnij beze mnie.

Alicja chwyciła Julkę pod pachy i uniosła lekko. Julka podkurczyła nogę i tak pokuśtykały we dwie na trzech nogach.

Mężczyzna z teczką i torbą dogonił je, z rozpędu opasał obie rękami i wrzasnął:

– Mam je!

– Niech pan mnie puści! Nie widzi pan, że noga mnie boli! – rozzłościła się Julka.

Prześladowcy już nadbiegli. Potężny grubas zawołał do mężczyzny trzymającego dziewczynki:

– Proszę je puścić, co pan robi?

Głos grubasa najwyraźniej był znajomy.

– Gribkowa, co ci jest? Skręciłaś nogą?

Ależ, to Edward Piotrowicz! We własnej osobie. A z nim nieznamą szczuplutka kobieta z żółtymi zaondulowanymi włosami i stanowczym wyrazem drobnej, wąskiej twarzyczki.

Mężczyzna odsunął się i rzucił ze złością:

– Po kiego licha drzecie się na całą ulicę, skoro jesteście znajomymi? Myślałem, że może coś ukradły.

– Jak panu nie wstyd! – oburzyła się żółtowłosa – Jak pan mógł pomyśleć coś takiego o naszych dziewczętach?

Edward Piotrowicz, przyklękawszy na jedno kolano, zaczął obmacywać kostkę Julki. Krzywiła się, ale dzielnie znosiła ból.

– To nic strasznego – powiedział. – Jutro nie będziesz o tym pamiętała. Lekkie skręcenie. Wiem, że to skręcenie! Czemu pan tak nas przestraszył?

– Wcale nie chcieliśmy was przestraszyć – tłumaczył się Edward. – Tak szybko zniknęłyście z sali, że nie zdążyłem z wami porozmawiać. A Marta Skryl specjalnie przyszła do szkoły, żeby poznać Alicję Sielezniewą. Czemu tak uciekałyście? Nie poznałyście mnie? Przecież mnie można na kilometr rozpoznać po figurze.

– Właśnie z powodu pańskiej figury nawiałyśmy – odrzekła ponuro Julka. Ostrożnie stanęła na skręconej nodze. Zabolało, ale można było wytrzymać. – Pomyliłyśmy ją z inną, bliźniaczo podobną figurą.

Edward nie rozumiał, pomyślał że to żart, i uśmiechnął się.

– Więc tak wyglądasz, Alicjo – odezwała się drobna kobieta. – Bardzo mi miło. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

– Sielezniewa – zwrócił się do Alicji Edward – Marta jest trenerem w naszej rejonowej szkole sportowej. Opowiedziałem jej o tobie.

– Spieszymy się bardzo, Edwardzie Piotrowiczu – przerwała mu Julka. – Czekają na nas w domu. Proszę nam wybaczyć.

– Nie szkodzi – odparła Marta Skryl. – Odprowadzimy was. Od dawna grasz w siatkówkę, Alicjo?

– Pochwaliłem się, że w naszej szkole odkryłem wybitny talent – oświadczył z dumą Edward Piotrowicz. – Możecie wierzyć mojemu doświadczeniu, czegoś takiego prawie się nie spotyka.

– Alicja tu nie mieszka – powiedziała Julka.

Szła kulejąc z lekka i marzyła, by jak najszybciej pozbyć się obojga trenerów. A nuż Alicja zgodzi się raz jeszcze i ugrzęźnie w działalności sportowej? I co wtedy – Julka ma szukać myelofonu sama?

– Zajmiemy się tym – oznajmiła Marta Skryl. – Jeśli trzeba będzie, przejdiesz do szkoły

moskiewskiej. Mam nadzieję, że rodzice nie będą się sprzeciwiać.

– Owszem, jej rodzice będą się sprzeciwiać – ryknęła Julka.

Ale Marta nie zwróciła na nią uwagi.

– A ile skaczesz wzwyż? – spytała Alicję.

– Nie trenowałam specjalnie skoku wzwyż – odparła Alicja – tylko na letnim obozie w ubiegłym roku.

– No i co?

– Metr siedemdziesiąt. Albo metr siedemdziesiąt pięć.

– Co-o-o-o? – wykrzyknęła Marta Skryl, jej oczy i usta zaokrągliły się ze zdumienia.

– A nie mówiłem! – Edward był tak dumny, jak gdyby sam nauczył Alicję skakać tak wysoko.

– Wariatka! – zasyczała Julka. – Ze swoją idiotyczną prawdomównością...

– Czy to tak dużo? – spytała naiwnie Alicja.

Julka wzruszyła ramionami. Po co zadawać się z tymi pozerkami z przyszłości.

– Niemożliwe! – zdołała w końcu wykrztusić Marta Skryl. – Oszukujesz mnie, dziecko.

– Oszukuję? – Alicja wręcz nie znosiła tego słowa. – Ja panią oszukuję?

Przechodzili właśnie obok jakiegoś płotu. Płot jak płot, a za nim plac budowy.

– Ile on może mieć wysokości?

– Chyba z metr siedemdziesiąt – odparł bez przekonania Edward Piotrowicz. – A może więcej?

– Julka, potrzyмай mi teczkę.

Alicja wepchnęła Julce teczkę, odbiegła na jezdnię, przymierzyła się, wzięła rozbieg i skoczyła.

Nie stylem skoczków, lecz rybką, jak skaczą pływacy. Przeleciała nad płotem z co najmniej dziesięciocentymetrowym zapasem, podkurczyła nogi i wykonała salto, by po drugiej stronie płotu stanąć na ziemi.

– Ach! – jęknęła Marta Skryl. – Przecież tak skakać nie wolno! Kompletny brak stylu!

Po drugiej stronie rozległo się głośnie kłapanięcie, a potem przeraźliwy krzyk.

– Alicjo! – zawołała przerażona Julka. – Co się stało?

Równocześnie nad płotem znów pojawiła się figurka Alicji – leciała rybką, z wyciągniętymi rękami, po czym przekreśliła się w powietrzu i zwinawszy się w kłębek wylądowała na ziemi.

– Wiejemy! – krzyknęła do Julki. – Jak twoja noga?

– Co się stało?

– Piraci. Idą po tamtej stronie i podsłuchują. Gruchnęłam prosto w Krysa. Na pewien czas go unieruchomiłam.

– Dokąd to, dziewczynki? – zawołała Marta Skryl. – Przecież nie skończyłyśmy rozmowy!

Płot zaczął się chwiać, ktoś usiłował go sforsować.

– Edwardzie Piotrowiczu – zdążyła krzyknąć Julka, pędząc za Alicją, która schwyciła obie teczki

– proszę podeprzeć płot, jakiś chuligan chce go rozwalić. Prędzej!

Edward Piotrowicz posłusznie wparł się potężnym brzuszyskiem w płot, który kołysał się niczym trzcina w czasie wichury. Deski rozeszły się i Marta Skryl, ze zdumieniem obserwująca tę scenę, zobaczyła, że na tę stronę ulicy przedziera się nie mniej potężny i gruby niż Edward Piotrowicz mężczyzna.

A dziewczynki tymczasem zdążyły uciec...

Zatrzymały się dopiero przed domem, by złapać oddech. Julkę rozbolała noga.

– Zaczekaj sekundkę – wysapała. – Edward ich zatrzyma, obiecał mi.

– Wesołka może i zatrzyma, ale Krysa na pewno nie – odparła Alicja, przystanąła jednak.

– Dziewczęta! – usłyszały wołanie. W ich kierunku biegł Kola Sulima. – Czekam na was już od dwudziestu minut.

– Co się stało?

– Muszę porozmawiać z Alicją.

– Możesz mówić przy Julce, nie mam przed nią żadnych tajemnic.

– Ale to cudza tajemnica! – powiedział Kola. – Doprawdy nie wiem...

– Mówże – ponagliła Julka. – Spieszmy się bardzo.

– Chciałem powiedzieć... w ogóle chciałem tylko powiedzieć, że wiem o Alicji... w ogóle, że ona nie z naszego miasta i w ogóle z innego miejsca, ale myślę...

– Co za ciamajda! – zdenerwowała się Julka. Bolała ją noga, co bynajmniej nie wpływało dodatnio na humor. – Możesz mówić po ludzku?

– Spokojnie, Julka – przyhamowała ją Alicja. – Mów, Kola.

– Fima posłał ci kartkę, można powiedzieć dziwną, ale musisz zrozumieć, że on chroni przyjaciela, a to można...

Sulima znów się zaplątał, a tymczasem zza węgła wyskoczył Kryś i Wesołek Ypsilon. Udało im się jakimś sposobem wykiwać Edwarda i puścili się w pogoń za dziewczętami.

– Zmykaj! – krzyknęła Julka do Sulimy – żeby cię nie zobaczyli z nami! No, na co czekasz?

I popędziła w kierunku frontowego wejścia. Alicja za nią.

Sulima spojrzał na dziewczynki, potem na grubasa w czarnym kapeluszu i takimże płaszczu oraz na Napoleona Bonaparte w kapeluszu i nie namyślając się dłużej, puścił się w przeciwnym kierunku.

Dziewczynki zdążyły wbiec na klatkę schodową, po schodach na górę i ukryć się w mieszkaniu.

Gdy szcęknął zamek, Julka zamknęła drzwi na łańcuch, zaś Alicja rzuciła teczkę na podłogę i powiedziała:

– Jakież my jesteśmy głupie! Powinniśmy były zabrać Sulimę ze sobą. Gotów był wszystko opowiedzieć.

– Myślisz, że on wie?

– Przecież już zaczął mówić. I o liście, i o tym, że wie o mnie.

– Więc to on?

– Na pewno on. W dodatku to przyjaciel Korolowa.

– I chciał wszystko opowiedzieć?

– Tak przypuszczam. Trzeba do niego iść. Wiesz, gdzie mieszka?

– Nie byłam u niego nigdy. Ale możemy zadzwonić do Kati Michajłowej. Ona zna wszystkie adresy.

– No to idę.

– Doprawdy? – spytała Julka, zdejmując pantofelek. Noga w kostce spuchła. Dobrze, że babcia położyła się spać, nie widzi, w jakim stanie wnuczka wróciła do domu. – Wyjrzyj przez okno. Jakim cudem przemkniesz się obok piratów? Jesteśmy obleżone!

– Więc co robić?

– Jak mnie noga trochę przestanie boleć, sama polecę do Sulimy i wezmę myelofon.

– Jeśli myelofon u niego jest.

– Jeśli jest. A może Kolę jakoś ściągnąć do nas?...

– Nie. Ściągnąć go tutaj, to znaczy wepchnąć w łapy piratów. Tylko na to czekają. Chodź, lepiej

przyłożymy kompres, żeby opuchlizna prędeż zeszła.

Nie udało im się jednak wyjść z domu tego wieczora. Julka nie puściła Alicji samej, a z nogą polepszyło się dopiero nad ranem, i to nie całkiem.

NIEBEZPIECZNA UCIEKINIERKA

Następnego ranka wydarzenia potoczyły się z szybkością pociągu ekspresowego.

Kola Sadowski wyszedł tego dnia do szkoły bardzo wcześnie. Bo i cóż za sens pozostawać w domu, w którym wybuchła potworna awantura. Winowajcą był jak zwykle Kola. Jeszcze wczoraj zaczął się zastanawiać nad dziwnymi prawami w matematyce: plus razy plus daje plus i minus razy minus też daje plus. Jego rozumowanie szło następującym torem: jeśli mamy powłoczkę uszytą z miękkiego, czystego, wyprasowanego materiału – to plus? I jeśli wypchana jest miękkim puchem – to plus? Innymi słowy, jeżeli wypchamy miękkim puchem czystą powłoczkę, uzyskamy w efekcie bardzo wygodną i dodatnią poduszkę. Plus? Plus.

Z tą myślą Kola zasnął na miękkiej dodatniej poduszce. Gdy się obudził, znów opadły go te same myśli. Gdyby wziąć coś całkiem nieodpowiedniego do wypychania poduszek i włożyć to w coś całkiem nie nadającego się na powłoczkę, czy wówczas rezultat będzie tak samo dodatni? Trzeba spróbować. Oczywiście, Kola zdawał sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie, bardzo mu się jednak spodobały takie filozoficzne rozważania. Poszedł zatem rano do kuchni, wziął dziesięć jajek, dwie żarówki i żelazko, wszystko to wpakował do siatki, z którą jego matka chodziła po kartofle, zaniósł do łazienki i wyciągnawszy się na posadzkę, oparł głowę na spreparowanej w ten sposób poduszce.

Wynik nie był dodatni.

Kola nabił sobie guza o żelazko, umazał się jajami i skaleczył odłamkiem żarówki. Kazano mu umyć posadzkę w łazience, pozbierać szkło, na dobitkę nie dostał śniadania – a wszystko to zdarzyło się o siódmej rano.

I tak oto wyszedł z domu.

W pobliżu szkoły zatrzymał go monstrualnie gruby mężczyzna w długim czarnym płaszczu i kapeluszu naciągniętym na uszy.

– Dzień dobry – powiedział. – Jesteś może z szóstej B?

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał Kola. – Mam to wypisane na czole?

– Co?

– Moją klasę.

Rozmawiał byle zbyć, na odczepnego. Nie podobał mu się ten grubas. Miał zbyt dobrotliwy wyraz twarzy, jakby sztucznie przylepiony. I dlatego Kola poprosił:

– Czy mógłby pan uprzejmie zdjąć maskę?

– Jaką maskę?

– Tę, pod którą ukrywa pan kły.

Grubas obmacał twarz, jak gdyby rzeczywiście obawiał się, że kły wylazły mu spod maski.

Sadowski nie czekając, poszedł dalej. Postanowił wynaleźć sposób chodzenia pod ziemią. Jest to niezwykle wygodne, ponieważ można przechodzić przez ulicę w dowolnym miejscu, nawet przy

czerwonym świetle. Ręce się tylko trochę zabrudzą.

– Zaczekaj no – dogonił go grubas. – Znasz jakiegoś Kola w waszej klasie?

– Mam odpowiedzieć uczciwie?

– Uczciwie! Uczciwość to najwartościowsza cecha ludzka – wydekłamał grubas.

– Jeśli uczciwie, to ja jestem Kola.

– Nie – potrząsnął głową grubas – ty nie jesteś Kola. W każdym razie nie tamten Kola.

– Jakże trafnie pan to zauważył! Sam ostatnio dużo myślę nad tym, czy jestem tamtym Kola, którym byłem dawniej. Okropnie jestem rudy. Nie uważa pan?

– A czy przedtem byłeś inny? – Grubas uważnie przyjrzał się Koli.

– Przedtem byłem blondynem – oznajmił Kola. – I w dodatku dziewczyną.

Grubas westchnął.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział. – Znasz Alicję?

– Ukończyła już szkołę – odparł Kola. Nie, grubas zdecydowanie mu się nie podobał. Chciał się go pozbyć za wszelką cenę. A już tym bardziej nie miał zamiaru opowiadać mu o Alicji. – I odleciała w góry Pamiru. Mam panu powtórzyć, by nie drażnił pan jej ulubionej suczki. Więcej pytań nie ma?

– Jesteś bardzo źle wychowanym chłopcem – powiedział grubas. – U nas już takich nie ma.

– Doprawdy, już wszystkich wytępiłicie? I do ciebie się dobierzemy! – syknął grubas, ale tak, by go nie dosłyszeli przechodnie. – Zapamiętam sobie twoją ryżą fizjonomię!

– Co za szczęście! – powiedział Kola, ale na wszelki wypadek cofnął się o krok. – I dlatego właśnie, jak przyprowadzą pana do mnie, będzie się pan wypierał swoich słów?

– Dokąd przyprowadzą? – spytał grubas.

– Do mojego gabinetu. Jestem głównym inspektorem milicji, do ścigania szczególnie ciężkich przestępstw wobec szóstoklasistów. Czyżby pan nie słyszał? Moje nazwisko Holmes Mikołaj Szerlokowicz. Poznajmy się. A z kim mam przyjemność?

Grubas zniknął jak kamfora! Jakby zapadł się pod ziemię.

Kola stał jeszcze chwilę, po czym westchnął:

– Wyprzedził mnie. Potrafi chodzić pod ziemią. Muszę wynaleźć coś nowego, bo gdybyśmy się tam natknęli na siebie, miazga by ze mnie została.

W jakieś pięć minut później spotkała grubasa w tym samym miejscu Miła Rutkiewicz.

Niczym góra zagroził jej drogę.

– Przepraszam, dziewczynko, jesteś może z szóstej B?

– Tak.

– Czy możesz mi z łaski swojej udzielić cennej informacji?

Szedł obok Miły. Rozmawiał z nią uprzejmie, a nawet uniżenie.

– A o co chodzi? – spytała Miła.

– Spotkało mnie okropne nieszczęście. I tylko ty, dobra dziewczynko, możesz mi pomóc.

– Ale ja się spieszę do szkoły. Mam na pierwszej lekcji angielski i muszę jeszcze powtórzyć tłumaczenie.

– Nie zajmę więcej niż pięć minut twego cennego czasu. Muszę porozmawiać z tobą o Alicji.

– O jakiej Alicji?

– Nie wiem, pod jakim nazwiskiem figuruje w waszej klasie. Ale z pewnością jest tylko jedna Alicja?

– Alicja Sielezniewa? – spytała Miła. – A co się stało?

– Mam nadzieję, że nic strasznego. Na razie.

I grubas zrobił długą znaczącą pauzę.

– A co się może stać? – znów spytała Miła, odrzucając na plecy czarny warkocz. – Pan z milicji?

– W pewnym sensie – odparł grubas. – Kiedy i dlaczego przysłała Alicja do waszej klasy?

– Dziś mija trzeci dzień. Ona mieszka u Julki Gribkowej. Leżały razem w szpitalu.

– Ta-a-a-ak – przeciągnął grubas. – Usiądźmy na chwilkę.

Miła skinęła głową. Miała jeszcze trochę czasu. Była zaintrygowana. Zwłaszcza gdy uwzględnić fakt, że Alicja bynajmniej nie budziła jej sympatii.

– A nie zauważyłaś nic dziwnego w jej zachowaniu? – pytał dalej grubas. – Czegoś obcego, anormalnego?

Miła wzruszyła ramionami.

– Jakby tu powiedzieć...

– Rozumiem, Nie chcesz mówić źle o swojej koleżance. To godne pochwały, oczywiście. Sprawiasz wrażenie bardzo rozsądnej dziewczuszki. Ale rozmawiamy teraz bardzo poważnie i poufnie, musisz powiedzieć całą prawdę. Podoba ci się jej charakter?

– Nie! – wyrwało się Miłce mimo woli.

– Czemu?

– Okropny z niej nadgorliwiec!

Miła rzeczywiście tak uważała. Była dotąd zawsze prymuską w klasie. Przez wszystkie lata. Nauczyciele stawiali ją za wzór i chwalili na wywiadówkach. A tu przychodzi raptem jakaś Alicja, która, jak się okazuje, i angielski zna lepiej od niej, i geografę, i matematykę, a już o wuefie nie ma co mówić! Bądź co bądź, duża przykrość.

– Doprawdy? To również jest zgodne z naszymi obserwacjami. A nie wykazała się ta Alicja jakąś większą wiedzą niż to możliwe?

– Jak by tu powiedzieć... Szczególnych zdolności u niej nie zauważyłam, ale umie robić wrażenie.

– Zgadza się! – wykrzyknął grubas. – A czy w waszej klasie jest jakiś Kola?

– Kola? Nawet nie jeden, aż trzech.

– A z którym przyjaźni się Alicja?

– Ona nie przyjaźni się z nikim, oprócz Gribkowej – odparła Miła. – Ale ja się nie zajmuję cudzymi sprawami.

– To godne pochwały – powiedział grubas. – Teraz musisz nam pomóc.

– Komu?

– Otóż jestem lekarzem naczelnym w szpitalu dla dzieci szczególnie niebezpiecznych. W ubiegłym roku trafiła do nas dziewczynka z nieuleczalnie wypaczoną psychiką. Ma na imię Alicja. Przejawia chorobliwą skłonność do okrucieństwa. Biła dzieci i dorosłych, gryzła, potem ukradła z muzeum szkolnego wypchanego tygrysa i odziana w jego skórę napadała nocą na przechodniów. Gdy ją schwytano, pogryzła trzech milicjantów, udusiła psa milicyjnego i musieliśmy ją w końcu związać.

– Co za okropność! – wykrzyknęła Miła.

– Ależ nie, jej trzeba współczuć. Przecież nie ponosi winy za to, że jest chora – rozległ się melodyjny głos kobiecy.

Miła spostrzegła stojącą obok niewysoką drobną kobietę o miłym wyglądzie, ubraną w biały kitel z czerwonym krzyżem na rękawie.

– Ach, poznajcie się – powiedział grubas. – To doktor Iwanowa. Spędziła sto bezsennych nocy, uspokajając nieszczęśliwe dziecko, podając lekarstwa i opowiadając bajki.

– Tak, tak rzeczywiście było. Ale wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Ta niegodziwa dziewczyna uciekła w nocy ze szpitala, wyłamując drzwi i skacząc z piątego piętra.

– I co?

– I nic. Znaleźliśmy tylko półtorametrowe wgłębienie w asfalcie pod oknem. Chorzy w takim stanie nie odczuwają strachu. Obeszliśmy już wszystkie szkoły i szpitale, ale zniknęła jak kamfora. I naraz dowiedzieliśmy się, że podobną z opisu dziewczynkę widziano w waszej klasie.

– Na oko jest taka spokojna – pokręciła głową Miłka. – I tak świetnie zna angielski.

– To nienormalne – tłumaczył grubas. – Cały jej umysł nastawiony jest wyłącznie na oszukiwanie otoczenia i udawanie normalnej. Jej odpowiedzi na lekcjach – to też przejaw nienormalności. Powiedz sama, czy normalna dziewczynka może wiedzieć tak dużo jak Alicja?

To pytanie bardzo trafiło Miłce do przekonania. Przekreśliło natychmiast wszystkie jej wątpliwości. Jasne, Alicja jest po prostu nienormalna i dlatego tak dobrze wszystko umie. Normalny człowiek nie mógłby mieć tylu wiadomości. Żaden zdrowy psychicznie szóstoklasista nie może być mądrzejszy od Miły Rutkiewicz.

I gdy zrozumiała to wszystko, irytacja z powodu Alicji minęła jak ręką odjął. Zrobiło się jej nawet żal.

– A gdy ją odnajdziecie, to co? – spytała.

– Zabierzemy ją!

– Zaraz. Przecież Alicja jest taka spokojna. Może w szkole, między dziećmi, czuje się lepiej? Może wyzdrowieje u nas i zacznie się gorzej uczyć... jak inni.

– A jeśli zacznie znów wyprawiać hece? Jeśli kogoś ugryzie? Zapomniałaś o swych kolegach, którzy są narażeni na niebezpieczeństwo.

– Ach – westchnęła Miła – o tym nie pomyślałam. Chodźmy prędzej do dyrektora szkoły i powiedzmy mu o wszystkim.

– Nie, tak nie wolno – powiedział markotnie grubas. – A jeśli się mylimy? Jeśli to nie ta Alicja? Wyobrażasz sobie, jaki to mogłoby spowodować uraz u niewinnego dziecka?

– Ależ to ona, na pewno ona – upierała się Miłka. – Ona absolutnie nienormalnie wszystko wie.

– Ale my jesteśmy ludźmi delikatnymi – odezwała się doktor Iwanowa. – Zajrzymy najpierw do klasy i upewnimy się, że to nasza uciekiniarka. Musisz nam pomóc.

– W jaki sposób?

– Wprowadź nas do szkoły tylnym wejściem, by nie spostrzegła Alicja. I pokaż, gdzie jest twoja klasa. Całą resztę bierzemy na siebie. O twoim udziale w tej operacji nikt się nie dowie. Zgoda?

– Jeśli to konieczne dla medycyny oraz bezpieczeństwa innych osób, zgoda. Tylko chodźmy prędzej, zaraz będzie dzwonek.

Poprowadziła ich od tyłu przez szkolny ogródek botaniczny. Pokazała, jak dostać się na drugie piętro.

– Tylko proszę jej nie zabierać prosto z klasy. Strasznie mi jej żal – powiedziała.

– Nie martw się, kochanie – uśmiechnęła się dobrotliwie doktor Iwanowa. – Będziemy postępować łagodnie i po ludzku. Zawsze tacy jesteśmy.

DWIE AŁŁY

Miła pożegnała się z nimi i pobiegła do klasy.

Tuż przy drzwiach natknęła się na Alicję i Julkę.

– Oj! – wlepiła w Alicję dziki wzrok i przytuliwszy się do ściany czekała, póki tamta nie wejdzie do klasy.

– Co jej się stało? – zdziwiła się Julka. – Miała minę, jakby zobaczyła ducha.

– Nie wiem – odparła Alicja. – Ze mną wszystko w porządku? Pantofle na właściwą nogę?

– Wszystko gra.

– U ciebie też. Rutkiewicz jest czymś przerażona.

Miła przemknęła się na swoje miejsce, nie patrząc na nikogo i nie słysząc, jak koledzy, otoczywszy Alicję, głośno wspominają wczorajszy dzień. Boria Messerer ofiarował jej nowy portret: Alicja w koronie z figur szachowych. Była na nim zupełnie do siebie niepodobna, ale wszyscy się zaśmiewali.

– Gdzie Fima? – spytała Alicja rozglądając się dokoła.

Dzwonek już umilkł, lada chwila wejdzie Ałła Siergiejewna, a Fimy wciąż nie ma.

– Oszaleć można! – przestraszyła się Julka. – A jeśli się do niego dobrali? Miła, nie widziałaś Firny Korolowa?

– Nie – odparła Miła, przeglądając podręcznik.

Ale jej oczy nie widziały dosłownie nic – czekała, aż otworzą się drzwi i wejdzie doktor Iwanowa z dyrektorem szpitala, z którego uciekła niebezpieczna Alicja.

– Alicjo – zawołał Kola Sadowski przez całą klasę – masz jakiegoś znajomego grubasa?

– Co? A gdzie go widziałeś?

Miła Rutkiewicz skamieniała. Czyżby Sadowski podsłuchał?

– Gdzie go widziałeś? – powtórzyła pytanie Alicja.

– Spławiłem go. Pokazałem fałszywy trop, jak Iwan Susanin Polakom w lesie.* [Iwan Susanin – rosyjski bohater narodowy, zginął w 1613 roku ratując życie carowi Michałowi Romanowowi; M. Glinka poświęcił mu operę „Iwan Susanin”.]

Drzwi do klasy otworzyły się z wolna.

„To oni! – pomyślała Miła. – Zaraz się zaczną”.

Był to jednak tylko Fima Korolow.

– Numer mrozący krew w żyłach! – wrzasnął dając susa do stołu nauczycielskiego. – Po raz pierwszy na ekranie!

– Czyś ty oszalał, Fima?! – krzyknęła Katia Michajłowa. – Zaraz przyjdzie Ałła.

– Nie przyjdzie – powiedział Fima. – Rozmawia w korytarzu z jakimś grubasem. Mamy do dyspozycji pięć minut. Proszę o uwagę!

Otworzył teczkę i wyciągnął z niej oszołomionego kociaka.

– Uwaga, uwaga! – wygłupiał się dalej. – Oto macie przed sobą superkotkę o imieniu Alicja. Potrafi liczyć do stu.

Na te słowa weszła Ała Siergiejewna.

Zatrzymała się przed tablicą, nie zwracając uwagi na Fimę usiłującego złapać kociaka, który schronił się pod stołem.

– Czy to klasa szósta B? – spytała, jak gdyby nie przychodziła tu niemal każdego dnia.

Pytanie to jednak tylko z pozoru mogło się wydawać dziwne.

Gdy Miła Rutkiewicz wprowadziła piratów do szkoły, natychmiast udali się w pobliże pokoju nauczycielskiego i stojąc za załomem korytarza obserwowali nauczycieli. Jak tylko wyszła Ała, niosąc pod pachą dziennik z widniejącym na nim dużym napisem: „Klasa VI B”, Wesołek Ypsilon już stał na jej drodze.

– Chwileczkę, szanowna pani nauczycielko. Muszę pani powiedzieć coś niezwykle ważnego.

A tymczasem Kryś, przeistoczywszy się w Ałę, pospieszył na drugie piętro. I aby przypadkiem nie wpaść, zapytał przede wszystkim:

– Czy to klasa szósta B?

Prawdziwa Ała nigdy nie zadałaby takiego pytania. Powiedziałyby: „Korolow, natychmiast skończ te skandaliczne wygłupy!” Dlatego cała klasa była jak rażona piorunem. Alicja natychmiast zorientowała się, że coś tu brzydko pachnie, schyliła się, aby ukryć twarz. Zaś Kola Sadowski, któremu zdarzały się niewczesne żarty, odpowiedział głośno:

– Nie, to klasa druga A.

I znów ku powszechnemu zdumieniu Ała Siergiejewna powiedziała:

– To niemożliwe! Znowu łżesz, chłopcze!

Żeby Ała tak się wyraziła o Sadowskim? To nie do pomyślenia!

Ała badała wzrokiem klasę, po prostu wpijała się oczami w twarze. Dostrzegłszy Miłę Rutkiewicz, spytała:

– Gdzie Alicja?

– Tam, pod ławką – posłusznie odparła Miła.

– Aha! – wykrzyknęła Ała Siergiejewna. – To znaczy, że i on jest tutaj!

Ała rozglądając się po twarzach uczniów, podbiegła do ławki, pod którą skryła się Alicja.

– Gdzie Kola? – spytała Miłę.

Miłka z przerażenia aż zmrużyła oczy. Nie, to niemożliwe! Ała mówiła głosem doktor Iwanowej!

– Aa! – znów krzyknęła nauczycielka. – Tuś mi!

Wtem na korytarzu rozległ się okropny hałas.

Drzwi otworzyły się na oścież i naraz wszyscy zobaczyli drugą Ałę, która wrywała się ciągnącemu ją z powrotem grubemu mężczyźnie w zjeżdżającym na ucho kapeluszu i długim czarnym płaszczu. Z kolei owego mężczyznę opasywał rękami Edward Piotrowicz. Wszystko to bardzo przypominało ilustrację do bajki o rzepecie.

– Proszę mnie puścić! – szarpała się nauczycielka. – To chuligaństwo!

– Muszę pani jeszcze coś powiedzieć! – krzyczał grubas. – Zapomniała pani o mnie! Jestem pani braciszkiem, który zaginął bez wieści jako maleńkie dziecko! Niańczyła mnie pani na własnych rękach!

Edward Piotrowicz, czerwony z wysiłku, uniósł grubasa ponad ziemię – nie na próżno był kiedyś

zapaśnikiem w stylu wolnym.

Wyteżywszy siły, Edward odciągnął w tył jedną rękę grubasa i wykonał rzadkiej piękności chwyt zapaśniczy. Grubas puścił Ałłę Siergiejewnę, wzleciał w powietrze i rąbnął nosem o podłogę.

– Hurraa! – wrzasnęło dwadzieścia sześć gardeł z szóstej B. – Wiwat Edward Piotrowicz! Czysta robota!

Wtem rozległ się głośny stuk: dwie Ałły Siergiejewny zderzyły się przed tablicą, obie wypuściły z rąk dzienniki, okulary spadły im z nosów.

– Nie, tego nie zniosę! – jęknęła prawdziwa Ałła i padła bez czucia na podłogę.

Fałszywa nauczycielka dała przez nią susa i przeleciawszy ze cztery metry z głową wysuniętą naprzód, wbiła się w brzuch Edwarda Piotrowicza. Nauczyciel wuefu nie spodziewał się nowego ataku. Stracił równowagę i siadł na ziemi.

Z niewiarygodną jak na kobietę siłą pseudo-Ałła chwyciła leżącego bez ruchu grubasa za nogi i wyciągnęła na korytarz.

W mgnieniu oka zniknęli bez śladu. Słyszeć było tylko, jak stuka po schodach łysy łeb grubasa.

Jedynie czarny kapelusz pirata oraz rękaw oderwany od jego płaszcza, leżące pośrodku klasy, przypominały o niedawnej potyczce. Ałła Siergiejewna spoczywała na podłodze, a Edward Piotrowicz siedział oparty o ścianę, zupełnie nie mogąc połapać się w tym, co zaszło.

Klasa pierwsza oprzytomniała. Jedni rzucili się do Ałły, próbując ją ocucić, inni pomagali wstać Edwardowi Piotrowiczowi. Tylko Alicja nie brała w tym wszystkim udziału. Chwyciła kapelusz i rękaw płaszcza Wesółka Ypsilon, szybko podbiegła do okna i wyrzuciła dowody rzeczowe na ulicę.

Minęło może pięć minut, zanim się wszystko uspokoiło. Ałłę odratowano wodą, Edward Piotrowicz wstał i kiwając głową niczym tresowany słoń, poszedł do sali gimnastycznej, zaś dzieci usadowiły się na miejscach.

– Siadajcie, dzieci, siadajcie – powtarzała Ałła słabym głosem. – Cóż za niewiarygodna historia, nic z tego nie rozumiem.

– Może lepiej będzie, jak pani trochę odpocznie? – spytał Boria Messerer. – My posiedzimy sobie cichutko.

Z każdej sytuacji próbował wyciągnąć korzyści. A jego zdaniem, korzyść polegała na tym, by się mniej uczyć i rysować więcej ulubionych obrazków.

– Nie – nieco pewniejszym głosem powiedziała Ałła Siergiejewna. – Nic szczególnego się nie zdarzyło. Zastanowimy się nad tym później. Teraz przystąpimy do lekcji...

Alicja nie usiadła. Rozglądała się po klasie. Jaka szkoda, że schowała się pod ławkę! Trzeba było obserwować, którego to z chłopców rozpoznali piraci. I dlatego teraz przesuwiała wzrokiem po wszystkich twarzach odliczając:

Kola Sulima – jest.

Fima Korolow – jest.

Kola Sadowski – jest.

Kola Naumow... Koli Naumowa nie ma w klasie. Oto jego teczka... otwarty zeszyt... a Koli nie ma.

– Julka! – krzyknęła głośno. – Nie ma Naumowa!

I skoczyła do okna.

– O mój Boże! – zawołała Ałła Siergiejewna. – Sielezniewa! Co znowu!

Alicja zdążyła jeszcze dojrzeć pędzącego po ścieżce w stronę bramy Kołę Naumowa i piratów, którzy w tym momencie wybiegli ze szkoły. Wesołek Ypsilon w płaszczu z jednym rękawem, za nim Krys. Na jej oczach Krys pozbywał się powłoki cielesnej Ałły i przeistaczał w Napoleona, jako że w mundurze łatwiej biec niż w spódnicy.

– Julka! Oni go ścigają! – krzyknęła Alicja. – Pędzę!

– Kto? Kto kogo ściga? – spytała nerwowo Ałła. – Nie wytrzymam tego!

Alicja otworzyła szeroko okno – nikt nawet nie zdążył wydać okrzyku – jednym susem znalazła się na parapecie i skoczyła kierując się na potężny dąb rosnący na szkolnym podwórku. Jego gałęzie znajdowały się w odległości kilku metrów od okna. Alicja niczym małpka uchwyciła się w locie grubego konara, zahusłała się na nim i opadła na niższą gałąź. Stamtąd zeskoczyła na ziemię i puściła się w pogoń za Kolą i piratami.

Wszyscy zgromadzeni przy oknie widzieli ów śmiertelnie niebezpieczny wyczyn. Ałła Siergiejewna również, tyle że nie do końca – na swoje szczęście znów zemdląła. Taka historia zdarzyła się jej dotychczas tylko raz w życiu – kiedy mając dwanaście lat zobaczyła mysz. A tutaj – coś podobnego! – dwa razy w ciągu dziesięciu minut.

Gdy Alicja wykonywała swoje ewolucje, dziewczynki raz po raz krzyczały z przerażenia, chłopcy dodawali jej animuszu, tylko jedna Miła Rutkiewicz zachowała absolutny spokój. A gdy Alicja zniknęła im z oczu i dziewczęta jeszcze raz rzuciły się do cucenia Ałły, Miła odezwała się głośno, by ją wszyscy słyszeli:

– Nic dziwnego. Ona jest nienormalna. Rozmawiałam z opiekującym się nią lekarzem. Szukają jej wszędzie, żeby zabrać z powrotem do specjalnego szpitala.

– Jak ci nie wstyd! – wrzasnęła na nią Julka. – Jest normalniejsza i zdrowsza od ciebie. Wiem lepiej.

Ałła otworzyła oczy i powiedziała cicho:

– Przepraszam was, ale chyba pójdę do ambulatorium. Nerwy mi się rozklekotały.

Miła Rutkiewicz pierwsza podskoczyła do niej, pomogła jej wyjść na korytarz.

Reszta otoczyła Julkę.

– Gribkowa, natychmiast opowiadaj wszystko, co wiesz! – zażądała Katia Michajłowa.

– Nic nie wiem – odparła Julka. Trzymała w rękach swoją teczkę i torbę Alicji. – Puść mnie, idę do domu.

– Nigdzie cię nie puścimy! – rzekł twardo Fima Korolow. – Ja też wiem co nieco i jeśli sama nie opowiesz, ja to zrobię.

– Opowiadaj, Julka – przyłączył się Kola Sulima – Przecież oni z pewnością potrzebują pomocy.

ISZUTIN SIĘ NIE WTRĄCA

Alicja wybiegłszy na ulicę, zobaczyła hen daleko przed sobą hipopotami kark Wesołka Ypsilon i kapelusz Napoleona. Rzuciła się w pogoń. Nie mogła pozwolić, by się zbytnio oddalili, gdyż wtedy straciłaby ich z oczu.

Niestety, słabo znała ulice i zaułki, tamci orientowali się o niebo lepiej. Kola Naumow mieszkał tu od urodzenia, zaś piraci, którzy cały tydzień stracili na poszukiwania Alicji i Koli, zdążyli całkiem nieźle zorientować się w topografii tej okolicy. Pod pewnym względem prześcignęli nawet Kolę.

Alicja spostrzegłszy, że skręcili w przecznicę, pokonała tę odległość dosłownie lotem strzały, omal nie zbijając z nóg przechodniów. Skręciwszy za róg, zdążyła zauważyć nowy manewr taktyczny piratów. Za Kolą biegł tylko Wesołek Ypsilon, natomiast Krys w powłoce Napoleona przeskoczył na drugą stronę zaułka i pomknął pod ścianami domów, by wyprzedzić Kolę i wziąć go w dwa ognie.

Kola odwróciwszy głowę, przejrzał ich zamiary.

Po prawej stronie było wejście do jakiegoś domu.

Gdyby w dalszym ciągu biegł przed siebie, piraci bez wątplenia schwytałiby go, toteż nie pozostało mu nic innego, jak schronić się na klatce schodowej.

Trzasnęły drzwi.

Wesołek Ypsilon krzyknął głośno: „Szrszszk!” – co oznaczało: „Mamy go!”

Alicja zrozumiała, że klatka schodowa nie ma drugiego wyjścia. Zapędzili Kolę w ślepy zaułek.

Wesołek wpadł na klatkę schodową, Krys pobiegł dalej w stronę łukowatej bramy prowadzącej na podwórko.

Alicja nie zdążyła nawet pomyśleć, co ma począć dalej, gdy ktoś złapał ją w biegu i kobiecy głos wykrzyknął:

– Ciebie właśnie mi trzeba, mój skarbie!

Alicja próbowała się wyśliznąć, ale silne dłonie trenerki, Marty Skryl, trzymały ją jak w kleszczach.

– Ty nawet ulicą biegniesz, jakbyś chciała ustanowić rekord – zachwycała się żółtowłosa. – No, poszcęściło mi się. Szłam właśnie do twojej szkoły, a tu patrzę – moja rekordzistka, nadzieja naszego sportu, we własnej osobie. Chyba czas najwyższy, byśmy porozmawiały.

– Przepraszam – zawołała Alicja, majtając nogami w powietrzu. – Strasznie się spieszę!

– Co tam znaczy twój obecny pośpiech w porównaniu z przyszłością, jaka się przed tobą otworzy w sporcie? Jesteś przecież samorodnym talentem! Jeśli uda się nam przełamać cię...

Nawet w tak niewygodnej pozycji trudno było dziewczynce ukryć zdziwienie.

– Po co mnie przełamywać?

– Jak to po co? Żeby cię oduczyć domorosłego stylu. Kto tak skacze wzwyż w dzisiejszych czasach?

Alicja raz po raz zerkała, czy ktoś nie wybiega z domu albo z bramy. Ale zaulek był jak wymarły.

– A w jakich czasach tak się skakało? – spytała. W żadnym razie siłą trenerki nie pokona, musi użyć podstęp.

– W prehistorycznych – z dużą pewnością siebie odparła Marta. – Dziś taki styl nie ma perspektyw.

– Co to, to nie! – obruszyła się Alicja. – Żeby pani wiedziała, jaką wysokość pokonał takim stylem Pulardkin!

– Nie obchodzi mnie jakiś tam Pulardkin. Wiem tylko, że chciano cię zmarnować! Trzeba pracować nad techniką. U mnie skoczysz...

– Więc proszę mnie postawić na ziemi.

– Dobrze, tylko nie uciekaj. Zaraz zapiszę twoje dane. Wszystkie rozmowy z rodzicami biorę na siebie.

– Wątpię, by się to pani udało – powiedziała Alicja nie odrywając oczu od bramy.

– Nie takich rodziców udało mi się namówić.

Alicja niepostrzeżenie zrobiła pół kroku w tył.

– Już piszę – mówiła trenerka. – Czyżby cię nie nęciły wielkie zawody? Sława, oklaski, podium honorowe i zagraniczne stadiony... Dokąd biegniesz? Zatrzymaj się! Zatrzymaj się natychmiast! I tak się przede mną nie ukryjesz! Odnajdę cię przez szkołę!

Alicja podbiegała już do drzwi wejściowych. Trenerka drobiła z tyłu, nie przestając jej namawiać.

Wbiegłszy na klatkę schodową, Alicja skoczyła na dół, ku drzwiom wiodącym do piwnicy. Tam, w ciemności, przycupnęła za węglem wstrzymując oddech. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, a potem głos trenerki:

– Dziewczynko, gdzie się schowałaś? Dlaczego uciekasz przed swoją szansą życiową? Czy nie słyszysz, jak grają fanfary?

Alicja milczała. Słysząc było, jak trenerka niepewnie wchodzi po schodach, przystaje i mówi:

– Jeśli mnie słyszysz, to weź pod uwagę, że w sporcie najważniejsza jest wytrwałość. A ja mam jej dużo. Wrócę do szkoły i dowiem się wszystkiego od Edwarda Piotrowicza.

Rozległy się głośnie kroki, trzasnęły drzwi, Alicja jednak przezornie nie opuszczała kryjówki. Nie wierzyła upartej trenerce. I słusznie. Po paru minutach drzwi otworzyły się ponownie, tym razem powolutku, prawie niedosłyszalnie. Lekko zaszurały ostrożne kroki, jak gdyby ktoś stąpał na palcach. Trenerka, bo to była ona, zbliżyła się do schodów piwnicznych i zajrzała w głąb. W półmroku widoczny był zarys jej sylwetki. Nasłuchiwała. Alicja bała się nawet oddychać.

– Schowałaś się tam? – spytała trenerka.

Do piwnicy jednak nie zeszła. Może lękała się myszy?

W końcu westchnęła ciężko i mruknęła:

– Żeby nie wiem co... żeby nie wiem co... odnajdę tego samorodka.

Oddaliła się wreszcie.

Alicja ostrożnie wysunęła nos z kryjówki. Była bardzo zdenerwowana. No chyba, straciła co najmniej dziesięć minut. Jeśli istnieje tylne wyjście, to Kola i piraci są już daleko, daleko. Szukaj wiatru w polu!

Alicja rozejrzała się. Jasne. Tylne wyjście. Za windą. Podeszła do niewielkich ciemnych drzwi i pchnęła je. Ustąpiły posłusznie. Za nimi znajdowało się podwórko otoczone zewsząd domami.

Pośrodku stała zabita deskami jednopiętrowa oficyna przeznaczona do rozbiórki. Można było wydostać się stąd tylko przez bramę wiodącą na ulicę lub przez identyczną w drugim końcu podwórka.

Podwórko było puste. Tylko na ławce pod drzewem siedział młody mężczyzna w zamszowej marynarce, zamszowych pantoflach i zamszowych spodniach. Był tęgawy, schludnie i modnie ubrany. Palił fajkę i czytał powieść kryminalną.

– Dzień dobry – powiedziała Alicja.

– Dzień dobry – odparł zakładając palcem stronicę książki. – Dzień dobry, jeśli to nie żart.

– Wcale nie żartuję. Czy nie przebiegał tędy chłopiec oraz dwóch dorosłych mężczyzn?

– Chłopiec? – zdziwił się młody człowiek spowity w zamsz. – A w jakim wieku?

– W moim – odrzekła Alicja. – Gonili go dwaj mężczyźni. Jeden strasznie gruby, w podartym płaszczu i bez czapki. A drugi nie wiem w jakiej postaci.

– Powiadasz, że gonili? Bardzo dziwne. A dlaczego? Chłopak narozrabiał?

– Nie, wcale nie narozrabiał. To znaczy narozrabiał wcześniej, a teraz nie jest niczemu winien.

Winni są ci, którzy go ścigają.

– Ciekawe – powiedział młody mężczyzna. – Nawet bardzo. Czemu wobec tego ruszyli za nim w pogoń?

– Żeby mu odebrać pewną rzecz. To przestępcy.

– Niemożliwe!

Młody mężczyzna cały był różowiutki i gładki. Dosłownie jakby skończył się przed chwilą myć i pucować twarz ostrą szczoteczką. Na tej różowej twarzy zwiślały ku podbródkowi, niczym dwie gąsienice, czarne wąsy.

– Bardzo dziwne – nie ustępowała Alicja. – Musieli tędy przebiegać nie dalej niż dziesięć minut temu.

– Gdybym był świadkiem jakiegokolwiek naruszenia porządku – oznajmił młody człowiek – natychmiast bym dał znać.

– To znaczy, że nikt nie przebiegał?

– Jesteś pierwszą osobą, która się tu kręci.

– Mówi pan prawdę?

– Słuchaj, czyżbyś nie rozumiała po rosyjsku? Nikt tędy nie przebiegał. Żadni chłopcy i w ogóle nikt. Przeszkadzasz mi! Przez ciebie nie pamiętam, na czym przerwałem czytanie. Mam trochę wolnego czasu i chcę go wykorzystać z pożytkiem, rozsądnie. Spływaj więc stąd, zanim użyję wobec ciebie siły fizycznej!

Z tymi słowy otworzył założoną wskazującym palcem książkę i zagłębił się na powrót w lekturze.

A jednak młody człowiek skłamał.

Dziesięć minut wcześniej widział, jak na podwórko wbiegł dziwny osobnik w mundurze Napoleona Bonaparte (młodzieniec był odczytany, rozpoznał więc Napoleona) i dał nura w tylne wejście. Mężczyzna zdumiał się ogromnie, że Napoleonowie biegają po podwórkach. Odłożył książkę i zaczął rozmyślać o złożoności życia. Może kręca film? Ukrytą kamerą? Na wszelki wypadek wyjął grzebyk i przejechał nim po włosach. Gdyby trafem znalazł się w kadrze, powinien być bez zarzutu. A nuż dostrzeże go na przeglądzie reżyser i spyta: „Kim jest ten młody przystojny człowiek?”. Odpowiedzą mu: „To amator, przypadkowo znalazł się tam, gdzie kręciliśmy, nazywa się Piotr Iszutin, jest starszym kucharzem w restauracji, bardzo odczytany, niegłupi... Dla sztuki gotów

życie poświęcić” – „Wobec tego zagra rolę pułkownika Bagrationa.”

Gdy Piotr Iszutin snuł te marzenia, otworzyły się drzwi tylnego wejścia i przed jego oczyma rozegrało się zdumiewające widowisko. Przodem szedł, rozglądając się, Napoleon Bonaparte. Za nim – niewiarygodnie gruby mężczyzna w podartym płaszczu. Niósł pod pachą nieruchomego chłopca.

Jeśli to miał być film, to raczej nie historyczny, lecz przygodowy. O kidnappingu. Piotr Iszutin wstał, założył palcem powieść kryminalną i postanowił, że właśnie teraz zatrzyma porywaczy stanowczym okrzykiem: „Ręce do góry!”

Jeśli kręcą ten właśnie kadr, reżyser bez wątpienia dostrzeże determinację nieznanego i wykrzyknie: „Kim jest ten odważny nieznajomy? Bezzwłocznie odnajdźcie go i powierzcie mu rolę oficera milicji w filmie kryminalnym!”

Pirat Krys, który szedł pierwszy, zauważył gest Iszutina i odwrócił się ku niemu.

– Czego chcesz? – spytał.

– Ja? – zdziwił się Piotr. – Ja tylko chciałem..

Tymczasem grubas podszedł do oficyny i odsunął deskę w oknie na parterze.

– Słuchaj no – groźnie zasyczał Krys, zsuwając na oczy trójganiasty kapelusz – jeśli będziesz mi się plątał pod nogami, zrobię z ciebie befsztyk. Zrozumiano?

– Tak – odparł Iszutin. – Jasne, że tak.

– Coś widział?

– Ależ nic. Lepiej nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– I zapamiętaj sobie – groził Krys, wyciągając z kieszeni nóż – jeśli piśniesz komuś słówko o tym, co tu widziałeś, zginiesz marnie. I nie lataj na milicję, i nie próbuj się ukryć przede mną. Znasz mnie?

– Nie. To znaczy, czytałem o panu bardzo pochwalne opinie...

– Twoje szczęście. Ci, co mnie znali, żyli krótko.

Pirat przystawił wymagowany nóż do zamszowego brzucha kucharza Iszutina i wyszczerzył zęby.

– Ja nigdy... – zaczął Iszutin. Nie mógł przecież wiedzieć, że nóż nie jest prawdziwy. Nikt mu jeszcze nie przystawiał noża do brzucha, czytał tylko w powieściach kryminalnych, jak się to robi. Wprawdzie czytając owe powieści był zawsze po stronie oficerów śledczych, życząc im sukcesów. Wyobrażał sobie nawet, że pewnego pięknego dnia sam ujmie szczególnie niebezpiecznego przestępcę i zaproponują mu funkcję głównego oficera śledczego. Teraz jednak lepiej się nie wtrącać. Literatura i film to co innego, a w życiu można dostać nóż pod żebro.

– I zapamiętaj jeszcze – dodał Napoleon – że cię znamy. Mieszkasz w tym domu. Jeśli piśniesz choć słoweczko, nie ujdiesz nam.

– Rozumiem – pospiesznie zapewnił go Iszutin. – I w ogóle chciałem tylko pomóc. Może coś przynieść...

– Kicham na twoją pomoc.

Tymczasem grubas z chłopcem pod pachą zniknął z pola widzenia.

– No, to mogę już sobie iść? – spytał Iszutin. – Pora na obiad. Muszę przyznać, że pan świetnie mówi po rosyjsku.

– Zaczekaj. Siadaj na ławce.

Piotr usiadł pokornie.

– Zaraz będzie tędy przebiegała pewna dziewczynka. Bez wątpienia zapyta cię, czy nas nie widziałeś. Będę cię obserwował. Jeśli nie utrzymasz języka za zębami, żegnaj się z życiem. A befsztyki będzie smażył zamiast ciebie inny kucharz. Jasne?

– Tak jest! – odrzekł Piotr.

I usiadł na ławce czekając na dziewczynkę.

Wykonał zadanie ściśle stosując się do poleceń Krysa. Siedział, czytał i nawet zaczęło mu się to jego poufne zadanie podobać. Na pewno ten chłopak i jego przyjaciółka to niebezpieczni przestępcy – uspokajał własne sumienie.

I kiedy Alicja po chwili wahania ruszyła w stronę drugiej bramy, Piotr cichutko wstał z ławki i pospieszył do domu. Ułożył się na tapczanie i poczuł, że dygocą mu ręce i nogi. Następnie jeszcze raz umocniwszy się w przekonaniu, że najważniejsze to nie wtrącać się w cudze sprawy, uspokoił się i zasnął.

Alicja uwierzywszy Iszutinowi, doszła do wniosku, że Kola, a za nim piraci, musieli uciec przez drugą bramę.

Wyszła przez nią na sąsiednie podwórko. Różniło się ono znacznie od pierwszego. Pełno tam było zaczynających się zielenić krzewów, koło których stały ławki, a na nich siedziały młode mamy oraz babcie z wózekkami. W wózkach były niemowlaki. Inne dzieci, nieco starsze, budowały zamek z piasku.

Alicja podeszła do siedzącej najbliżej babci i spytała:

– Przepraszam, czy nie przebiegał tędy chłopiec?

– A czy on ci zrobił coś złego? – spytała babcia.

Od dziecka żywiła głębokie przekonanie, iż chłopcy są stworzeni wyłącznie po to, by ciągnąć dziewczynki za warkocze. Dlatego przez całe życie stroniła od chłopców w różnym wieku, od siedmiu do siedemdziesięciu lat, nie wyszła za mąż i teraz odbywała spacer z wnuczką swojej siostry.

– Nie – odparła Alicja. – Nie zrobił mi nic złego. Ale gonią go dwaj bandyci.

– Cooo? – Babcia aż podskoczyła. – Bandyci! – krzyknęła na całe gardło.

– Gdzie, gdzie bandyci? – pytały jedna przez drugą inne babcie i mamy, po czym zaczęły nerwowo zwoływać dzieci i przyciągać bliżej wózekki.

– Proszę się nie denerwować – starała się uspokoić je Alicja. – Spytałam tylko, czy nie przebiegał tędy chłopiec ścigany przez dwóch mężczyzn – grubasa oraz chudzielca podobnego do Napoleona.

– Co za barbarzyństwo! – oburzyła się inna babcia. – Gonić dziecko!

– To znaczy, że nikt tędy nie przebiegał? – upewniła się Alicja.

Była przekonana, że gdyby ktoś taki zjawił się w tym cichym zakątku, niewątpliwie powstałby tu nie lada popłoch.

– Nie – odparła młodziutka mama w szerokich spodniach. – A mogą tędy biec? Powiedz prawdę, odwiozę maleństwo do domu. Dzieciom nie wolno się denerwować.

– Nie, nikt nie będzie tędy biegł – uspokoiła ją Alicja i wróciła na pierwsze podwórko.

Z tyłu dochodziły ją wzburzone głosy mam i babć. Niektóre zaczęły zbierać się do domu.

Co się stało? Na pierwszym podwórku ich nie było, bo inaczej musiałyby ich zauważyć zamszowy mężczyzna z książką. Na drugim podwórku nie było ich również – takie wydarzenie nie uszłoby uwagi troskliwych opiekunek. To znaczy, że pozostała tylko klatka schodowa, w której Alicja

schroniła się przed upartą trenerką. Tam trzeba szukać Koli. Ale w jaki sposób? Obejść wszystkie mieszkania? I o co pytać?

Alicja wyszła na ulicę i przystanęła w zamyśleniu. I tu właśnie spostrzegli ją koledzy z szóstej B.

NARADA WOJENNA

Gdy Julka skończyła swoją opowieść, przynajmniej połowa klasy postanowiła pędzić na pomoc Alicji i Koli. Tylko nikt nie miał pojęcia, co należy robić. Wszyscy patrzyli wyczekująco na Julkę. Przecież to ona jest przyjaciółką Alicji i, można powiedzieć, jej starszą siostrą – starszą o sto lat.

– A dokąd to? – zdziwiła się szatniarka Łusza widząc, że w połowie lekcji cała szósta B – łącznie z prymusami i dwójkowiczami – pędzi z krzykiem i tupotem po schodach.

Niektórzy zdążyli się ubrać, inni pobiegli tak jak stali – na szczęście dzień był ciepły, pogoda niemal letnia.

Dopadli najbliższego rogu i przystanęli. Dokąd biec dalej?

– Podzielmy się na trzyosobowe grupki, każda przeszuka jeden zaułek – zaproponował Boria Messerer.

– Głupi pomysł! – ścięła go Miła Rutkiewicz. Była na siebie wściekła. Teraz ona pierwsza winna uratować Alicję z rąk piratów, przecież to ona ją wydała. – Nie wiemy, dokąd pobiegli. Może są już na Gorkiego.

Wtem zobaczyli spieszącą w ich kierunku niedużą kobietę z zaondulowaną żółtą grzywką.

Katia Michajłowa pierwsza ją poznała.

– Dzień dobry – spytała. – Czy nie widziała pani dziewczynki z naszej klasy...

Trenerka nie dała jej dokończyć.

– Ta wasza Alicja całkiem nie pozwala sobą pokierować. Odkryłam przed nią wspaniałe perspektywy sportowe i wiecie, co mi odpowiedziała?

– Wiemy! – odrzekli chórem.

– Nie dość tego! – zawołała trenerka. – Ona potem...

– ...uciekła! – zgodnie dopowiedzieli szóstoklasiści.

– Jak widzę, jesteście doskonale poinformowani – obraziła się trenerka. – Obawiam się, że ten nieodpowiedzialny nastrój i wam się udzielił.

– Udzielił! – znów ryknęli jak jeden mąż.

– A dokąd uciekła? – spytała grzecznie Katia Michajłowa.

– O tam, widzicie to wejście do szarego budynku? Musiałam gonić za nią po klatce schodowej, bez skutku zresztą. Ona tam mieszka?

Nikt już trenerki nie słuchał. Szósta B pędziła w stronę szarego budynku. I w tym właśnie momencie wyszła stamtąd Alicja i przystanęła na chodniku.

Szósta B otoczyła ją zwartym kołem.

– No, gdzie Kola?

– Dogoniłaś ich?

– Ukryli się?

– Nie krępuj się, wiemy o wszystkim. Opowiedzieli nam Fima z Julką.

– Nie dogoniłaś ich?

– Wiemy, że jesteś z przyszłości.

– Pomożemy ci znaleźć tę maszynkę...

Wszyscy mówili naraz, trudno było cokolwiek zrozumieć, Alicja jednak rozumiała i wyraźnie się ucieszyła.

– Dziękuję wam – rzekła po prostu.

Przerywali sobie nawzajem, powstał taki harmider, że aż szyby zadzwoniły w oknach.

Poprzez ten harmider przebił się nagle srebrzysty głosik Larysy:

– Och, oni na pewno Kolę torturują! – Jej śliczne błękitne oczy były pełne łez.

– Prędszej, szukajmy go! – krzyknął Boria Messerer.

W oknie pierwszego piętra pojawiła się okrągła zaspana twarz.

– Smarkacze, nie możecie się bawić w swoje podchody gdzie indziej? – rozległ się głos. –

Właśnie zasypiałem, gdy zaczęliście wrzeszczeć o jakichś torturach. Wstyd!

Z lufcika piętro wyżej wychyliła się kobieta z głową w papilotach i przyłączyła się do zaspanego mężczyzny:

– Co za zwariowane czasy! Nam w ich wieku nie przychodziły do głowy chuligańskie wybryki, bawiliśmy się w chowanego.

– Co wy tam rozumiecie! – wściekła się Julka.

– Nie kłóć się – pohamowała ją Katia Michajłowa. – Chodźmy na bulwar. Tam urządzimy naradę.

– Ktoś musi zostać tutaj – powiedziała Alicja. – Mogą zwać i uprowadzić Naumowa.

– Ja zostanę – zgłosił się Kola Sulima. – Kto jeszcze?

Jako drugi na czatach stanął Boria Messerer. Sulima pilnował zaułka, a Boria podwórka. Reszta pospieszyła na bulwar, aby tam zastanowić się nad dalszymi działaniami.

Takiego zdarzenia nie przeżyli nigdy w ciągu sześciu lat pobytu w szkole.

Po pierwsze, nowa uczennica, Alicja, okazała się najzwyczajszą dziewczynką z przyszłości, nie zaś żadną „supergirlą”.

Po drugie, Kola Naumow był w przyszłości i strasznie tam narozrabiał, choć nie w złej intencji.

Po trzecie, wiedział o tym Fima Korolow i nie zdążył przed nikim się wygadać, oprócz Koli Sulimy. A Sulima chciał opowiedzieć o wszystkim Alicji, ale też nie zdążył.

I w końcu gdzieś całkiem niedaleko siedzą prawdziwi piraci kosmiczni, a jeden z nich potrafi nawet przybierać różne postacie.

Przeżyć było co niemiara.

Alicja przysiadła na ławce w taki sposób, by widzieć zaułek. Pozostali otoczyli ją wianuszkami.

– Otwieramy naradę – obwieścił Fima Korolow. – Porządek dzienny składa się z dwóch punktów.

– Czemu? Z jednego – sprostowała Katia Michajłowa.

– Nie, z dwóch. Pierwszy – jak znaleźć i uratować Kolę Naumowa. Drugi – jak pomóc Alicji w odzyskaniu myelofonu i jak wyprawić ją do domu.

– To przecież jedna i ta sama sprawa – zauważyła Julka.

– Nie przerywaj! – rozzłościł się Fima. – Porządek musi być, w przeciwnym razie nigdy się nie dogadamy.

– Nikt cię nie wybierał na przewodniczącego! – powiedziała Miła.

– W decydujących chwilach ktoś najbardziej tego godzien musi ująć władzę w swoje ręce. Tobie, Rutkiewicz, też nie udzieliłem głosu. A może ty trzymasz z piratami?

– Jak ci nie wstyd?

Katia Michajłowa położyła rękę na ramieniu Miły.

– Coś ty, nie znasz Fimki i jego idiotycznych żartów?

– To nie żart! – I nagle Miła wybuchnęła płaczem. – Gdybym wiedziała...

– Co się stało? – spytała Alicja. Nie miała przecież pojęcia, że to Miła przyprowadziła piratów do szkoły.

– Potem ci opowiem – odparła Julka. – Nic ważnego.

Miłka odwróciła się, pragnąc ukryć łzy. Ostatni raz płakała rok temu, gdy praktykantka nie wiedząc, że Miłka jest stuprocentową prymuską, postawiła jej czwórkę z wypracowania.

– Udzielam głosu Alicji Sielezniewej – oświadczył Fima. – Zapozna nas ze stanem poszukiwań kolegi Naumowa. Uchwalamy regulamin?

– Fima, nie rób z siebie durnia! – zdenerwowała Katia. – Albo zdejmę cię z funkcji przewodniczącego. Mów, Alicjo.

– Właściwie nie mam prawie nic do powiedzenia. Biegłam za nimi do tamtego domu, ale złapała mnie trenerka, a kiedy usiłowałam się od niej uwolnić, Kola wbiegł na klatkę schodową. Wesolek Ypsilon za nim.

– Kto? – nie zrozumiał Kola Sadowski.

– Wesolek Ypsilon to ten gruby pirat – wyjaśniła Jula Gribkowa.

– Krys, drugi pirat, który przybrał postać Ałły, pobiegł na podwórko.

– A klatka schodowa ma drugie wyjście? – spytała Katia Michajłowa.

– Ma.

– Wszystko jasne – wtrącił Fima. – Chciał mu zagrozić drogę i w ten sposób go złapać.

– Ale nie złapał – wyjaśniła Alicja. – Na podwórku siedział mężczyzna czytający książkę.

Powiedział mi, że nikt tamtędy nie przebiegał...

– A jeśli to był przebrany Krys? – spytała Julka. – Jeśli cię oszukał, a tymczasem Wesolek Ypsilon popędził za Naumowem?

Alicja zastanowiła się przez moment.

– Nie, to był naprawdę człowiek – stwierdziła. – Rozmawiałam z nim dość długo. Poza tym nie mogli przebiec na sąsiednie podwórko. Było tam dwadzieścia babć i mam z dziećmi.

– Jasne – powiedział Fima. – Mamy już roboczą hipotezę: piraci ukryli się w tamtym domu, na strychu.

– Dlaczego na strychu? – zdziwiła się Katia. – Na klatce schodowej jest co najmniej dwadzieścia mieszkań. A jeśli wdarli się do jednego z nich?

– Zaczniemy od strychu. Mam przeczucie, że się tam przyczaili. A przeczucia nigdy mnie nie mylą – nalegał Fimka.

– Pewnie – zjadliwie docięła mu Julka. – Ma się rozumieć! Pamiętasz, jak przedwczoraj miałeś przeczucie, że nie pytają cię z geografii?

– Gribkowa – zareagował ostro Fima. – Wyjdź na róg zaułka. Będiesz stamtąd widziała Sulimę. Spytaj go na migi, czy wszystko w porządku.

– Sam sobie idź – odparła Julka. – Masz bliżej.

– Ustępuję wobec brutalnej przemocy – oświadczył Fima, po czym podbiegł do ogrodzenia okalającego bulwar i pomachał ręką. Za chwilę wrócił ze słowami: – Pole widzenia czyste.

– Strasznie się denerwuję! – jęknęła śliczna Larysa. – Umieram ze strachu. Lepiej mi było zostać w klasie.

– No, to wracaj do domu – powiedział Fima. – I tak żadnego pożytku z ciebie nie ma.

– Fima, to już ostatnie ostrzeżenie – rozzłościła się na dobre Katia. – Jeśli nie przestaniesz zachowywać się ordynarnie, wyrzucimy cię!

– I to natychmiast! – potwierdziła reszta klasy.

– Ja nie to miałam na myśli – rozzaliła się Larysa. – Chciałam powiedzieć, że zawsze dostaję ze zdenerwowania okropnego apetytu. Nawet na klasówkach chce mi się jeść.

– Miałam gdzieś czekoladę – otworzyła teczkę Julka.

– No dobra – wstał znowu Fima. – Proszę o konkretne propozycje.

– Jakież tu mogą być propozycje? – zdziwił się Kola Sadowski. – Trzeba przeszukać klatkę schodową. To nawet kura rozumie.

– Padła propozycja przejścia klatką schodową od mieszkania do mieszkania. Jeśli coś wzbudzi nasze podejrzenia, weźmiemy mieszkanie pod obserwację – powiedział Fima. – Ale zaczynamy od strychu.

– Ja na strych nie pójde – oznajmiła Larysa. – Mogą tam być szczury albo karaluchy. Umarłabym ze strachu.

– Dobra, od strychu jesteś zwolniona. Będziesz siedziała na dole, na ławce. Czy reszta idzie?

– Zaczekajcie – przerwała im Miła Rutkiewicz. Uspokoila się już, wzięła w garść. – Fima mówił, że myelofon leży u Koli Naumowa w domu. W pudełku pod nurkiem. Tak?

– Tak. Sam mi pokazywał.

– A jeśli Kola się przyzna? Piraci pójda do niego i znajdą aparat. Przecież to będzie straszne!

– Gorzej niż straszne – odezwała się Alicja, która do tej pory nie wtrącała się do rozmowy. – Wówczas cały nasz wysiłek pójdzie na marne.

– On się nigdy nie przyzna. Nawet podczas najstraszliwszych tortur – rzekł z przekonaniem Fima.

– To mój przyjaciel, znam go jak siebie samego.

– „Siebie, siebie” – przedrzeźniała go z pogardą Miła. – Ciebie wcale torturować nie trzeba. Wystarczy groźnie spojrzeć, a przyznasz się do wszystkiego.

– Wszyscy wiemy, że Kola nie jest tchórzem – stwierdziła Katia Michajłowa. – Ale przecież mogą go podejść.

– W jaki sposób?

– Bardzo prosty. Krys przybierze postać jego matki i powie: „Kola, oddaj aparat”. I Kola usłucha.

– Cóż za okropność! – wykrzyknęła Larysa.

– A czy on jest idiota? – w głosie Firny zabrakło jednak poprzedniej pewności.

– W takim razie ktoś musi pójść zaraz do Koli Naumowa i zabrać stamtąd aparat – powiedziała Miła. – Myślę, że najlepiej będzie, gdy to zrobi Alicja z Fimą. Alicja rozpozna swój aparat, a Fima może powiedzieć rodzicom, że przyszli na prośbę Koli.

– A jeśli znajdziemy aparat, to co wówczas?

Wszyscy milczeli. Patrzyli na Alicję.

Alicja nie zrozumiała wymowy tego spojrzenia. Wtedy Miła ponownie zabrała głos:

– Zdajemy sobie sprawę, że Alicja musi wracać do domu. I to jak najszybciej. Gdy tylko odnajdzie aparat, niech biegnie do mieszkania, w którym znajduje się wehikuł czasu. Fima jej wskaże.

– Ale bez klucza się nie dostanie...

– Wymyślisz coś, żeby mama Koli go oddała – powiedziała Katia. – Przecież bystry z ciebie chłopak. Raz w życiu wykorzystaj swój talent dla dobra ogółu. Odprowadzisz Alicję i natychmiast z powrotem...

Julka poczuła, że coś ją ściska za gardło. Jak to... tak od razu... Chciała powiedzieć, że wypadałoby wpaść do domu, pożegnać się, inaczej Maria Michajłowna bardzo się zmartwi...

Larysa wyciągnęła rękę.

– Do widzenia, Alicjo. Cieszę się, że cię poznałam.

I wówczas Alicja wybuchnęła ze złością:

– Czyście powariowali? Chcecie, bym wróciła, a wy sami będziecie ratować Kolę? Cóż to, nie uważacie mnie za człowieka? Myślicie, że złapię myelofon i w te pędy do domu, żegnajcie, tak? To wy możecie wszystko rzucić i biec mi na ratunek, a ja obrzydliwa egoistka?...

Łzy ukazały się w jej oczach. Choć, rzecz jasna, Alicja nie płakała...

Julce spadł kamień z serca. Tak się bała, że Alicja posłucha rozsądnej Miły i odejdzie na zawsze... choć Julka nawet słówkiem by jej nie powstrzymała.

Wszyscy trwali w milczeniu. Zrobiło im się głupio, jak gdyby zaproponowali Alicji coś brzydkiego. Choć, jeśli się zastanowić, Miła rozumowała prawidłowo. Jej punkt widzenia był rozsądny.

Pierwsza odezwała się Katia Michajłowa:

– Alicja ma rację. Jeśli tyle czasu straciła na szukanie tego aparatu, może jeszcze poczekać. A jest nam potrzebna. Jako sportsmenka może dostać się tam, gdzie żadne z nas nie da rady. Poza tym zna dobrze tych piratów. Niewątpliwie przecież ich także nie należy tutaj zostawiać.

– Oj, nie należy! – zapiszczała Larysa. – Oj, nie, nie! A już chciałam się z Alicją pożegnać...

Julka westchnęła głęboko i nagle spostrzegła, że wciąż ma otwartą teczkę. Zaraz, zaraz, po co ją otwierała? No jasne, miała poszukać czekolady dla tego obżartucha, Larysy. Julka sięgnęła ręką w głąb teczki, lecz zamiast czekolady namacała ciężką paczkę.

– A cóż to takiego? – zdumiała się.

Wyciągnęła spory, wielkości bochenka chleba, zawinięty w gazetę pakunek. Rozwinęła go szeleszcząc papierem. Wewnątrz znajdowała się czarna torba.

– A to historia! – wykrzyknęła Alicja.

– Co? Co się stało? Coś strasznego? – nerwowo zapytała Larysa. – Przecież to nie czekolada.

– Nie – odparła Alicja. – To myelofon.

POSZUKIWANIA

– To z jego powodu przybyłaś do nas? – spytał Katia.

– Całkiem nieciekawo – skrzywiła się Larysa.

Alicja rozwinęła przewód, włożyła słuchaweczkę do ucha i przycisnęła czerwony guzik na wieczku. Odczekała chwilę, nacisnęła drugi guzik i zaczęła powoli kręcić kółeczkiem.

Nagle roześmiała się.

– Co znowu? – spytała Julka.

– Działa – odparła Alicja. – Wszystko w porządku.

– A czemu się roześmiałaś?

– Ponieważ Larysa zastanawia się, czy poszukasz jeszcze czekolady w teczce, czy też zapomniałaś o niej.

– Idiotyzm! – rozłościła się Larysa i spiekła raka. – Wcale nie myślałam o czekoladzie. I wcale nie jestem już głodna. To czyste oszukaństwo, a nie aparat.

Wszyscy zrywali boki ze śmiechu, Fima Korolow aż spadł z ławki.

Doskonale wiedzieli, kto tu mówi prawdę.

– A skąd on się wziął w teczce? – spytała Miła, odczekawszy, aż się wreszcie uspokoją. – Ktoś musiał go tam położyć.

– Widziałam – rzekła na to Larysa. – Ale nie domyśliłam się. Jeszcze przed lekcjami Kola Naumow podszedł do ławki, w której siedzi Julka, i coś tam majstrował. Spytałam go: „Co, zakochałeś się? List miłosny podrzucasz”? Odpowiedział mi tak niegrzecznie, że wolałam natychmiast o tym zapomnieć.

Pedantyczna Katia Michajłowa składała gazetę, w którą zawinięty był aparat.

– Spójrzcie, coś tu jest napisane – powiedziała.

– Daj mi to. – Alicja wzięła od niej gazetę i przeczytała na głos: – „I tak już wiesz o wszystkim albo wkrótce się dowiesz. Jeśli uważasz, że jestem winien i zasłużyłem na karę, nie będę się wykręcał. Ale daję słowo honoru, że nie chciałem zabrać tego aparatu, jedynie uratować go przed bandytami. Przepraszam za stratę czasu. Szkoda, że nie możesz zostać z nami”. To wszystko – dodała Alicja.

– A podpis? – spytała Miła.

– Nie ma żadnego.

– To jego charakter pisma – stwierdził Fima Korolow, zaglądając Alicji przez ramię. – Dobrze go znam.

– To chyba koniec – stwierdziła Katia Michajłowa. – Możesz wracać do domu, Alicjo.

Alicja nic nie odpowiedziała.

– Co go kosztowało zwrócić aparat choćby wczoraj? – westchnęła Miła Rutkiewicz.

– Co by mówić, nasze chłopaki nie wyróżniają się specjalną inteligencją – powiedziała Larysa. – Schować cudzą rzecz, a potem podrzucać ją do czyjejś teczki! Istne przedszkole!

Alicja przewiesiła mylofon przez ramię.

– Lepiej schowaj go do torby – poradziła jej Julka. – Jeszcze zgubisz!

– Nie. Teraz się nam przyda.

– Daj mi go na chwilę – powiedział Fima. – Chciałbym posłuchać czyichś myśli.

– Przepraszam was, koledzy – powiedziała Alicja – ale nikomu go nie dam. I to nie dlatego, abym się bała, że go zepsujecie, czy też nie miała do was zaufania. Po prostu ten aparat zostanie wynaleziony dopiero za sto lat. Jego jeszcze nie ma.

– Szkoda – zmartwił się Fima.

Miła poparła Alicję.

– W dodatku on nie jest jej własnością.

Alicja wstała z ławki.

– Poniesiesz moją torbę? – spytała Sadowskiego.

– Daj – odpowiedział.

– Jakie są instrukcje? – spytał Fima, który miał nadzieję, że później, kiedy już wszystko dojdzie do ładu, wyprosi jednak mylofon u Alicji. Choć na sekundę.

– Mylofon odbiera myśli ludzkie na odległość dziesięciu, a niekiedy i więcej metrów – powiedziała Alicja. – Jeśli przejdziemy klatką schodową obok mieszkań, usłyszymy, czy nie ma tam piratów i Koli.

– Jasne! – wykrzyknęła Jula. – Genialnie proste.

– Nie ma sensu, by szli wszyscy – dodała Katia. – Część niech zostanie na dworze. Po co taki tłum ma się włóczyć po piętrach!

Nikt nie miał ochoty zostać. Umówili się, że czwórka pójdzie sprawdzić mieszkania, reszta zaś będzie pełnić dyżur na podwórku i na ulicy. Larysę i Miłę Rutkiewicz wyprawili do domu. Z początku miała iść tylko Larysa – by przestała umierać z głodu, podjadła sobie i przygotowała kanapki również dla reszty towarzystwa. Podczas odbywania obchodu lub wystawiania na posterunku ogromnie rośnie apetyt. Wie o tym każdy żołnierz. Jednakże po odejściu Larysy wszystkich ogarnęło zwątpienie: a nuż nie wróci? Przecież to znany śpioch. Podje sobie, zaśnie i spostrzeże się dopiero wieczorem. Wobec tego poświęciła się Miła Rutkiewicz. Obiecała, że przygotuje dla wszystkich kanapki. Poza tym w domu ma jeszcze prawie cały tort – wczoraj były urodziny brata, zjedli trzy torty, czwartego już nie zdołali zmęczyć.

Klatkę schodową mieli przeszukać: Alicja, Fima Korolow, Kola Sulima i Katia Michajłowa.

– Stanowczo nalegam, żeby zacząć od strychu – ciągnął znów swoją śpiewkę Fimka. – Ty, Alicjo, niezbyt dobrze znasz nasze życie. Muszę ci powiedzieć, że podczas wojny domowej kontrrewolucjoniści ukrywali się najczęściej na strychach.

– Strzelił jak kulą w płot! – pokręciła głową Julka – Przecież to było sto lat temu.

– Czytałam o tym – powiedziała Alicja.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Wysiedli, starając się robić jak najmniej hałasu.

– Szkoda, że nie mamy broni – szepnął Fima.

Z bronią rzeczywiście było nie najłepiej. Właściwie to w ogóle jej nie było, jeśli nie liczyć gwizdka Fimy Korolowa.

– To nic – pocieszyła go Alicja. – Wszyscy przestępcy są tchórzami. Obawiają się

zdemaskowania.

– Stań lepiej z tyłu – szepnęła Katia. – Żeby nie dobrali się do myelofonu.

Alicja skinęła głową. Katia miała rację. Jeśli bandyci spostrzegą myelofon, mogą go porwać i umknąć.

Weszli na najwyższy podest i znaleźli się przed drzwiami na strych. Były zamknięte na potężny zamek.

– Tu ich nie ma – powiedziała Alicja.

– Nie można lekceważyć ich przebiegłości – sprzeciwił się Fima. – Mogli wyjąć zamek, a potem znów zamknąć. Nie znamy przecież wszystkich ich sztuczek.

Katia Michajłowa podeszła do drzwi i przejechała palcem po zamku. Był zakurzony.

– Nikogo tu nie było już od kilku dni – powiedziała.

Kola Sulima uśmiechnął się.

– Teraz Korolow powie ci, że kurz rozpylili później. Chytre lisy. Przynieśli go w kieszeni.

– A co – nie poddawał się Fima. – Dokładnie tak mogło być. Piraci odznaczają się szatańską przebiegłością.

Alicja nie chcąc tracić czasu na próżne spory z Fimą, zaczęła schodzić na dół.

– Stój! – zawołał Fima. – Potem będziesz żałowała! Posłuchaj chociaż.

– Niech ci będzie...

Alicja podeszła do drzwi, włączyła myelofon i pokręciła kółeczkiem łapiąc fale. Przecież każdy mózg emituje myśli na właściwej sobie częstotliwości. Jak radiostacja.

– No i co? – nie wytrzymał Fima.

– Nic. Są tam wyłącznie gołębie.

– Daj posłuchać – poprosił Fima. – Choć troszeczkę.

– Nie ma czego słuchać.

– Fima, odczep się od Alicji. Umawialiśmy się przecież – zmitygowała go Katia.

Alicja wyłączyła myelofon.

Zeszli piętro niżej. Znajdowały się tam trzy mieszkania.

– Zadzwonimy? – spytał Kola Sulima.

– Spróbujemy bez tego – odparła Alicja. – Przecież myśli przenikają przez drzwi.

Podeszła do najbliższych.

– Nie ma nikogo w domu – oświadczyła nasłuchując.

– Słuchaj, Aluśka – zdenerwował się Fima – może ten twój aparat nie odbiera myśli? Może Naumow go zepsuł?

Alicja chciała się odgryźć, ale Kola Sulima, stojący przed sąsiednimi drzwiami, szepnął:

– Hej, słyszę tam jakąś rozmowę.

Alicja podbiegła natychmiast.

– No, co słyszeć?

– Nie przeszkadzaj, Fima. Tam rzeczywiście ktoś jest.

– Kto? Piraci?

– Nie. Małżeństwo. Oboje starzy. Pokłócili się i od rana nie mogą się w żaden sposób dogadać, kto pójdzie po mleko. Siedzą więc bez mleka. I kot też nie ma mleka.

– Biedny kot! – rzekła ze współczuciem Katia.

– Koli tam nie ma – stwierdziła Alicja.

– Jasne – zgodził się Fima. – Ale daj no, sprawdzę.

Alicja podała Fimie słuchawkę. Tak czy owak nie zdoła się wykręcić.

Fima przechylił głowę, nasłuchiwał.

– Technika na granicy fantastyki!... Oj, słyszę też kota!...

– No, dosyć, dosyć – powiedziała surowo Katia. I ona miała ochotę posłuchać myśli, jednakże duma nie pozwoliła jej prosić. – Korolow, masz szesnaście kopiejek. Skocz na róg i pędem przynieś tutaj torebkę mleka.

– Po co? – nie zrozumiał Fima.

– Ciemna maso! A to, że kot siedzi głodny, nic a nic cię nie obchodzi?

– A jeśli coś się beze mnie zdarzy?

– Nie łam się, Sulima zostaje z nami. A w razie czego zawołamy. Na podwórku pięć osób pęta się beczynniami.

– Wobec tego przekażę im zlecenie! – krzyknął Fima, zbiegając w dół po schodach.

Alicja zbliżyła się już do kolejnych drzwi.

– Chcesz posłuchać? – spytała Katię.

– Bardzo chętnie, dziękuję – odparła Katia. – Jeśli czegoś nie zepsuję...

Alicja podała jej słuchawkę.

Słysząc było tylko szum i trzaski. Alicja obracała pokrętko strojenia.

– Podnieś rękę, gdy usłyszysz – powiedziała.

Katia podniosła rękę.

W słuchawce dzwijał daleki bezcielesny głosik:

– I czemu on nie dzwoni? No, niech wreszcie zadzwoni... Może źle zapisał numer telefonu? Nie, przecież sama zapisywałam. Obiecał zadzwonić rano... przed wykładami...

– Według mnie, to jakaś zadurzona cipulka – powiedziała Katia. – Aż głupio podsłuchiwać.

– Przecież nie robimy tego dla przyjemności – wyjaśnił Kola Sulima.

– Chcesz posłuchać? – spytała Alicja.

– Nie, dziękuję... Może innym razem.

– Koniec – powiedziała Katia. – Zadzwonił do niej. Grucha już na cały głos. Bierz słuchawkę.

Piratów tam nie ma.

Zacząli schodzić na niższe piętro, gdy zatrzymała się winda i wyskoczył z niej Fima.

– Gdzie mleko? – spytała surowo Katia.

– Posłałem Sadowskiego.

– Ach, ty mądralo!

– On i tak zdycha z beczynności. Obmyśla już sposób podróżowania w przyszłość bez wehikułu czasu.

– No, jak mianowicie? – spytała Alicja.

– Bardzo prosto, trzeba wydać kalendarz na rok dwutysięczny.

– I cóż to zmieni? – nie zrozumiał Kola Sulima.

– Jak to co? Będziemy żyć w dwutysięcznym roku. A jak żyć, to już nasza sprawa.

– Genialny pomysł – podsumowała Katia. – Schodzimy.

Na następnym piętrze dwa mieszkania były puste – widocznie wszyscy wyszli do pracy. W jednym spał pies i widział we śnie dziesięć kotów usiłujących odebrać mu kość. Myśli były niezbyt zrozumiałe, raczej zagmatwane, ale Fima, słuchający tego snu, opowiadał, że koty są pasiaście

i olbrzymie jak tygrysy. Wątpliwe jednak, by zdołał to wychwycić za pomocą myelofonu i to jeszcze w psim koszarze.

W trzecim mieszkaniu siedziała mała dziewczynka. Jej mama poszła do sklepu i długo nie wracała. Dziewczynce było smutno i wyobrażała sobie najrozmaitsze straszne historie, z każdą chwilą nabierała pewności, że mama nigdy nie wróci. Żaden pirat nie potrafiłby tak udawać. Gdy mieli zamiar zejść jeszcze piętro niżej, na podeście zmaterializował się nagle zasapany Kola Sadowski, jego włosy paliły się tak czerwonym płomieniem, że można by się o nie sparzyć.

Niósł torebkę z mlekiem.

– Kto tak okropnie zgłodniał? – zapytał. – Ten wariat, Fimka, wepchnął mi pieniądze do ręki, wrzasnął, że to niezwykle pilna sprawa, i wziął nogi za pas.

– No, jak ci się wydaje, kto? – spytał Fima.

– Myślę, że znaleźliście Kolę nieludzko maltretowanego, który powitał was słowami: napiłbym się mleczka. Dobrze mówię?

– Nie, nie znaleźliśmy go. – Katia wzięła od Sadowskiego mleko. – Schodźcie, ja zaraz wrócę.

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Nadstawili uszu. Alicja włączyła nawet myelofon.

Słychać było, jak Katia naciska dzwonek. Na górze otworzyły się drzwi.

– Przepraszam – powiedziała. – Przyniosłam mleko dla kota. Jest okropnie głodny.

– Dziękuję – odpowiedział głos. – Nie możemy się żadną miarą z mężem dogadać.

Drzwi się zatrzasnęły.

Nie było słychać kroków Kati. Widocznie stała wciąż pod drzwiami. Była pewna, że ci ludzie zdziwią się, może nawet nie przyjmą mleka...

– Wraca – powiedziała Alicja, nadsłuchująca myśli właścicielki kota.

– Po co? – spytał Fima.

– Zaraz się przekonasz. – Alicja nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Znów dał się słyszeć skrzyp otwieranych drzwi. Ten sam głos wymówił:

– Dobrze, że jesteś tu jeszcze, dziewczynko. Proszę szesnaście kopiejek. Winna ci jestem za mleko. Jeszcze raz dziękuję. Jutro też przyjdiesz?

Stropiona Katia zeszła po schodach trzymając w ręku szesnaście kopiejek.

– No co, będziesz teraz przychodzić każdego dnia? Kotek taki głodny.

– Chyba tak – powiedziała Alicja. – Wiesz, co ta babcia mówi teraz do swojego męża? „Dzięki Bogu, zaczęli roznosić po mieszkaniach mleko dla kotów. Teraz, Wania, nie będzie już powodu do kłótni”.

– A co on odpowiada? – spytał Sadowski.

– Mówi: „Nie martw się, powód zawsze się znajdzie”.

– No i dobrze – skomentował Sadowski. – Inaczej życie ich byłoby nudne.

Zostały jeszcze trzy piętra. Sprawdzili je w dwadzieścia minut. Alicja pozwoliła wszystkim wypróbować myelofon, nic podejrzanego jednak nie zauważyli. W tych mieszkaniach żyli najzwyczajni ludzie – kłócili się, godzili, rozmawiali... nikt nikogo nie torturował, nikomu nie groził. W piwnicy też było pusto.

ISZUTIN ZMIENIŁ ZDANIE

Na podwórku czekała Miła Rutkiewicz z przetłuszczonym pakunkiem.

– Przerwa obiadowa – obwieściła Julka. – Nic nie znaleźliście?

– Nic – odparła Alicja. – Wszyscy weszli na tę klatkę schodową, a nikt z niej nie wyszedł. Nie mam pojęcia, co dalej robić.

– Chodźmy na ławkę – powiedziała Katia. – Zawsze co dziesięć głów, to nie jedna. Przegryziemy i w końcu coś nam wpadnie na myśl.

– Bez wątpienia – przytaknął Fima Korolow. – We mnie już zaczynają kiełkować pewne pomysły.

– Wiem – powiedział Sadowski. – Nauczyłem się już, odczytywać jego myśli bez myelofonu. W głowie Korolowa kiełkuje pomysł lotów kosmicznych w balonach.

– Odczep się! – ofuknął go Fima. – Z tobą nie można poważnie rozmawiać.

– Ani mi się śni rozmawiać z tobą poważnie – odparł Sadowski. – Bo jeszcze mógłbym pęknąć ze śmiechu.

Miła rozdała kanapki i połówki ogórków.

Nagle ku ogólnemu zdumieniu wróciła również Larysa. Szła ziewając szeroko i niosła koszyk pełen jedzenia.

– Chyba umrę, tak mi się spać chce! – jęknęła. – Spałam nawet po drodze.

– Laryso, jesteś wspaniałą dziewczyną – oświadczył Kola Sulima.

– Mówisz serio? Bardzo się cieszę.

Sulima podobał się jej, ponieważ był poważny, grywał w szachy i nosił okulary.

– On tak wcale nie myśli – powiedział Fima. – Jeśli mi nie wierzysz, weź myelofon i posłuchaj.

– W życiu nie słuchałam cudzych myśli. I nie będę.

– Dlaczego? – zapytała Julka, rozpakowując koszyk.

– A nuż trafi się w myślach jakieś nieprzyzwoite słowo?

– Skąd ty nabrałaś tyle żarcia?

– Babcia mi dała. Powiedziała jej.

– Co jej powiedziałaś? – przestraszyła się Katia.

– Ani słowa za dużo. Tyle tylko, że przyjechała do nas jedna dziewczynka z przyszłości i okropnie wygłodzona.

– A babcia?

– Babcia wykrzyknęła: „Ach, taka podróż bez jedzenia!” I opustoszyłyśmy razem lodówkę.

Zabrali się do jedzenia, a tymczasem Alicja przysłuchiwała się myślom dwóch kobiet stojących na środku podwórza i omawiających złe prowadzenie się jakiegoś Iwana Piotrowicza, który po nocach gra na akordeonie i nie daje nikomu spać.

Alicja słuchała ich myśli w nadziei, że mogły wiedzieć piratów lub Kołę.

Nagle wstała, schowała przewód do torby i podeszła do rozprawiających kobiet.

– Słusznie niepokoi się pani o córeczkę – powiedziała. – Od pół godziny płacze rzewnymi łzami, wyobrażając sobie, że pani nigdy już nie wróci. Ona płacze, a pani wałkuje tutaj zachowanie jakiegoś Iwana Piotrowicza!

Wyrzekłszy te słowa, Alicja wróciła na ławkę. Kobiety ze zdumieniem patrzyły za nią, potem jedna z nich przyznała:

– Rzeczywiście, zagadałam się. – I weszła na klatkę schodową.

Druga przyjrzała się Alicji podejrzliwie i burknęła:

– Cóż za źle wychowana dziewczynka!

– O jakiej córeczce mówiłaś? – spytała Julka.

– Jej córeczka siedzi samiotka i myśli, że mama nie wróci już do domu. A mama całkiem o niej zapomniała. Wypadało przypomnieć.

– Spróbuj pieroga – powiedziała Larysa. – Moja babcia kazała obowiązkowo cię poczęstować. Powiedziała, że takich się u was nie wypieka, ponieważ ona zabierze sekret ze sobą do grobu.

– Niech ciebie nauczy – poradziła Julka.

– Nie ma mowy – westchnęła Larysa. – Jestem antytalentem, jeśli chodzi o gospodarstwo domowe.

Alicja jedząc pieróg zastanawiała się, co począć dalej. Czas biegnie, zaraz będzie dwunasta...

– Co robić? – bez myelofonu odczytała jej myśli Julka.

– To przecież jasne. – Fima opychał się tortem, na jego rumianych policzkach wykwitły wielkie różowe

– Odpocznijmy jeszcze chwilę i zasuwamy dalej.

– Niby dokąd? – spytała Alicja. – Przeszukaliśmy całą klatkę schodową.

– Przejdziemy się po innych domach – odparł Fima. – Jeśli się zmęczysz, ja cię zastąpię.

– Po co chodzić po innych domach? – zdziwiła się Alicja. – Przecież oni stąd nie wyszli.

– Stop! – przerwał jej Sadowski. – A jesteś pewna, że nie mają czapki niewidki?

– Daj spokój – powiedziała Alicja. – To sprzeczne z nauką.

– A czemu jesteś taka pewna, Alicjo, że oni nie wyszli z tego budynku? – spytała Miła. – Może ten człowiek skłamał?

Sulima wstał z ławki.

– Są dwa warianty – powiedział. – Pierwszy: obejść z myelofonem wszystkie domy w tym podwórzu.

– A drugi?

– Drugi wariant: znaleźć człowieka, który twierdził, że nie widział piratów, i sprawdzić jego myśli.

– Genialnie! – zawołała Larysa. – Nawet nie trzeba czytać myśli. Wystarczy, że spojrzę komuś w oczy i natychmiast wiem, czy mówi prawdę, czy też kłamie.

– Mimo wszystko myelofon jest bardziej niezawodny – uśmiechnął się Sulima. – Nie pamiętasz, Alicjo, gdzie on wszedł?

– Nie zauważyłam. Chyba tutaj. – Alicja pokazała na drzwi żółtego dwupiętrowego budynku.

Bywają czasem takie zbiegi okoliczności: dosłownie w tej samej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się w nich zażywny mężczyzna w zamszowej marynarce, zamszowych spodniach

i zamszowych butach.

– To on – szepnęła Alicja, szperając w torbie w poszukiwaniu słuchawki.

Spostrzegłszy Alicję, mężczyzna mimo woli cofnął się o krok. Wyraźnie się przestraszył.

Chyba dobrą minutę stał w drzwiach udając, iż zastanawia się, czy nie zapomniał w domu kluczy.

Ale klucze znajdowały się na miejscu. Z koleji wyjął z kieszeni portfel i zaczął w nim grzebać.

Alicja odbierała jego myśli:

„Po co ta przekłeta dziewczyna znów się tu zjawiała? W dodatku przyprowadziła innych. Nie uwierzyła mi? Czyżby coś podejrzewała? Ale co mogłem poradzić? Nie chcę się w to mieszać. To ich sprawy, z pewnością wszyscy oni to dobre numery... Spróbuję się przedrzeć. Najważniejsze, by nikt nie pomyślał, że się czegoś obawiam.”

I Piotr Iszutin, zamszowy mężczyzna, zdecydowanie ruszył przez podwórko w stronę bramy.

– On coś wie – szybko powiedziała Alicja. – Ale ukrywa to.

– Pogadam z nim. – Fima zeskoczył z ławki.

– Ja to zrobię lepiej – powstrzymał go Sadowski. – Gwarantuję. A ty kończ pieróg.

Kola w kilku susach dopędził Piotra Iszutina, zagroził mu drogę i spytał głośno, by go usłyszano na ławce:

– Przepraszani, czy pan jest Napoleonem Bonaparte?

– Co? – wzdrygnął się nerwowo Iszutin. – Co takiego? Jakim Napoleonem?...

A w jego głowie kłębiły się myśli, które doskonale słyszała Alicja.

„Z pewnością to jest aluzja. Tamten też był przebrany za Napoleona. Byle się niczym nie zdradzić... Ależ mnie wzięto w dwa ognie! Litości nie mogę się spodziewać ani z jednej, ani z drugiej strony... Biec na milicję... Ale co ja powiem milicji?...”

– Jeśli jest pan Napoleonem – ciągnął Sadowski, który był niezrównanym mistrzem w wygłaszaniu bzdur z najpoważniejszą miną – mogą pana w każdej chwili postrzelić. Czyżby pan nie wiedział, że sezon polowań na Napoleonów już się zaczął? Pańska skóra będzie wspaniałą ozdobą mojego salonu. Pozwoli pan, że pomacam? A rogi zostawił pan w domu?

I wyciągnął rękę, by pomacać gładki jeleni zamsz.

Iszutin odskoczył z przestachem. Zapomniał, że jest trzy razy silniejszy od chłopca. Myśli goniły w jego głowie jak szalone.

„Daje mi do zrozumienia, że nie wyjdę stąd żywy. Wzywać pomocy? Z pewnością to najlepsze wyjście – jest przecież biały dzień, ktoś musi być w domu, usłyszy i uratują mnie. Ale powiedzieć nic nie mogę. Tamten na pewno obserwuje mnie z okna i jeśli tylko coś pisnę, z miejsca mnie ukatrupi...”

Usłyszawszy te słowa, Alicja wstała z ławki i poszła w kierunku bramy. Po drodze rzuciła Sadowskiemu:

– Pozwól mu przejść.

– Słusznie, to po prostu bezczelność – powiedział Iszutin spiesząc ku bramie.

Kola ustąpił mu z drogi, nie zrezygnował jednak, idąc trzy kroki z tyłu, brzęczał mu nad uchem:

– Skrytość nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Mój dziadek wybierając się na polowanie na Napoleonów, zawsze brał ze sobą wiadro z naftą. Pryskał naftą Napoleonowi na ogon i ten natychmiast oddawał się sam w niewolę. Ale pewnego razu postanowił polać naftą tygrysa...

Iszutin niemal biegiem wpadł do bramy, gdy nagle owa wstrętna dziewczynka znów go zatrzymała szepcząc poufnie:

– Teraz już nie widać pana z okna. Może więc pan mówić całą prawdę.

– Skąd wiesz? – spytał, nogi się pod nim ugięły, aż musiał się wesprzeć plecami o ścianę.

– Złapali chłopca?

– Nie wiem, nie widziałem... – prawie krzyczał Iszutin.

Alicja jednym uchem słuchała jęków, drugim zaś wychwytywała myśli zamszowego mężczyzny, który nigdy do niczego się nie mieszał:

„Oczywiście, że go złapali. Nieśli go całkiem nieprzytomnego...”

Iszutin znalazł jeszcze w sobie tyle sił, by odepchnąć Alicję i wybiec na ulicę. Chciał się znaleźć jak najdalej od tego straszego domu.

„Nigdy tu nie wrócę! – myślał. – Jeszcze dziś wsiądę w pociąg i byle dalej w jakimkolwiek kierunku, choćby do Magadanu...”

Kola Sadowski wyprzedził Iszutina i raz jeszcze zagroził mu drogę.

– Nie skończyliśmy jeszcze rozmowy – powiedział. – Najciekawsze przed nami.

Iszutin był zmuszony zwolnić kroku.

– Dokąd zanieśli nieprzytomnego chłopca? – spytała Alicja.

„Wiedźma! – myślał Iszutin. – Jeszcze ze mnie szydzi. Wie wszystko i szydzi. Wie, że go zanieśli do pustej oficyny pośrodku podwórza.”

– Koniec – rzekła Alicja do Sadowskiego. – Zostaw go. Nie jest już nam potrzebny. Zanieśli Kolę do rudery pośrodku podwórka.

– Umiesz czytać w myślach? – zapytał Iszutin ulgą. Całe szczęście, że się odczepili. Mogło się skończyć gorzej.

– Jak panu nie wstyd! – z oburzeniem powiedziała Alicja. – Na pańskich, oczach dwóch dorosłych mężczyzn niesie dokądś chłopca, a pan ze strachu stara się ukryć to przestępstwo.

– Nie miałem zamiaru ukrywać, ale mnie prosili. Może mają prawo nosić chłopców?

– Jest pan skończonym łajdakiem – oświadczył z całą powagą Kola Sadowski – i niech pan się nie waży zaprzeczać. Obiecują panu, że się jeszcze spotkamy. Nigdzie pan przede mną nie ucieknie.

Na te słowa Iszutin puścił się co sił w nogach ulicą. Tylko połę jego zamszowej marynarki rozwiewały się, jakby goniły go dwa gąsiory. Alicja słyszała jego oddalające się pogmatwane myśli:

„Może to i prawda... ktoś się do mnie w końcu dobierze... Więc jak to, człowiek nie chce się wtrącać, a ktoś mu się za to dobierze do skóry... Nie, nigdy! W pierwszy pociąg i dokądkolwiek – do Magadanu, Soczi, Lwowa... będę tam kucharzem... byle nigdy do niczego się nie mieszać...”

– To beznadziejny przypadek – stwierdziła Alicja. – Nie da się go już wychować na nowo. Takich ludzi trzeba leczyć.

– Wracajmy – pociągnął ją Sadowski.

Weszli znów do bramy. Wtem Alicja znieruchomiała.

– Stój – szepnęła.

Deski, którymi było zabite okno w ścianie oddalonej od bramy, rozsunęły się. Z okna wygramoliła się mała garbata staruszka w białej sukni w groszki, z bukietem tulipanów w ręku. Wolniutko podreptała w stronę bramy. Na ławce nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Ponieważ staruszka wyszła z przeznaczonego do rozbiórki domu, Alicja szybko obróciła pokrętełłem strojenia, łowiąc jej myśli. I dobrze zrobiła, bowiem nikt oprócz niej nie zrozumiałby ani słowa z myśli owej łagodnej babuleńki – myślała w kosmolingwie, języku, którego obecnie nikt jeszcze nie zna.

„Prędeż – myślała babcia – złapali tego niedojdę i tchórza. Jak nic przyzna się do wszystkiego,

gdy tylko zejdziesz mi z oczu. Jeśli tchórz raz kogoś sprzedał, zrobi to po raz drugi i trzeci... Muszę go dogonić i unieszkodliwić... Ale skąd Alicja połapała się, że skłamał? Oto i ona, stoi w bramie, patrzy na mnie... Co jej sterczy z ucha? Czy to nie przewód myelofonu?..."

Alicja chwyciła Sadowskiego za rękaw, wybiegli razem na ulicę.

– Prędeży! – krzyknęła. – Na klatkę schodową!

Zdążyli wpaść przez drzwi frontowe niemal w tej samej chwili, gdy Krys w postaci staruszki z niewiarygodną dla kogoś w tak podeszłym wieku szybkością wyskoczył z bramy. Przez oszklone drzwi widzieli, jak staruszka, uniósłszy do góry spódnicę, spod której wyjrzały napoleońskie buty ze złotymi ostrogami, pobiegła w stronę bulwaru. Alicja wciąż słuchała jej myśli.

„Wpadliście, gołąbeczki, teraz już nie umkniecie! Skoro nie udało się nam wydobyć nic z chłopaka, wydobędziemy z Alicji... Teraz albo nigdy...”

– Za mną! – krzyknęła Alicja. – Nie zastanawiaj się!

– Już dawno przestałem się zastanawiać – odparł Kola, posłusznie wybiegając za Alicją przez drugie wyjście na podwórko.

Koledzy, spostrzegłszy ich, zrozumieli, że stało się coś bardzo ważnego.

– Dowiedzieliście się? – spytała Julka. – Gdzie on jest?

– Kola i gruby pirat są tam, w tej ruderze – wyjaśniła Alicja. – Drugi pirat pobiegł w stronę bulwaru. Wróci za trzy minuty. W ciągu tych trzech minut musimy uwolnić Kolę. Okno z tamtej strony jest słabo zabite, deski dają się rozsunąć. Jak już znajdziemy się wewnątrz, hałasujcie, żeby się grubas wystraszył! Jasne?

Stara oficyna dobrze wiedziała, że dziś lub jutro przyjdą ją rozebrać, a na jej miejscu założą klomb, patrzyła więc smutno na dzieci ślepowymi zabitymi oknami.

Pierwsza wdrapała się ostrożnie przez znajdujące się tuż nad ziemią okno Alicja, za nią Kola Sulima, Kola Sadowski, Korolow, Julka i Katia Michajłowa. Reszta została na dworze pod dowództwem Miły Rutkiewicz i otoczyła dom, by nikt nie mógł się z niego wydostać.

Cała szóstka znalazła się w dużym pustym pokoju z wesołymi błękitnymi tapetami, gdzieniegdzie oddartymi od ściany. Na ścianach pozostały ciemne plamy – ślady stojących kiedyś szaf, komody, wiszących obrazów i fotografii. Drzwi na korytarz były otwarte. Alicja wbiegła tam na palcach i nagle zabrzmiały jej w uchu dalekie, pełne niepokoju myśli Wesołka Ypsilon: „Gdzie się podział Krys? Czemu zostawił mnie samego? Tyle tu się kręci tutejszych dzieci, mogą nas wyśledzić. Trzeba się ukryć... Dlaczego tak cicho?”

Myśli dochodziły skądś z prawej strony.

– Za mną! – krzyknęła Alicja. – Naprzód!

Wszyscy naraz zaczęli krzyczeć. Jedni: „hurra”, inni: „Łapaj go”, jeszcze inni: „Kola, gdzie jesteś?”

Dom zatrzęsł się od hałasu, bowiem w szóstej B, jeśli już trzeba pokrzyczeć, znajdują się – bez przesady – prawdziwi mistrzowie w tej dziedzinie sportu.

W dziesięć sekund dobiegli do schodów wiodących do piwnicy, musieli jednak nagle się zatrzymać, gdyż stamtąd wyleciał na nich jak bomba gruby pirat w rozerwanym płaszczu, kompletnie oszalały wskutek nieoczekiwanego ataku psychologicznego. Nic przed sobą nie widząc, ogłuszył i tak już ogłuszoną Alicję myślami: „Wpadłem! Wpadłem! Ratuj się kto może!”, popędził korytarzem i skoczył głową naprzód w zabite deskami okno. Pod oknem stała Larysa, która spokojnie dojadając kawałek tortu myślała na głos:

– Mimo że tak hałasują i krzyczą, to przecież można każdego zrozumieć. Ale Julce i Kati udzielam nagany.

W tym momencie deski, którymi było zabite okno na parterze, rozleciały się z trzaskiem, coś okropnie wielkiego, okrągłego i ciężkiego wypadło na zewnątrz i klapnęło u jej stóp.

Larysa o mało nie udławiła się tortem, wzięła się jednak w garść i powiedziała do rozpląszonego na brzuchu pirata:

– No, widzi pan, do czego prowadzi takie postępowanie.

Pirat usiłował się podnieść. Był jednak znokautowany niczym pechowy bokser.

Boria Messerer podskoczył do niego i zaczął liczyć zwyczajem sędziów ringowych:

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Aut!

ŻEGNAJ, SUPERGIRL!

Cała gromadka pędem zbiegła do piwnicy, z której tak gwałtownie wyleciał pirat.

W piwnicy panował półmrok i tylko samotna smużka światła, w której wirowały drobinki kurzu wzbitego przez pirata, padała na twarz leżącego na podłodze Koli.

Alicja pochyliła się nad nim.

– Kola – spytała – słyszysz mnie?

Pod okiem Naumowa ciemniał duży siniak, policzek miał podrapany. Otworzył z trudem mętne oczy.

– Nie liczcie na to – wymówił sennym, głuchym głosem. – I tak nic nie znajdziecie... myelofon jest ukryty w pewnym miejscu... w pewnym miejscu...

– Kola! – spytała ciepło Julka. – Nie poznajesz nas? Przecież to my, twoi koledzy z szóstej B!

– Ojej! – Kola usiłował podnieść głowę. – Moi koledzy... tutaj... nic nie powiedziałem... Strzelili czymś we mnie i od razu zasnąłem... Potem mnie bili i zapowiedzieli, że nigdy stąd nie wyjdę... ale ja ani słowa... Alicjo...

– Jestem tu, Kola, nie denerwuj się. Znaleźliśmy myelofon...

Kola nagle zadygotał nerwowo:

– Prędeż... – wymówił z trudem. – Nic nie powiem, uciekaj... przecież oni cię dogonią... Prędeż...

– Koleńka – Fima przełknął łzy – jesteś naszym bohaterem... ty...

– Idiota, a nie bohaterem – powiedział Kola. – Alicjo... uciekaj...

– Niczego się nie boimy – uspokoiła go Alicja. – Jest nas dużo... Nic nam nie zrobią...

Myliła się jednak.

Z tyłu rozległ się głos:

– Nie ruszać się! Chłopak miał rację, Alicjo. Trzeba było od razu uciekać, a nie zajmować się ratowaniem obcych ludzi. Nie troszcz się nigdy o innych, bo przegrasz bez wątpienia. Oddaj myelofon, głupiutka gąsko.

W drzwiach piwnicy stał pirat Krys. Tym razem znów w postaci Napoleona Bonaparte. W jego ręku lśnił pistolet.

– Chodź tu, chodź – przywołał Alicję skinieniem palca. – Nikt nie usłyszy waszych krzyków, wierzcie mi. Jednym wystrzałem mogę uśpić troje naraz. Nie jestem okrutny... Ale potrzebny mi myelofon. No! Długo jeszcze mam czekać?

– Spróbuj go wziąć – odparła Alicja.

Widziała, że Kola Sulima nie stracił głowy i ostrożnie, by Krys nie zauważył, zachodzi go z boku.

– Weź sam – powtórzyła Alicja, kątem oka obserwując poruszenia Sulimy.

– No! – Krys zrobił krok naprzód.

I równocześnie Kola rzucił się na niego. Co prawda niezbyt fortunnie, jako że był marnym sportowcem. Krys zdążył wystawić łokieć, na który nadział się Kola, i pistolet, szarpnięty, wypalił w sufit.

I tu do walki ruszyła Julka, która w przeciwieństwie do Koli była świetną sportsmenką. Podskoczyła i zawisała na rękawie Napoleona. Alicja zaś wykonała swój najlepszy w życiu skok – wleciała niby ptak, udało jej się dosięgnąć wzniesionego w górę pistoletu i opadając tak mocno wykręciła rękę pirata, że wypuścił broń.

A wtedy wszyscy jak jeden mąż zwalili się na Krysa, który prawie zupełnie zniknął pod gromadą wrogów.

– Oj! – krzyknęła Katia. – Wymyka się!

W półmroku piwnicy widać było, jak pirat zamienił się w śliską sprężystą kulę i potoczył w kąt. Nikt, oprócz Alicji, nie wiedział, że przybrał postać przetoczków z planety Wsik.

Zaniemówili z przestachu. Lecz oto Alicja trzymała w ręku pistolet.

– Nie ruszaj się, Krysie z planety Krokrys! – za wołała. – Albo strzelam.

Kula potoczyła się do wyjścia.

Alicja podniosła pistolet i wycelowała.

Powstrzymał ją głos od drzwi:

– Nie strzelaj, Alicjo. Nigdzie się nie wymknie.

Na piwnicznych schodach stał wysoki chudy mężczyzna w granatowym garniturze.

Alicja opuściła rękę. W głosie mężczyzny dźwięczała taka pewność, że niepodobna było go nie posłuchać.

– Krys – powiedział – zamień się w jakąś istotę rozumną. Nie uciekniesz, to wykluczone.

W mgnieniu oka pojawił się znów Napoleon Bonaparte.

– Mikołaju Mikołajewiczu – zaczął Kola Naumow – to ja jestem wszystkiemu winien...

– Pan jest dyżurnym na stacji Czasu? – spytała Alicja.

– Tak – odparł Mikołaj Mikołajewicz. – I winę ponoszę wyłącznie ja. Przestańmy więc szukać teraz winnych.

– Mikołaju Mikołajewiczu – powiedziała Alicja. – Drugi pirat uciekł.

– Niedaleko – uśmiechnął się Mikołaj Mikołajewicz. – Leży znokautowany na środku podwórka. Trzeba go stamtąd zabrać jak najprędzej, bo zaczęli się gromadzić sąsiedzi. Idziemy, postrachu kosmicznych szlaków, i nie próbuj nawet dać nogi.

– W żadnym wypadku – skwapliwie podjął Krys. – Ja byłem tylko ślepym narzędziem w rękach tego złoczyńcy Wesołka Ypsilon, który zmuszał mnie...

Wszyscy z szóstej B, którzy brali udział w akcji „Piraci kosmiczni” – tak ją bowiem nazwał Fima Korolow – zebrali się u Koli Naumowa.

Mikołaj Mikołajewicz dał mu lekarstwo i kazał poleżeć do wieczora, nie skakać i nie wiercić się na łóżku. Kola pólleżał wsparty na poduszkach, minę miał dumną i zarazem pełną skruchy.

Mikołaj Mikołajewicz stał pośrodku pokoju.

– Chciałbym powiedzieć parę słów – zaczął. – Nie będziemy roztrząsać, kto jest w porządku, a kto ponosi winę za to, co się zdarzyło. Przede wszystkim winien jestem ja, ponieważ nie dbałem o swoje zdrowie, zachorowałem nagle i zostawiłem aparaturę bez dozoru. Winien jest i Kola, którego nikt nie prosił, by wtykał nos w nie swoje sprawy. Winna jest też Alicja, która doskonale

wie, iż nie wolno zbliżać się bez pozwolenia do wehikułu czasu. W rezultacie dwaj niebezpieczni przestępcy przeniknęli do naszych czasów. Szczęście, że nie zdążyli narozrabiać...

– Mowy nie ma. Dalibyśmy im w kość – zapewnił Fima Korolow, który był głęboko przekonany, że to nikt inny, lecz właśnie on uratował wszystkich i pokonał piratów.

– Dobrze, przyjmijmy więc, że wiele błędów naprawiła szósta B. Za co składam jej serdeczne dzięki w imieniu dwudziestego pierwszego wieku.

– Proszę bardzo, nie ma za co – odparł za wszystkich Kola Sadowski. – Może pan w dalszym ciągu na nas liczyć.

– A jakim cudem pan nas odnalazł? – spytała Miła Rutkiewicz.

– Urządzenia automatyczne w Instytucie Czasu zarejestrowały kilka przemieszczeń w czasie, i to wszystkie bez zezwolenia. Wtedy wywołano mnie. Mój punkt nie odpowiadał. Przesłano pracownika Instytutu. Stwierdził moją nieobecność. Niestety, młody pracownik, który przybył, by mnie odszukać, był tak zaskoczony, że nie przyszło mu do głowy zapytać sąsiadów. I zanim mnie odnalazł, upłynęło wiele drogocennego czasu. Tymczasem komputer wyliczył z dokładnością do jednego miligrama wagę oraz gabaryty naruszcycieli Czasu i rozpoczęło się śledztwo. Badacze Czasu szukali świadków, przepytali dziesięć tysięcy osób i w końcu doszli, kto posłużył się wehikułem czasu. Wyleczono mnie w szybkim tempie, wymieniono serce i natychmiast pospieszyłem do waszej szóstej B. A tu klasy nie ma – udała się w pogoń za piratami kosmiczny Stąd moje spóźnienie.

– I całe szczęście, że się pan spóźnił – przerwał mu Fima. – W przeciwnym razie nie moglibyśmy sami rozprawić się z piratami kosmicznymi w Moskwie.

– Nie będziemy się spierać – uśmiechnął się Mikołaj Mikołajewicz. – Alicjo, za pięć minut twoja kolej. Pożegnaj się i w drogę...

Mikołaj Mikołajewicz wyszedł, wszyscy otoczyli Alicję.

– Szkoda – powiedziała smutno Julka – że odchodzisz. Zawsze chciałam mieć siostrę, a ty się na nią doskonale nadajesz.

– I mnie szkoda was opuszczać – odparła Alicja. – Ale muszę. Żyję przecież w przyszłości. Nie wolno żyć w dwóch epokach naraz.

Zapadło milczenie.

– Nie gniewasz się, Alicjo? – zapytał Kola Naumow.

– Nie. Cieszę się bardzo, że was poznałam.

– Posłuchaj, Alusia – powiedział Fima Korolow – nie zdążyliśmy cię zapytać, czy nie słyszałaś czegoś o nas tam, w przyszłości?

– Nie wolno o tym mówić – obruszyła się Miła Rutkiewicz. – To pogwałcenie zasad.

– Wiesz co, Aluśka – powiedziała Julka – wymyśl coś, a my będziemy udawać, że ci wierzymy.

– Dobrze – zgodziła się Alicja. – Tylko mi nie uwierzcie. Dobrze?

– Za nic w świecie nie uwierzmy – zapewniła Larysa. – Słowo. Ale ty nam koniecznie schlebiaj.

– No więc, słuchajcie. Boria Messerer będzie słynnym artystą. Będzie pracował w Teatrze Wielkim jako scenograf. Tylko nie urośnie, będzie mężczyzną niskiego wzrostu.

– Zgadzam się – powiedział Borys. – Niech tam. Będę przystawiał drabinę.

– Kola Sadowski zostanie znanym bajkopisarzem. Będzie tworzył cudowne, pełne fantazji bajki.

– Których nie będą drukować – dokończył za nią Fima.

– Fima Korolow to przyszły inżynier. Byłby wybitnym inżynierem, gdyby mniej się przechwalał. Larysa będzie sławną gwiazdą filmową. Jej portrety będą wisiały we wszystkich kinach.

– Mówiłam, że nie uwierzę – Larysa poczerwieniała z radości, zerkając kątem oka w lustro.

– Kola Naumow zostanie budowniczym domów.

– Dziękuję – uśmiechnął się Kola. – Nawet wiem jakich.

– Julka będzie lekarzem pediatrą. Będą się u niej leczyć chore dzieci z całego świata. Katia Michajłowa wygra turniej w Wimbledonie. Miła Rutkiewicz zostanie nauczycielką, dyrektorką szkoły, i to bardzo surową...

– Dziwne – przerwał Alicji Kola Sulima. – Według ciebie wszyscy będą słynni i wielcy. A gdzie ci zwykli ludzie?

– Przecież to bajka, Kola, jak ty nic nie rozumiesz! – zawołała Larysa. – Mogę zostać i niezbyt wielką aktorką.

– Nie, nie macie racji – powiedziała Alicja – ja wiem lepiej. Przecież jestem z przyszłości. Tam nie będzie zwykłych, przeciętnych ludzi. Na Ziemi będzie żyć pięć miliardów wyjątkowych, słynnych, utalentowanych ludzi. A wśród nich – Alicja przekornie się uśmiechnęła – będzie tylko jeden zwykły człowiek – Kola Sulima. Będą do niego przyjeżdżać specjalne wycieczki z zagranicy. Będzie najzwyklejszym w historia ludzkości mistrzem świata w szachach oraz wynalazcą wehikułu czasu. Teraz jesteś zadowolony?

– Rozumie się – odparł Sulima.

Wszedł Mikołaj Mikołajewicz.

– Alicjo, pożegnałaś się? Czas w drogę.

– Och! – odezwała się Julka Gribkowa i w jej oczach zabłyśły wielkie łzy. – Co ja powiem mamie i babci?

– Nie martw się – uspokoił ją Mikołaj Mikołajewicz. – Wpadnę dziś do was jako ojciec Alicji. Uwierzą mi z całą pewnością...

Dziewczynki ucałowały się serdecznie. Alicja zdążyła szepnąć Julce na ucho:

– Niedługo się zobaczymy.

– Jeszcze jedno, moi drodzy – powiedział Mikołaj Mikołajewicz – wiem, że nie muszę was o to prosić, sami doskonale to pojmujecie, mimo wszystko jednak poproszę: natychmiast po wyjściu z tego pokoju zapomnicie o mnie. Nigdy mnie nie spotkaliście. Nie widzieliście żadnych piratów kosmicznych, Alicja przybyła z innego miasta i po prostu wyjechała z powrotem. Od tego, jak pieczołowicie będziecie strzec naszej tajemnicy, wiele zależy. To nie zabawka. To Czas.

– Umowa stoi – powiedziała Katia Michajłowa.

Alicja po raz ostatni ogarnęła wzrokiem wszystkich, szepnęła cicho: „Żegnajcie, Koledzy” – i wyszła z pokoju.

Na zawsze.

I co najdziwniejsze: w szóstej B są różni uczniowie. Niektórym, jak na przykład Fimie Korolowowi czy Larysie, nie wolno powierzać żadnych tajemnic – następnego dnia rozpaplą wszystkim. A jednak żadne z nich nie opowiedziało nigdy nikomu o niewiarygodnych przygodach i zdarzeniach, jakie przeżyli w tamtych kwietniowych dniach.